

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/450

1985



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

LEOPOLITA: **"WŚRÓD PTAKÓW
WIELKIE PORUSZENIE..."**

M. NOWAKOWSKI: **ROZMOWA**

St. DENFERT: **NALEŻY WRESZCIE
WYCIĄGNĄĆ WNIOSKI**

J. ZAGÓRSKI: **BALLADA O KOZIEJ GÓRZE
NAGRODY "KULTURY" ZA ROK 1984**

SPIS RZECZY

Leopolda:	„Wśród ptaków wielkie poruszenie...”	3
Gustaw Herling-Grudziński:	Dziennik pisany nocą	18
Marek Nowakowski:	Rozmowa	30
Sławomir Mrożek:	Koegzystencja	43
WIERSZE		
Jerzy Zagórski:	Ballada o Koziej Górze	47
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Grażyna Pomian:	Jest taka partia: PZPR	49
Michał Heller:	Od białego caratu do czerwonego	55
Dominik Morawski:	Korespondencja z Rzymu	59
—	Kolokwium turyńskie	61
K R A J		
(j.a.):	Notatki z Polski	62
Stefan Denfert:	Należy wreszcie wyciągnąć wnioski ..	82
—	Nowy ZLP, Oddział Warszawski	90
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	W sowieckiej prasie	93
Andrzej J. Chilecki:	Kronika niemiecka	99
Norbert Gaida:	Mniejszość niemiecka w Polsce	103
SPRAWY I TROSKI		
—	Instytut Piłsudskiego potrzebuje pomocy	105
—	Do wszystkich Polaków rozsianych po świecie	106
KRONIKA KULTURALNA		
Joanna Salamon:	O Jugosławii, Jugosłowianach i literaturze polskiej	107
Renata Gorczyńska:	Co czytają Amerykanie?	114
—	Nagrody Fundacji Jurzykowskich	122
—	Komunikat POL-CUL Foundation ..	122
DOROCZNE NAGRODY „KULTURY” ZA ROK 1984		
M.Z.:	Nagroda literacka im. Zygmunta Her-tza: Włodzimierz Odojewski	123
M. Broński:	Nagroda publicystyczna im. Juliusza Mieroszewskiego: Leopold Unger ..	125
—	Nagroda przyjaźni i współpracy: Mi-rostław Chojecki	126
KSIĄŻKI		
M. Broński:	„1985”: inny zmierzch Zachodu	127
Maria Danilewicz Zielińska:	Czytam (3)	130
—	„Widnowa” — nowe czasopismo ukra- ińskie	135
—	Nadesłane nowości wydawnicze	136
REPORTAŻE		
Adam Nasielski:	Bałkański „tour d'horizon”	139
FELIETONY		
Roman Lewandowski:	Postępowy paryżanin	150
—	Wydarzenia miesiąca	153

(Dalszy ciąg na str. 176)

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Marzec - Mars 1985

INSTYTUT  **LITERACKI**

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Mikołaj Barakoński, Sherman Oaks, CA (USA), po raz 16-ty — \$ 58,00	F. 575,00
Inż. Mieczysław Bornet, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 17-ty	F. 430,00
Zbigniew Brzeziński, McLean, VA (USA), po raz 16-ty — \$ 1.000,00	F. 9.950,00
Wanda i Czesław Deminet, Albuquerque, N.M. (USA), po raz 14-ty — \$ 46,00	F. 437,00
Stanisław Dobroniak, Stockholm — dla uczczenia pamięci Matki, Władysławy z Wymysłowskich Dobroniak — w piątą rocznicę Jej śmierci — Krs 170,00	F. 179,00
L. Grobelny, Dearborn, MI (USA), po raz 6-ty — \$ 8,00 ..	F. 79,50
Zbigniew Gross, Strasbourg (Francja)	F. 80,00
Marek Hurwic, Paryż, po raz 18-ty	F. 100,00
W. Iwanowski, Milton, MA (USA), po raz 25-ty — \$ 18,00	F. 179,00
W. Jarek, Victoria, B.C. (Kanada), po raz 7-my — \$ c. 27,00	F. 203,00
Zdzisław F. G. Jaworski, Ottawa (Kanada), po raz 6-ty	F. 330,00
Dr Jacek Jędruch, Pittsburgh, PA (USA), po raz 9-ty — \$ 8,00	F. 79,50
Kazimierz Karnkowski, Baden (Szwajcaria) — zamiast kwiatów na grób śp. Józefa Mackiewicza	F. 300,00
Albin Kac, Bat Yam (Izrael) — dla uczczenia pamięci niezapomnianych Przyjaciół Mahlera Psachje z Nowego Sącza i Webera z Jasła	F. 152,25
Jan K. Kasprzak, Arlington, VA (USA) — \$ 100,00	F. 995,00
Halina Kościuch, Sterling Heights, MI (USA) — dla uczczenia pamięci śp. Męża Mieczysława i Syna Henryka — \$ 20,00	F. 199,00
Edmund Kowalewski, Kelowna, B.C. (Kanada), po raz 11-ty — \$ c. 26,50	F. 193,50
A. Kowarska, Milford, Auckland (Nowa Zelandia), po raz 6-ty — \$ A. 13,50	F. 110,00
Dr Kazimierz Laski, Wiedeń, po raz 10-ty	F. 500,00
Dr A. J. Luckewich, Palos Verdes, CA (USA), po raz 8-my — \$ c. 140,00	F. 1.022,00
Lesław Ludwig, Springfield, MA (USA), po raz 11-ty — \$ 8,00	F. 79,50
Leszek Łabno, Nussbaumen (Szwajcaria), po raz 6-ty	F. 200,00
Wilhelm B. Matykiewicz, Old Bethpage, N.Y. (USA), po raz 13-ty — \$ 13,00	F. 129,00
Witold i Renata Mikułowscy, Bujumbura (Burundi) po raz 6-ty	F. 750,00
Jan Nowak, Truro, N.S. (Kanada), po raz 2-gi	F. 245,00
B. Partyka, Wallington, N.J. (USA), po raz 7-my — \$ 8,00	F. 79,50
Władysława H. Piegdoń, Milwaukee, WI (USA) — dla uczczenia pamięci Męża śp. Klemensa Bronisława Piegdonia, magistrza prawa, zmarłego w Milwaukee 9 listopada 1984 r. — \$ 18,00	F. 179,00
Zbigniew A. Pietrzyk, Bellevue, WA (USA), po raz 2-gi — \$ 36,00	F. 358,00
Zygmunt Przetakiewicz, Toronto, Ont. — zamiast kwiatów na grób śp. Mikołaja Rostworowskiego (Nika), zmarłego w Warszawie 8 listopada 1984 r., wiernego Czytelnika <i>Kultury</i> , od którego dostałem do przeczytania przed kilkunastu laty pierwszy egzemplarz <i>Kultury</i> . Cześć Jego pamięci! ..	F. 75,00
Bolesław Rodowicz, Astoria, N.Y. (USA), po raz 5-ty — \$ 8,00	F. 79,50

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 173)

1985 H1467

818 BIOTEKA
BN

“Wśród ptaków wielkie poruszenie...”

Być może powinienem był napisać ten artykuł trzy lata temu. W rozmowach na temat emigracji biorę udział od stycznia 1982 roku i moi interlokutorzy będą mogli kiedyś poświadczyć, że — jeśli chodzi o meritum wywodu — spisuję dziś to, co nie raz powtarzałem w tamtych, periodycznie powracających dyskusjach. Nie wykraczałem dotychczas poza mówienie z kilku powodów, wśród których na pierwszym miejscu wymienić należy niechęć do pisania (eufemistyczne określenie lenistwa) oraz przeświadczenie, że byłaby to czynność całkowicie bezskuteczna. Kilka wydarzeń z końca ubiegłego roku sprawiło, że z oporami sięgnąłem po słowo pisane. Nieważne, które to były wydarzenia — o jednym zresztą powiem później; ważne są racje. Piszę więc, z niewielką nadzieją, że coś uda mi się wyjaśnić, kilku ewentualnych czytelników przekonać.

Nie rozważam — jako oczywistej — tezy, że istnienie na Zachodzie polskiej emigracji politycznej jest z wielu względów potrzebne. Artykuł traktuje o czym innym.

Zacznijmy od spraw zdawałoby się abstrakcyjnych, a więc takich, które przeciętny człowiek skłonny jest traktować z góry nieufnie.

W płaszczyźnie prawnej problem emigracji-imigracji uwikłany jest w taką oto sprzeczność.

Uważa się — i słusznie — że do zasadniczych praw jednostki

należy, czy też winno należeć, prawo do swobodnego wyboru miejsca pobytu. Znaczy to przede wszystkim, że żadne władze państwowe nie powinny swoim obywatelom ani uniemożliwiać wyjazdu za granicę, ani przymuszać ich do takowego. Przy czym zasada, wzbraniająca przymuszania do wyjazdu na zawsze z ojczyzny winna być bezwyjątkowa, natomiast na prawo do wyjazdu mogą być nakładane nieliczne ograniczenia, jak np. orzeczona przez sąd kara pozbawienia wolności lub uznanie przez władze sądowe, że dana osoba jest ważnym świadkiem w procesie dotyczącym poważnego przestępstwa.

Mówiąc krótko, do fundamentalnych praw jednostki należy to, iż w żadnym wypadku nie może ona być przez państwo przymuszona do opuszczenia ojczyzny i że — poza bardzo wyjątkowymi okolicznościami — też władze państwowe nie mogą jej zabronić opuszczenia kraju, którego jest obywatelem.

Jak wiadomo, w państwach rządzonych przez komunistów zasady te nie są przestrzegane, a ich formalny zapis jest z reguły, by użyć żargonu prawniczego, gumowy. W PRL punkt 2 ustępu 2 artykułu 4 ustawy o paszportach, w brzmieniu z 1983 roku brzmi wręcz humorystycznie* i pozwala „właściwemu organowi” na dowolne odmówienie wydania paszportu bez prawa zaskarżenia takiej decyzji do sądu. Jeśli chodzi o wyjazdy wymuszane, to w PRL praktyka ta była stosowana poza jakimkolwiek prawem, przy pomocy szantażu, gróźb, nagonki co najmniej dwukrotnie: w latach 1982/1983 w stosunku do niektórych mniej znanych działaczy „Solidarności”, oraz w latach 1968/1969 w skali względnie masowej w stosunku do Żydów, przy raczej norymberskim traktowaniu pojęcia „Żyd”. Dodatkowym aspektem tej bezprawnej banicji, bo tak należy nazwać owo wygnanie Żydów z Polski, jest to, że żądano od nich pisemnej rezygnacji z obywatelstwa polskiego i uznano to za wystarczające dla pozbawienia obywatelstwa. Tymczasem jedynym organem, który może podjąć decyzję w tej sprawie jest Rada Państwa, która — o ile wiadomo — nigdy sobie tą sprawą nie zaprzętała głowy... To państwo samo urządza kpiny z własnej konstytucji.

Wróćmy jednak do spraw ogólnych.

Mówiąc krótko, faktyczny stan w państwach rządzonych przez

* Rzeczony punkt stanowi, iż „właściwy organ” może odmówić wydania paszportu, gdy przemawia za tym względ na bezpieczeństwo państwa, obronność, tajemnicę państwową albo gdyby mogło to narazić gospodarkę narodową na znaczne straty lub spowodować poważne zakłócenia w jej funkcjonowaniu”. Por. *Dziennik Ustaw* 1983, nr 66, poz. 298. Dowcip, jak w dowcipie, polega na tym, że ktoś, komu na tej podstawie odmówiono wydania paszportu nie ma żadnej możliwości dowiedzenia, iż „nie jest wielbłądem”.

komunistów wygląda tak, że wymienione uprzednio fundamentalne prawo jednostki stosowane jest wybiórczo, co czyni zeń pośmiewisko, choć bywa skądinąd źródłem wielu dramatów. Surrealistycznym wręcz przykładem tego, jak komuniści rozumieją owo prawo jednostki do opuszczenia kraju, są krzyki oburzenia pułkownika Mengistu z powodu ucieczki kilku tysięcy głodujących Żydów z przymierającej głodem — na skalę setek tysięcy! — Etiopii. Ale pułkownik Mengistu jest konsekwentny: klatka ma być klatką i tylko jego świeżo upieczona partia komunistyczna może decydować o tym, komu wolno uniknąć śmierci głodowej. Toteż gwoli sprawiedliwości dodać tu należy, że w wielu innych krajach socjalistycznych sprawy wyjazdów i faktycznych banicji przedstawiają się gorzej niż w PRL. Proszę jednak nie traktować tego jako konsolacji; musiałyby to bowiem być pocieszenie typu sowieckiego, a od sowieckich pocieszeń włosy wypadają i dżiąsła ropieją.

I tu wkracza sprawa zasadnicza. Biorąc pod uwagę te praktyki rządów komunistycznych, w tym peerelii, uważam, iż w naszych warunkach wszelka dyskusja na temat społecznych czy moralnych aspektów emigracji musi się zaczynać od zadeklarowanego uznania wymienionych uprzednio praw jednostki i potępienia komunistycznej praktyki zakazywania lub przymuszania do wyjazdu z kraju.

Ktoś, kto powiada — tak w ogóle, to „czerwony” jest zły, ale chwala mu za to, że prowadząc restryktywną politykę paszportową chroni narodową substancję; albo też — dobrze uczynili komuniści, organizując przy pomocy szantażu i nagonki wypędzenie ponad dwudziestu tysięcy „żydków” z Polski — musi się liczyć z tym, że — pomijając wszystko inne — poglądy te zwrócą się przeciw niemu. Kto pochwała wymuszoną emigrację „żydków”, ten podpisuje zgodę na wymuszoną emigrację „palczków”.

Zauważmy przy okazji, że dyskusja o moralnych aspektach emigracji wyłączająca z obszaru rozważań komunistyczne ustawodawstwo i komunistyczną praktykę traci moralny polot. Ktoś, kto zostaje w kraju, bo nie dostał paszportu, nie dokonuje żadnego wyboru moralnego, a jest najzwyczajniej w świecie zamknięty w wielkim pudle z napisem „PRL” — a nie, jak by się to komuś mogło wydawać, „ojczyzna”.

II

Wspominałem o sprzeczności, w jaką uwikłany jest — w sferze prawa — problem emigracji-imigracji.

Rzecz w tym, że oprócz uznawanego (jak gdzie) prawa jednostki do dobrowolnej emigracji istnieje taki uznawany (wszędzie) atrybut suwerenności państwa, jakim jest prawo do wyrażenia zgody na przyjęcie lub nieprzyjęcie imigranta. Zakres tego przyzwolenia wyznaczają tzw. kwoty imigracyjne, tj. ilość nowych osiedleńców, jaką godzi się rząd danego kraju przyjąć w ciągu roku. Kwoty te z reguły nie obejmują uchodźców politycznych korzystających z prawa azylu. Tu jednak zaczynają się drzazgi. Rzecz w tym, że ludzie opuszczający kraje totalitarne, czy też rządy despotyczne, czynią to nader często z pobudek mieszanych, których sami nie potrafią nazwać. Trudno przecież powiedzieć, czy młode małżeństwo, które chciałoby mieć wiele dzieci, a którego szanse na otrzymanie mieszkania w Polsce przed końcem XX wieku są mgliste, jest ofiarą polityki czy „jedynie” złej gospodarki realizowanej przez kolejne biurko polityczne. Spór o to, czy owe kolejne biurka mogły czy nie mogły gospodarować lepiej (jako, że „ta krowa po prostu nie daje mleka”) nie jest tematem, który interesowałby urzędników imigracyjnych we Włoszech czy w Szwecji. Trudno wymagać od nich by rozumieli coś, czego sami często nie potrafimy dobrze wytłumaczyć.

Paradoksalność sytuacji polega m.in. na tym, że dotyczące tej samej osoby prawa emigranta oraz imigranta nie są zgodne. W przypadku braku pierwszych i restryktywnego traktowania drugich dochodzić może do sytuacji tragicznych, jak to się dzieje w przypadku wietnamskich *boat-people*.

Zacząłem od prawnych aspektów problematyki, bo wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy z ich istnienia. Ludzie wiedzą oczywiście, że coś tu nie gra i że wszystkiemu winien jest „czerywony”. Nikt nie lubi być prześladowany i nakłaniany do wyjazdu przez dobrotliwych urzędników od spraw wewnętrznych. Nikt też — poza bardzo młodymi ludźmi — nie lubi jeździć „na saksy”, a jeśli już musi, to wolałby sprawę uregulować od początku, mieć zapewnioną opiekę konsularną i prawo do powrotu bez szykan. Ludzie wiedzą, że tak nie jest. Takiej regulacji prawnej domagał się nawet Edmund Osmańczyk, człowiek nie tak już wiele rozumiejący. Mogłoby się wydawać, że na zdrowy rozum rzecz biorąc... No tak, ale gdzie komunizm, a gdzie zdrowy rozsądek... W dziewięciu przypadkach na dziesięć to, co z punktu widzenia przeciętnego mieszkańca PRL byłoby zdroworozsądkowym rozwiązaniem danego problemu, z punktu widzenia rządzących nami komunistów grozi ograniczeniem ich władzy, godzi w pragmatykę systemu lub jego ideologiczne podstawy.

III

Tyle powiedziawszy o prawie, powinniśmy zająć się z kolei statystyką. To znaczy powiedzieć, ilu naszych rodaków zostaje w ciągu roku za granicą; jak wyglądałaby krzywa tego procesu dla ostatnich lat dwudziestu; ilu wraca i po jakim czasie? Taki statystyczny kwestionariusz można by, rzecz jasna, rozbudować i — przepraszam za brzydkie słowo — usocjologicznić. Statystyka rzadko czyni człowieka mądrzejszym, sprawić jednak może, iż lepiej orientuje się on w danym zagadnieniu. W przedmiocie, o którym mowa, pożytek byłby taki, że wiedzielibyśmy, jakie są ilościowe wyznaczniki zjawiska. Bo przypadki spektakularne, takie jak „ucieczki” z promu „Rogalin” pod koniec roku 1984 czy ze „Stefana Batorego” bodajże wiosną 1969 roku do poważnej refleksji źle się nadają. Przecież interesuje nas nie pytanie, „ilu ludzi może skacząc z 'Batorego' dotrzeć wpław do brzegów Norwegii i jaki ich procent stanowić będą dobrzy katolicy?”, lecz „jaki przeciętnie procent uczestników zbiorowych zagranicznych wycieczek nie wraca do kraju?”. Nie dysponuję takimi danymi, co chyba czytelnika nie zaskakuje; moja wiedza o statystyce w ustroju socjalistycznym podpowiada mi, że danych takich nie gromadzi nikt. Wypada zatem przyjąć arbitralne założenie — bez którego artykuł ten nie miałby sensu — że różne formy emigracji czasowej i stałej obejmują na tyle znaczną ilość osób, iż tworzy to poważny problem społeczny.

IV

Społeczny. A moralny, to już nie?

Moralny oczywiście też. Ale moralne oceny takiego zjawiska jak emigracja odnosić się muszą z natury rzeczy do jednostek. Pozostanie za granicą pana Iksa może być moralnie usprawiedliwione, choć w świetle obowiązującego w PRL prawa nielegalne, zaś złożenie przez panią Ygrek wniosku o paszport emigracyjny, choć w pełni legalne, może być naganne. Ocena zależy od bardzo wielu okoliczności dodatkowych. Nie sądzę, by słuszne było zalecenie: ktokolwiek urodził się w Polsce (czy np. w Hiszpanii), ten, wyłączając wakacje oraz okres nauki, winien całe życie spędzić w Polsce (*respective* w Hiszpanii); kto zaś postępuje inaczej winien być publicznie potępiony. Ktoś może się godnie zachowywać na emigracji, ktoś inny może być infamisem w kraju i trudno byłoby w przypadku pierwszym dorzucać minusy za wyjazd, zaś w drugim plusy za pozostanie.

V

Zapytajmy teraz, jakie to grupy społeczne obejmować może i *de facto* obejmuje emigracja (jako czynność opuszczania kraju)?

Wydaje się, że nazwać można cztery takie grupy:

1. Pisarze, kompozytorzy, malarze i w ogóle tzw. twórcy.
2. Naukowcy, a przede wszystkim młodzi, zaczynający karierę badacze.
3. Działacze przed- i pogrudniowej „Solidarności”.
4. Tzw. zwykli ludzie, na ogół młodzi lub w sile wieku, wyjeżdżający z przyczyn zarobkowo-politycznych.

Powiem od razu — a do motywacji wrócę później — że za najpoważniejszy uważam problem wyjazdu ludzi, tworzących grupę wymienioną na końcu.

A teraz po kolei.

Nie sądzę, by ewentualny wyjazd na lata całe pisarza czy kompozytora był sam przez się ważnym problemem społecznym, choć może być czymś bolesnym dla samego twórcy. Pisarz jako pisarz istnieje nie przez to gdzie mieszka, lecz przez to, co pisze. Jeśli polskiemu kompozytorowi tworzy się lepiej w Anchorage niż w Zielonej Górze, to niechaj dla dobra kultury — a kultury polskiej w szczególności — siedzi w tym Anchorage jak najdłużej. Bogactwo współczesnej literatury polskiej współtworzą na jednakich prawach „Transatlantyk” i „Powrót prokonsula”, przy czym teoretycznie mogło się zdarzyć tak, że poezja Herberta powstała na emigracji, zaś proza Gombrowicza w kraju; ważne jest, że obie powstały w tej sferze wolności, do której komunizm nie potrafił — dzięki postawie artysty — dotrzeć. Ale sfery tej nie wyznaczają południki i równoleżniki.

Jeśli natomiast pisarz powiada: nie wracam do kraju, bo nie podoba mi się ten ustrój, a pisze złe książki, to decyzja ta, prawdę mówiąc, niewiele mnie obchodzi. Chce mieszkać w Bergen lub w Salonikach — jego sprawa. Roman Bratny byłby złym pisarzem niezależnie od tego, czy zostałby po wojnie na Zachodzie, czy wrócił do kraju (co, jak wiemy, się stało). Decyzja powrotu miała jedynie pozytywne znaczenie finansowe dla samego Bratnego i trudno, by się ktokolwiek tym przejmował. No, może urząd skarbowy.

VI

Z młodymi badaczami sprawa przedstawia się w sposób o wiele bardziej skomplikowany. Sporo tu problemów i społecznych i moralnych wynikających stąd, że wprawdzie nauka jest międzynarodowa, ale szkolnictwo już nie. Proszę tedy, by czytelnik — mając w pamięci poprzednie zdanie — wyobraził sobie następującą sytuację.

Jest mianowicie — on, czytelnik — profesorem biochemii i ma bardzo zdolnego ucznia (płeć obojętna) w wieku lat 25-27. Młody człowiek (płeć nadal obojętna) jest tak zdolny, iż zasadnie można zakładać, że zostanie znakomitym uczonym, kto wie, może noblistą. Ma też ów młody człowiek pewne zainteresowania społeczne. Nie żeby przesadne, bo naprawdę pochłania go pewien problem z zakresu jego specjalności, ale to gazetkę przyniesie, to na ćwiczeniach powie głośno coś, co lepiej by mówił po cichu (tak się składa, że prodziekan to sk....syn i beztalencie). To są jednak drobiazgi. Naprawdę poważny jest inny problem — przy obecnym stanie dewastacji nauki w Polsce, braku pieniędzy na aparaturę i najprostsze odczynniki, o komputerach nie mówiąc, przy miotanej tańcem św. Wita polityce przyznawania paszportów młody człowiek niczego tu nie dokona. Skończy jako zgorzkniały dydaktyk, przeświadczony o tym, że zmarnował życie. O ile przedtem nie strzeli jakiegoś głupstwa i nie wylądował na pół roku w pudle. A w biochemii liczą się nie miesiące, a tygodnie. To nie matematyka — w celi niczego nie wymyślisz, a już na pewno nie sprawdzisz. Skądinąd może się zresztą okazać, że młodemu człowiekowi brak jednej śrubki, tej, która sprawia, że z pięciu rokujących wielkie nadzieje tylko jeden coś osiąga...

Co byś poradził swemu asystentowi, mój czytelniku-profesorze?

Byś mógł się lepiej wczuć w sytuację, opowiem ci historię profesora Iks, jednego z nielicznych chemików polskich o prawdziwie światowym dorobku.

Otóż w grudniu 1981 roku profesor Iks (lat ok. 40, żona, dwoje dzieci) znajdował się wraz z rodziną w USA, gdzie miał kontrakt w jednym z najpoważniejszych ośrodków badawczych. Wiosną 1982 roku uczennica Iksa miała obronę pracy doktorskiej. Profesor uznał, że jako Nauczyciel winien być na tej imprezie obecny. Zjawił się w kraju przekonany, że do żony i dzieci (nie wiem, czy płowowłosych i niebieskookich) oraz do laboratorium wróci za kilkanaście dni. No, i osiadł w ojczyźnie, jak każdy z nas, z dowodem osobistym w kieszeni. Po miesiącach rozłąki dołączyła doń żona z dziećmi. I zaczęło się: starania,

podania, odwołania, pisanki, obiecanki, cacanki, protekcje, obietnice, kolekcje (zdjęć do paszportu). Starał się nie tylko profesor. O profesora starała się a to Bazylea, a to jakiś koncern, a to któryś ze światowej sławy uczonych. Iks zaś za każdym razem stawiał warunek: musi część roku akademickiego spędzać w Polsce, bo ma tu uczniów, wykłady i pracownię (ubożuchną, ale ojczyzną). Przez dwa lata wszystko, co Iks osiągnął streszcza się w powiedzeniu „dwie chały...”. Z niezrozumiałych względów profesor w tym czasie żadnych odkryć nie dokonał. Za to nauczył się posługiwać starą maszyną marki „Erica”, co w naszym protektoracie bardzo jest przydatne w korespondencji z rektoratem. (To oczywiście zmyśliłem — nie wiem czy profesor Iks umie pisać na maszynie). Wczesnym latem 1984 roku żona profesora wraz z dziećmi dostała paszport turystyczny, a niedługo potem jego samego wypuszczono do Holandii na jakiś kongres. Starania s-becji i wydziału nauki KC o pozbycie się z kraju uczonego zostały uwieńczono sukcesem — nie wygląda na to, by profesor prędko zawitał do Polski. Miejmy nadzieję, że z pożytkiem dla nauki.

To wszystko ci, czytelniku, przekazawszy, zostawiam cię sam na sam z problemem emigracji młodych uczonych oraz uczonych *in spe*. Rozważ go sobie bez żadnej z mojej strony sugestii.

VII

Wszystko, czy też prawie wszystko, co w latach 1982-1984 napisano w prasie drugiego obiegu o emigracji (tj. o czynności emigrowania) dotyczyło działaczy „Solidarności”, a skutek — prawdę mówiąc — miało niewielki. Z czołowych przywódców „Solidarności” nie wyjechał prawie nikt, myślę jednak, że postąpili tak nie dlatego, że czytali wniosłe wezwania i rozsądne uwagi (był np. taki rozsądny artykuł w *Mazowszu* bodaj wiosną 1984 roku), lecz dlatego, że sami wiedzieli, co robić. Artykuły zawierały dwa zalecenia, nie zawsze wyraźnie rozdzielone. Pierwsze głosiło, że nie należy decyzyj o wyjeździe podejmować w więzieniu czy internie. Drugie, że działacze „Solidarności” w ogóle nie powinni emigrować. Pierwszy wydaje mi się słuszny i roztropny. Drugi bez potrzeby opatrzony wielkim kwantyfikatorem „w ogóle”. Autorzy tych artykułów nie zdawali sobie sprawy z cichego terroru, jakiemu poddawano na prowincji członków komisji zakładowych i ich rodziny. Obrzydano im życie na tuzin sposobów, szykanowania dzieci nie wyłączać.

Nie wiem, ilu działaczy „Solidarności” wyemigrowało. Jedni twierdzą, że kilkuset, inni, że około sześciu tysięcy. Myślę, że nie da się tego sprawdzić, przynajmniej dzisiaj. Założmy tedy

w sposób dowolny, że wyjechało około trzech tysięcy. Byłoby absurdem, gdybym globalnie potępił lub hurtem usprawiedliwił trudną decyzję kilku tysięcy nieznanych mi ludzi, decyzję podejmowaną w różnych, acz z reguły trudnych, okolicznościach. *A priori* krytycznie oceniałbym jedynie tych, którzy handlują martyrologią. O ile wiem, część tych emigrantów nadal działa na rzecz Związku, niekiedy z pożytkiem, niekiedy wręcz przeciwnie. Większość zapewne, siłą rzeczy, podjęła normalny los imigrantów: pracują lub starają się o pracę, uczą się obcego języka, poznają nowych ludzi, w tym przychylnych i nieprzychylnych, dobrych i złych. Wierzący chodzą do kościołów po to by się modlić, niewierzący nie chodzą do kościoła i sytuacja taka w sumie wydaje mi się przejrzystsza niż to, co ze zrozumiałych względów dzieje się w kraju. Ale przede wszystkim imigranci starają się stworzyć sobie nowe życie, co na pewno nie jest łatwe, a im kto starszy, tym na ogół trudniejsze. Znaczy to m.in., że jedni dorabiają się, inni zaś biedują. Ten ostatni podział usiłuje wykorzystać komunistyczna propaganda. Jej *Schadenfreude* z tytułu tego, że części emigrantów źle się powodzi jest wręcz womitogenna. Ta zła radość z cudzego niepowodzenia rozpisywana jest na głosy w prasie. O tych, którym się powiedło prasa milczy, tu działa czerwona szpentanka: oczywiście, pojechali się dorobić, dorobkiewiczze, mają szmal, o to im tylko chodziło. Nie mam cienia wątpliwości, że oba typy tej perswazji oddziałują na część odbiorców w kraju, odwołują się bowiem — oba — do ludzkiej zawiści, która jest ważnym emocjonalnym składnikiem sowietyzacji. Toteż każdy zabierający głos w sprawach emigracji powinien uważać, by nie wdepnąć w błoto całej tej komunistycznej manipulacji zawiścią. M.in. powinien uważać na język, jakim mówi o tych sprawach.

Jest rzeczą znamioną, że z grupy, o której mowa, do kraju wróciło bardzo niewielu, a tylko dwie osoby zgodziły się wystąpić w telewizji.

W sumie sprawę można uznać za zamkniętą, nawet przy założeniu, że jeszcze trzech członków KK i trzydziestu ośmiu członków komisji zakładowych złoży podania o paszporty emigracyjne. Jest ona smutna w zwykły, ludzki sposób, ale na pewno nie ma w niej nic gorszego. Tak się przecież działo po każdym nieudanym zrywie wolnościowym. Rozumowanie: nie podejmujemy prób wybicia się na wolność, bo są ryzykowne i mogą się zakończyć porażką, gdy zaś tak się zakończą, wówczas część ludzi wyemigruje z kraju — rozumowanie takie brzmi nawet logicznie, ale jest to logika paranoika.

W artykułach na temat wyjazdów, a szczególnie w rozmo-

wach na temat emigracji, o których pisałem na samym początku, irytował mnie fakt, iż dyskutanci najczęściej redukowali problem do — mówiąc brutalnie — emigracji „Solidarności”. Odbierałem to jako dowód zamknięcia się w swoistym getcie. Uważałem i uważam, że emigracja działaczy to jedynie część zagadnienia i nie najważniejsza. Byle Związek był, a przywódcy zawsze się znajdują; w sytuacji koniunktury z reguły w nadmiarze. To, co podoba mi się w dzisiejszym ruchu oporu — a jak wiadomo, podoba mi się nie wszystko — to fakt, iż w ciężkich warunkach wciąż znajdują się chętni do podjęcia niewdzięcznej pracy, która żadnej sławy nie przynosi.

W kraju emigracja działaczy nie wyrządziła żadnych widocznych szkód. Przede wszystkim chyba dlatego, że wielu z tych, którzy wyjechali i tak robiłoby niewiele, bo by się do tego nie nadawali. Nie jest tak, by każdy dobry działacz z okresu legalności nadawał się do pracy w warunkach pół czy wręcz nielegalnych. I trudno kogoś za to winić, chyba, że na siłę pcha się do czegoś, po czemu wyraźnie brak mu danych. Na przyszły raz wybierając władze związku...

No dobrze, na przyszły raz i tak nikt nie będzie pamiętał o naszych doświadczeniach. Historia jest zapewne nauczycielką życia, ale wyraźnie brak jej talentów pedagogicznych. Czasem zresztą na szczęście.

VIII

Napisałem — zapewne ku oburzeniu niektórych czytelników — że nie uważam wyjazdów działaczy „Solidarności” za problem najważniejszy w splocie zagadnień społecznych i politycznych określanym skróto słowem „emigracja”. Za najpoważniejszy — co napisałem na początku — uważam fakt, iż od długiego czasu kraj nasz rocznie opuszcza na różne sposoby kilka do kilkunastu tysięcy młodych przeważnie ludzi. Najczęściej są to technicy, inżynierowie, matematycy, architekci, ale i lekarze, i ludzie ze średnim ogólnym wykształceniem. Oczywiście są wśród nich niebieskie ptaki i zwerbowani przez s-becję czy tam kontrwywiad agenci, znajdzie się też zawsze kilku zagrożonych lub niedopieczonych dygnitarzy. Łudzi się jednak, kto myśli, że tworzą oni więcej niż wąski margines tego ubytku energii.

Jest to emigracja polityczno-zarobkowa. A polityczna dlatego, że — normalnych poszukiwaczy przygód wyłączając — zaplecze ludzkich decyzji o wyjeździe lub też o nie-powrocie jest w ogromnej większości przypadków ustrojowe. Ustrojowe w płaszczyźnie gospodarczej, politycznej, prawnej i — co uważam za najważniejszej

szę! — psycho-społecznej. Ten ostatni typ motywacji najlepiej oddaje poetycki skrót Urszuli Koziół:

*może to się nadaje na wiersz
może to się nadaje na pieśń
ale wiecie-rozumiecie panie
łaskawy
na życie to się nijak nie nadaje*.*

Jak we wszystkich procesach socjalnych, tak i tu nie wolno utożsamiać społecznego, w danym przypadku ustrojowo-politycznego zaplecza z indywidualną decyzją pana F., pani B. czy małżeństwa W. Poczuciem beznadziejności ogarniętych może być — i jest, o czym za chwilę — setki tysięcy ludzi, wyjeżdża zaś kilka, lub kilkanaście tysięcy.

Jeśli jednak błędem byłoby redukovanie jednostkowych decyzji do ich społecznego zaplecza, to za równie błędne uważałbym wypreparowanie tych postanowień z socjologicznego kontekstu, przedstawianie ich jako abstrakcyjnych aktów moralnych. To ostatnie tworzyć by mogło fałszywą optykę i prowadzić do wadliwego nazwania całego zjawiska.

Wspomniałem na samym początku, że do napisania tego artykułu skłoniły mnie niektóre wydarzenia z końca ubiegłego roku. Chciałbym — zgodnie z zapowiedzią — napisać o jednym z nich. Tym wydarzeniem, czy też faktem, było opublikowanie przez krakowskie pismo pozacenzuralne *Bez dekretu* fragmentów ankiety, przeprowadzonej w roku 1983 na terenie Krakowa.

Z opublikowanego tekstu wybieram sprawę w sposób najbardziej bezpośredni odnoszącą się do tematu niniejszego artykułu i przytaczam obszerne fragmenty konkluzji krakowskich socjologów.

„Technika badań, którą zastosowaliśmy, służy odpowiedzi na pytanie, czy dana społeczność, rozpatrywana jako zbiór jednostek ma optymistyczną czy pesymistyczną wizję przyszłości. [...] Na ogół jest tak, że nawet w bardzo biednych społeczeństwach ludzie żyją optymistyczną wizją przyszłości. Chcą wierzyć i wierzą w pewną poprawę swych warunków. [...]”

W Polsce, jak się wydaje, [...] dominuje niepewność jutra i pesymizm. [...] Wizję przyszłości — za 10 lat — dwukrotnie częściej uznaje się za niewiadomą niż za

* Cytuję bez zgody autorki z *Nowym Zapisem* nr 6. Wyrwane z kontekstu. Na liłość boską, proszę nie rozumieć tego tak, że Urszula Koziół namawia ludzi do wyjazdu z kraju. Zresztą nie namawia ich też do pozostania, bo to w ogóle nie jest sprawa poezji, zaś autorka cytowanego poematu jest poetką.

5 lat. A ta za 5 lat przez blisko 60 % określana jest jako gorsza. Naturalna więc tendencja do optymistycznego widzenia dalszej perspektywy przyszłości została zastąpiona w świadomości Polaków przez demobilizujący stan niepewności i pesymizmu. Optymistów, nawet w tej ginącej w sieni dali perspektywie dziesięciu lat jest tylko (łącznie) — 8,9 %.

W wielu społeczeństwach prawidłowe jest zjawisko polegające na tym, że ludzie widzą przyszłość całego społeczeństwa bardziej niepewnie i pesymistycznie niż przyszłość własną, indywidualną. [...]

W naszym przypadku otrzymaliśmy rezultat bardzo odmienny i rzadki. Opiszemy przeto to zjawisko: ludzie w większości spodziewają się dla siebie, jako jednostek, złej przyszłości, a dla społeczeństwa jako całości — katastrofy. [...]

Od 54 % do 85 % badanych widzi bliską i daleką przyszłość indywidualną i zbiorową bądź jako stagnację obecnego złego stanu rzeczy, bądź jako małe lub duże pogorszenie. Najbardziej pesymistycznie widziana jest zbiorowa i bliska przyszłość — 85,5 %*!

Już widzę pogardliwe machnięcie ręką: phi, socjologia! pod koniec lat 70-tych krakała i krakała, a co się okazało...

Nie komentuję cytowanej tu ankiety, choćby dlatego, że jest to fragment fragmentu. Jednak na to ewentualne pogardliwe machnięcie ręką muszę odpowiedzieć. Otóż zatrzważające wyniki ankiet z końca lat 70-tych nie były nieprawdziwe. Nie uwzględniały natomiast tego, czego nie mogły uwzględnić: regeneracyjnej siły społeczeństwa i wyjątkowego zbiegu okoliczności, który spowodował taki, a nie inny przebieg wydarzeń latem i jesienią 1980 roku. Można zatem bez popadania w sprzeczność założyć, że wyniki krakowskiej ankiety prawdziwie odzwierciedlają psycho-społeczny stan zbiorowości i że ta sama zbiorowość posiada znaczne siły regeneracyjne, które zapewne ujawnią się przy najbliższej nadarzającej się okazji.

Nas jednak interesują tu, w tym artykule, przytoczone konkluzje krakowskich socjologów wyłącznie w tym zakresie, w jakim odnoszą się do problemu emigracji.

IX

Wniosek, iż przedstawiona powyżej sytuacja psycho-społeczna sprzyja podejmowaniu decyzji o wyjeździe nie wymaga szczegól-

* „Naród — 'Solidarność' — komunizm. Fragment ankiety”. *Bez dekretu* nr 1. Kraków, listopada 1984 r.

nej bystrości umysłu, ani nadmiernie rozbudowanej wyobraźni socjologicznej. Nawet uznając wyniki uzyskane przez krakowskich badaczy za skrajne, przyjmując, że w całym kraju jest nieco lepiej, i tak można powiedzieć: jeśli ludzie w skali statystycznie doniosłej widzą najbliższą przyszłość własną i całego społeczeństwa tak pesymistycznie, wyjeżdża zaś tak mało osób — no, bo nawet kilkanaście tysięcy rocznie, to nie tak wiele — to nie jest źle i o czym tu mówić.

W istocie emigracja nie jest zjawiskiem groźnym ilościowo, lecz jakościowo. W naszym przypadku — inaczej, niżby to mogło mieć miejsce w NRD, gdyby nie szczerze zamknięta granica — nie o to chodzi, ile osób wyjeżdża, lecz kto wyjeżdża. (Pomijam aspekt indywidualnego dramatu, bo tu wszyscy są równi, co nie znaczy, że każdy jednakowo przeżywa sprawę).

Rzecz w tym, że w większości wypadków ludzie podejmują decyzję o wyjeździe, a często o pozostaniu na „Zachodzie” — który może być Australią lub Japonią — „na niepewne”. Rozumiem przez to, że — choć może nie w pełni — jednak zdają sobie sprawę z ryzyka, praktycznie nieodwracalnego. Otóż podjęcie takiego ryzyka wymaga aktywnej postawy wobec życia, dużego zasobu energii, wiary we własne siły i własną dobrą gwiazdę, wyobraźni i przedsiębiorczości. I nie chodzi tu jedynie, a nawet nie przede wszystkim, o materialny aspekt decyzji, lecz o absolutną niewiadomą, jaką jest zdolność każdego z nas do adaptacji w obcym środowisku. Dotyczy to, choć w nieco mniejszym stopniu, nawet tych, którzy w RFN automatycznie uznawani są za obywateli niemieckich, i którzy dość często mają tam bliższą lub dalszą rodzinę.

Jeśli założyć, iż niemal każda jednostka posiada pewien zasób energii dającej się z pożytkiem dla innych uruchomić, to wśród emigrantów procent ludzi o dużych zasobach takiej energii jest znacznie wyższy niż w całym społeczeństwie. Współczesna emigracja zarobkowo-polityczna z Polski jest poważnym problemem społecznym przede wszystkim — choć nie jedynie — właśnie z uwagi na fakt, iż wyjeżdżają ludzie, co do których zasadnie wolno domniemywać, że z różnych względów byłiby dla społeczeństwa cenni. To prawda, że znaczna część zalet tych ludzi w pełni zrealizować się może w warunkach gospodarki rynkowej, że więc w PRL albo w ogóle by się nie urzeczywistniła, albo doszłaby do głosu w bardzo ograniczonym zakresie. Ale nawet biorąc pod uwagę tę poprawkę, uznać należy ów ubytek energii za poważną stratę.

Tu oburzony działacz podziemia lub naziemia powiedzieć może: jeśli są tacy aktywni, to niech zakładają tajne drukarnie,

fabryczki powielaczy, struktury ponadzakładowe; niech organizują życie intelektualne w parafii, niech działają w przykościelnych komitetach pomocy pozbawionych wolności itp.

Ależ — odpowiem na to — oni to robią. To znaczy, część z nich. Gdyby nie cała nielegalna działalność „Solidarności”, ilość emigrantów byłaby znacznie większa. Toteż ci, którzy chętnie widzieliby rozwiązanie podziemia, motywując to troską o „substancję narodową”, winni sobie zdawać sprawę z tego, że ewentualna realizacja ich koncepcji prowadzi do wzrostu ilości wyjeżdżających za granicę. Nie jest przecież tak, by wszyscy, którzy pracują w prasie i wydawnictwach drugiego obiegu nadawali się do pracy w parafii. I nie dlatego, że działa tu podział na wierzących i niewierzących, bo — jak wiadomo — przy parafiach działają również ludzie niewierzący.

Nie zapominajmy, że wcale nie błaha część ludzi zastanawiających się nad ewentualnym wyjazdem bierze pod uwagę taki argument, jak zapewnienie lepszej przyszłości dzieciom. Że podejmują ryzyko, o tym już pisałem. Ale oni są zdania, że zostając w kraju mają pewność: mianowicie że dzieci lepszej przyszłości nie zaznają. Otóż jakkolwiek dyskusyjne może być to rozumowanie, nie sposób uznać takiej motywacji za dyskwalifikującą moralnie.

Jest tak, że bardzo wielu ludzi ma „tego wszystkiego” absolutnie dosyć. I że spośród nich na wyjazd z kraju decydują się tacy, którzy w innych warunkach bardzo by się krajowi mogli przydać. W innych i nie tylko w innych.

X

Jest więc źle. Mamy do czynienia z poważnym problemem społecznym, którego — obym był złym prorokiem — waga i czysto ilościowy zakres będą w najbliższych latach nie maleć, lecz narastać. Oczywiście, można sobie wyobrazić, że w pewnym momencie komunista radykalnie — w stosunku do obecnych — ograniczą możliwości wyjazdu. Ale po pierwsze, jak się wydaje, nie mają oni nic przeciw temu, by ludzie psychicznie, osobowościowo aktywni, przedsiębiorczy, pomysłowi, a więc stanowiący dla nich potencjalne zagrożenie, opuszczali kraj. Po drugie, szczelne zamknięcie granicy jest rozwiązaniem pozornym i spowodować musi zapełnienie więzień, a przy kolejnej „liberalizacji” — masowy *exodus*. Po trzecie wreszcie, z powodów zasadniczych jest to rozwiązanie dla demokratycznego ruchu oporu nie do przyjęcia.

Jeśli więc jest źle, a prawdopodobnie będzie gorzej, to pow-

staje pytanie, czy można temu procesowi ubytku energii społecznej jakoś przeciwdziałać?

Otóż obawiam się, że w niewielkim stopniu.

W warunkach biedy, zniechęcenia i braku nadziei na poprawę emigracja nie jest procesem, którym można radykalnie ograniczyć przy pomocy niepozbawionych racji moralnych apeli. Skądinąd za normalne należy uznać, iż w tej sytuacji księża zwracają ludziom uwagę na fakt, iż brak nadziei nie jest zgodny z postawą chrześcijańską. Za błąd ruchu oporu uważałbym natomiast potępienie wszystkich wyjeżdżających *en masse*. W ogóle nie przepadam za potępieniami, a już szczególnie w przypadku tak skomplikowanych i trudnych decyzji, jak postanowienie wyjazdu z ojczyzny.

Cóż więc możemy uczynić my, w ten czy inny sposób działający w ruchu oporu i zdający sobie sprawę z niepożądanych skutków tego, co nazwałem ubytkiem energii?

Otóż myślę, że przede wszystkim winniśmy sobie uświadomić, o co chodzi. Jakie są przyczyny zjawiska, w miarę możliwości jaki jest jego faktyczny zakres? Sądzę, że mimo wszystkie trudności coś nie coś dałoby się tu ustalić, choćby prosząc o pomoc emigrację.

Po drugie, jestem pewien, że TTK winna wydać oświadczenie, czy też sygnować zamówione opracowanie. Wskazać na społeczne i polityczne przyczyny zjawiska, nazwać jego skutki, no i jeśli już kogo potępić, to może nie wyjeżdżających, a tych, którzy ponoszą odpowiedzialność za ubóstwo, brak perspektyw, poczucie beznadziejności. Tym, którzy rozważają ewentualność wyjazdu TTK powiedzieć może, że są nam potrzebni, że owszem, prosimy ich o poświęcenie.

Pewnie to i niewiele, ale chyba jest to nieodzowne minimum.

P.S. Tytuł artykułu jest cytatem z piosenki śpiewanej przez Łucję Prus (i, bodaj, Skaldów) do słów Agnieszki Osieckiej: „Wśród ptaków wielkie poruszenie, ci odlatują, ci zostają...”.

LEOPOLITA

Lwówek, styczeń 1985

Dziennik pisany nocą

Neapol, 18 listopada 1984

Niestrudzony i wytrwały „dostojewszczyk” Zbigniew Podgórzec opracował antologię *Okrutny talent — Dostojewski we wspomnieniach, krytyce i dokumentach*. Fragment pamiętników Szymona Tokarzewskiego, katorżnika w Omsku razem ze skazanim w procesie „pietraszewców” Dostojewskim:

„Dostojewski nienawidził Polaków, ponieważ z rysów i nazwiska, niestety!, znać było pochodzenie polskie, mawiał że gdyby wiedział, iż w jego żyłach płynie chociaż jedna kropla polskiej krwi, kazałby ją natychmiast wypuścić. Jakże boleśnie było słuchać, gdy ten spiskowiec, ten skazaniec za wolność i postęp, wyznawał że wówczas dopiero czuje się szczęśliwym, kiedy wszystkie ludy przejdą pod panowanie Rosji. Nigdy nie mówił, że Ukraina, Wołyń, Podole, Litwa, wreszcie Polska cała, jest krajem zabranym, lecz utrzymywał, że te całe obszary ziemi są odwieczną własnością Rosji, że ręka sprawiedliwości Bożej te prowincje, te kraje oddała pod berło cara dlatego, że one nie mogły istnieć samodzielnie, że na długo jeszcze pozostałyby w stanie ciemnoty, barbarzyństwa i nędzy. Nadbałtyckie prowincje, zdaniem Dostojewskiego, to Ruś właściwa; Syberia i Kaukaz — podobnie. Słuchając tych dowodzeń, nabieraliśmy przekonania, że Fiodor Michajłowicz na pewnych punktach dotknięty jest umysłowym zbroczeniem. On zaś z upodobaniem te absurda powtarzał. Twierdził nawet, że Konstantynopol dawno powinien należeć do Rosji, jak niemniej cała Turcja europejska, która niedługo będzie stanowiła kwiat rosyjskiego imperium. Raz Dostojewski zadeklamował nam swój utwór: odę na uczczenie wkroczenia zwycięskiej armii rosyjskiej do Konstantynopola. Oda była istot-

nie ładną, żaden z nas przecież nie kwapił się z pochwałami, a ja spytałem: *A na wozwratnyj put' u was ody niet?* Szalał z gniewu. Skakał mi do oczu, nazywając wprost nieukiem i barbarzyńcą, tak straszliwie wrzeszczał, że po całym ostrogu pośród brygadów rozszedł się pomruk: Polityczni przestępcy się biją”.

W *The Years of Ordeal 1850-1859*, wydanym świeżo drugim tomie ogromnej (zaplanowanej na pięć tomów) monografii o Dostojewskim, Joseph Frank omawia stosunki przyszłego autora *Zapisków z martwego domu* z katorżnikami polskimi, powołując się między innymi na pamiętniki Tokarzewskiego. Dostojewski szanował jakoby w duchu polskich współtowarzyszy katorgi — szczególnie Aleksandra Mireckiego i Józefa Bogusławskiego, mniej trochę Tokarzewskiego — ale drażniło go, że są „nietolerancyjni” i „zanadto interesuje ich polityka”. Wybuchy w rodzaju opisanego przez Tokarzewskiego tłumaczyć należy, według Franka, charakterem Dostojewskiego: Bieliński twierdził, że „kiedy Dostojewski się podnieca, nie wie co mówi”; Panajewa dodawała, że „przyparty do muru broni czasem najśmieszniejszych poglądów”. Jeden z tych „śmiesznych poglądów”, wyniesionych z procesu „pietraszewców” i z katorgi, brzmiał pewnie tak: polityka jest rzeczą poważną, nie dla prawdziwych patriotów rosyjskich, a tym mniej dla mieszkańców „krajów oddanych ręką Boga pod berło cara”. Polityka jako imperialne *sacrum*, to przetrwało do dzisiaj pod berłem partyjnych carów.

20 listopada

„Neapolitańskim Faustem” nazywany jest często Raimondo di Sangro, książę Sansevero, osiemnastowieczny oryginał, alchemik, admirator „wiedzy sekretnej”, amatorski maniak „sztuki anatomicznej”, spirytysta, badacz Kabały, mason wysokiego stopnia wtajemniczenia. W jego kaplicy w centrum starego miasta można oglądać marmurową rzeźbę *Cristo morto* lub *Cristo velato*. Jest dziełem rzeźbiarza Sammartino, niezwykłym dziełem głównie, że marmurowe przezroczyście okrycie przesłania ciała zdjętego z krzyża. Sammartino pracował nad swoją rzeźbą, zamówioną przez księcia, wiele lat. Gdy ją ukończył, książę kazał go oślepić, by nigdy już więcej nie powstało nic równie zadziwiającego. Tak głosi ludowa legenda, którą z pobłażliwym uśmiechem powtarzają historycy Neapolu, a na serio dozorczy kaplicy Sansevero. Legendy ludowe mają właściwość obrastania w potomstwo, rodzą nowe legendy. Jedną z nich słyszałem przed laty od bardzo starego kustosza kaplicy. Być może wymyślił ją sam, nudząc się śmiertelnie na swoim posterunku. Niewidomy Sam-

martino (głosiła nowa legenda) spędzał całe dnie przy swojej rzeźbie, odtwarzał ją sobie dotykiem rąk, uczył się jej palcami. A po nocach, w ukryciu, rzeźbił *Cristo risorto*, Chrystusa zmartwychwstałego, też owiniętego w przezroczystą zasłonę. Aż pewnej nocy książę, zawiadomiony o tym przez swoich szpiegów, wtargnął niespodzianie do jego pracowni, przebił szpadą zuchwalca i kazał roztrzaskać młotami nieukończoną rzeźbę. I wtedy cudownie przezroczysta zasłona marmurowa na Chrystusie umarłym w kaplicy zmatowiała tak, że ciało zdjętego z krzyża stało się niewidoczne. Odzyskała swą dawną przezroczystość dopiero po śmierci „neapolitańskiego Fausta”.

22 listopada

Z serii żywotów pouczających, choć nie budujących.

Wybitny poeta niemiecki Gottfried Benn. W roku 1933 wydaje książkę *Nowe Państwo i intelektualisci*. Píše w niej: „Wolność ducha? Tylko dla państwa”; gdyż „wszystko co złożyło się na chwałę Zachodu, co zdecydowało o jego rozwoju, było wytworem państw niewolniczych”. W gazetach, w radio, na zebraniach publicznych usprawiedliwia obozy koncentracyjne, wzywa do wzmocnienia państwa totalitarnego. Staje się beniaminkiem i propagandystą reżymu. Przeprowadza czystkę w Akademii Pruskiej, podejmuje się roli inkwizytora w Związku Pisarzy. W okresie palenia książek odpowiada na list Klause Manna (syna Tomasza) z Francji gwałtowną diatribą przeciw emigrantom: „wylegają się na słońcu w willach śródziemnomorskich”, zamiast wesprzeć reżym narodowo-socjalistyczny w jego pracy nad odrodzeniem Niemiec.

Gubi go wierność własnym upodobaniom artystycznym. Przekonany o swojej nietykalności superarbitra w sprawach sztuki, bierze w obronę ekspresjonizm, źle widziany przez hitlerowską elitę władzy. Z dnia na dzień wpada w niełaskę. Unika go Goebbels, wczoraj jeszcze pochlebca i wysoki protektor. W dwa lata później krytycy nie zostawiają suchej nitki na jego wydanym właśnie tomie wierszy. Członkowie Akademii Poezji ledwie podają mu rękę. Chce przemówić nad grobem Stefana George, nie pozwalają mu. Ktoś wygrzebuje z jego przeszłości fakt, że był kochankiem poetki żydowskiej Elsy Lasker-Schüler. W tygodniku SS częstują go epitetem *Schwein*.

W roku 1943, po uroczystym posiedzeniu Akademii, notuje w dzienniku: „Wszystko co pisali emigranci powinno nam być wystarczyc”.

Po wojnie poeta, który niegdyś witał radośnie nadejście „no-

woczesnego państwa niewolniczego”, który reżymowi hitlerowskiemu dał pełne poparcie intelektualne i moralne, występuje w aureoli męczennika Trzeciej Rzeszy. Zostaje wybrany do dwóch Akademii: w Monachium i w Darmstadt, otrzymuje nagrodę Büchnera i krzyż zasługi RFN.

Odwiedza go po powrocie z emigracji Ludwig Marcuse (nie mylić z Herbertem), biograf Ignacego Loyoli. „Czemu przypisać entuzjazm, z jakim Pan wiwatował na cześć zwycięskiego hitleryzmu?”. Benn purpurowieje, jąka się z opuszczonymi oczami: „Ja... ja... ja nie wiem”. Opanowawszy się trochę, dorzuca: „Kiedy brunatne bataliony maszerowały pod moimi oknami, uwierzyłem w prawdziwą rewolucję”.

Zaklęcie magiczne „prawdziwej rewolucji”, opium dla intelektualistów: otwórz się Sezamie Nowego Państwa, Światlanej Przyśrości, otwórz się czym prędzej, wspaniały, upragniony Sezamie...

23 listopada

Do carskiej zasady polityki jako *sacrum* odnosił się świętokradczo dekabrysta Michał Łunin, warszawski adiutant wielkiego księcia Konstantego, człowiek podziwiany przez Herzena, Tołstoję i — w mniejszym nieco stopniu — Dostojewskiego. 1 stycznia 1840, w czternastym roku syberyjskiego zesłania i na pięć lat przed śmiercią w strasnym Akatuju (gdzie jego towarzyszami byli Piotr Wysocki i inni Polacy), pisał do siostry Katarzyny Uwarowej: „Niepokoją Cię moje listy, jesteś niezadowolona, kiedy zdarza mi się mówić o polityce. Ale w naszych czasach trudno powiedzieć dzień dobry”, by słowa te nie zawierały sensu politycznego. Zresztą wydaje się, że przywiązujesz zbyt wielką wagę do myśli wygnańca, wyłożonych nie do druku... Prawda jest zawsze drogocenna, gdziekolwiek się pojawi. Gdyby oczekiwać jej od Senatu Rządzącego, musiałyby upłynąć wiele wody, zanim by to nastąpiło”.

Maisons-Laffitte, 29 listopada

Z Kotem Jeleńskim u Denoëla, który wydaje po francusku *Inny świat*. „Jak to się stało — zapytał miły kierownik literacki wydawnictwa — że dopiero teraz, trzydzieści z górą lat po napisaniu, książka ukaze się nareszcie we Francji?”.

Nieźla okazja do spojrzenia wstecz; bez goryczy, po prostu w celach dydaktycznych. Prawie natychmiast po edycji angielskiej, czyli u progu lat pięćdziesiątych, Plon podpisał umowę na

przekład francuski (lektorem rekomendującym był Gabriel Marcel). Zabrał się z wawo do dzieła, drukując w formie zapowiedzi kilka dużych fragmentów na łamach *Figaro littéraire*. W jakiś rok później nadeszła z wydawnictwa wiadomość, że postanowiło wycofać się z imprezy za radą „nowego zespołu lektorów”. Posłałem egzemplarz angielski do Gallimarda, na ręce Camusa. Mam przed sobą jego list, datowany 25 czerwca 1956: *J'avais beaucoup aimé votre livre et j'en ai parlé chaleureusement ici. Pourtant la décision a été finalement négative, surtout, je crois, pour des raisons commerciales. J'en ai été personnellement très déçu et veux vous dire au moins que, selon mon opinion, votre livre devrait être publié et lu dans tous les pays, autant pour ce qu'il est que pour ce qu'il dit. Si vous le permettez, je continuerai à examiner les possibilités de publication chez d'autres éditeurs.* Starania Camusa u innych wydawców nie dały wyników. Po jego śmierci w roku 1960 były jeszcze podejmowane pewne próby, też bezowocne. Sprawę należało uznać za przegraną i zamkniętą. I nagle w roku 1980 odkrył *Inny świat* (po angielsku) pisarz hiszpański Jorge Semprun w swojej książce *Quel beau dimanche!* Nie znałem go wówczas, nie wiedziałem, że poza odkryciem we własnej książce polecił gorąco *Inny świat* Denoëlowi, wydawcy, z którym jest związany. Sempruna poznałem pół roku temu, na herbatce dla Wajdów u Kota Jeleńskiego. Przekład był już wtedy gotowy, ponieważ jednak rzecz cała odbyła się za moimi plecami, między Denoëlem i londyńskim wydawcą Heinemannem, dokonano go nie z oryginału polskiego, lecz ze znakomitego tłumaczenia angielskiego śp. Andrzeja Ciolkosza. Jedno tylko udało mi się wymóc: zgodę wydawcy na konfrontację przez Kota tekstu francuskiego z polskim.

Więc jak to się stało? Co powodowało „nowym zespołem lektorów” u Plona? Jaki miało podtekst zdanie Camusa z tym *surtout, je crois, pour des raisons commerciales*? Nie pomyślę się chyba odpowiadając, że historię francuskiego *establishmentu* kulturalnego trzeba podzielić na dwa rozdziały: przed Solżenicynem, po Solżenicynie. W Anglii, gdzie *Inny świat* cieszył się sporym powodzeniem u czytelników i spotkał się z dobrym przyjęciem krytyki, jedna z recenzji (pochlebna zresztą) kończyła się ostrzeżeniem: „Ale nie wolno zapominać, że napisał tę książkę Polak, a wiadomo przecież czym była i jest Rosja *Under Polish Eyes*”. Także dla autora *Quel beau dimanche!*, więźnia Buchenwaldu, którego wyrzucono z hiszpańskiej partii komunistycznej w roku 1964, uwierzytelnieniem *Innego świata* była w znacznej mierze opowieść o jednym dniu Iwana Denisowicza...

Tak to niegdyś bywało, o czym nie wiedzą — lub czasem nie chcą nawet wiedzieć — poniektórzy nadwiślańscy uciekinie-

rzy z „międzynarodowego obozu postępu”. Skoro już uderzyłem po trosze w ton zwierzeń osobistych, dodam że byłoby mi trudno przebrnąć przez początkowy okres życia we Włoszech, gdyby mi los nie był zesłał daru przyjaźni dwóch osób, dwóch „emigrantów w ojczystym kraju” (bo za takich uważali się długo, i naturalnie uchodzili w włoskim „obozie postępu”, Silone i Chiaromonte). Z tego początkowego okresu życia we Włoszech pozostała mi pamiątka w postaci artykułu rzymskiej wieczorówki „postępowej”, który w nie zanadto zawołowany sposób sugerował pozbawienie mnie prawa azylu za pióro na usługach „oszczerstwa i nienawiści”.

12 grudnia

Przed dzisiejszą wizytą u Sempruna przeczytałem z ciekawości moje notatki hiszpańskie *Od Burgos do Barcelony*, drukowane w *Kulturze* w roku 1962. „Nawet jeśli nie wszyscy rozmówcy przyznają się do tego otwarcie, pamięć wojny domowej jest w Hiszpanii obsesją, cieniem towarzyszącym nieodstępnie każdej ocenie politycznej, każdemu przewidywaniu na przyszłość. W Prado przykuwa uwagę niewielki obraz Goyi *Panico y Caos*, który przedstawia ogromne i ciemne widmo o ludzkich kształtach, ściągające przerażony i rozsypany w popłochu tłum. O tym widmie myśli się często, słuchając objaśnień na temat sytuacji w Hiszpanii. To widmo jest obecne dniem i nocą w hiszpańskiej podświadomości zbiorowej. Temu widmu zawdzięcza swe istnienie ogródek Małej Stabilizacji, uprawiany na stokach niewygasłego wulkanu. Tym widmem *El Caudillo* podpira najskuteczniej swoją władzę. Wnioski takie nasuwa również pogawędka z profesorem L. w jego madryckim mieszkaniu w okolicach Plaza Mayor. Miarą anachronizmu reżymu jest fakt, że Franco interesuje wszystkich głównie jako nieboszczyk. Potem, co potem? Bezkrwawe przejście do nowej formy rządów, czy nowa wojna domowa? Powrót do Europy, czy Panika i Chaos? Uzgodniona zawczasu sukcesja, czy *après moi le déluge?*”. Owym „profesorem L.” z moich notatek był wybitny, zmarły ostatnio poeta Jose Bergamin. Określiłem go w notatkach jako „sceptyka z domieszką umiarkowanego optymizmu”. Sceptycyzm Bergamina dotyczył „skompromitowanej nieodwołalnie” monarchii, niezdolnej do odegrania roli „amortyzatora” po śmierci Franco; mylił się całkowicie. Domieszka umiarkowanego optymizmu w jego rozumowaniu brała się z lekcji, jaką był świeży strajk górników w Asturii, w którym zauważono dwa nowe symptomy: osłabienie reżymu przez wybuch protestu robotniczego, oraz niespo-

dzianą i prawie spontaniczną reakcją Kościoła, wskazującą na chęć zeskokczenia przy lepszej sposobności z rydwanu zwycięskiego w wojnie domowej Wodza; tu Bergamin miał całkowitą rację. Bezkrwawe składanie reżymu do grobu było jakby procesem społecznego obłęzania jego głównej podpory, wojska. Ułatwił ten proces i później go przypiecztował Juan Carlos; rozumny, na szczęście, król.

Zjawiskiem dość nieoczekiwanym, o którym opowiadał mi dziś Semprun, jest stały spadek wpływów i głosów komunistycznych. Carrillo ze swoim „eurokomunizmem” wydawał się kiedyś jednym z protagonistów post-frankistowskiej Hiszpanii. Partia przeżywa od pewnego czasu głęboki kryzys. Nie tylko na skutek rozbitcia podsycanego przez Moskwę. W obrębie swoich sztywnych struktur doktrynalnych i organizacyjnych nie potrafi zaspokoić tych potrzeb i aspiracji demokratycznych, jakie dyktatura zaszczerpiła w twórcach „komisji robotniczych”.

Rzym, 29 grudnia

Lubię rzymską Via Sistina, dziwnie mnie zawsze wzrusza przystąpienie na chwilę przed kamienicą, w której — jak oznajmia tablica z medalionem Gogola — powstały *Martwe dusze*. Tablica jest skromna, ogranicza się do stwierdzenia, że „tutaj w latach 1838-1842 Gogol pisał *Martwe dusze*”. Ostatnio przybyła na frontonie tej samej kamienicy nowa tablica: „Tutaj mieszkał w roku 1847 i 1848 poeta polski C. K. Norwid, rozmyślając o ideałach ojczyzny, Rzymu i sztuki”. Wysoki diapazon inskrypcji jest dla mnie nieznośny. I odbiega od tekstów wielu innych tablic w tej dzielnicy Rzymu, wyjątkowo w przeszłości bogatej w sławnych rezydentów. Bardzo blisko stąd, na Via Crispi, mieszkał długo Ibsen, „dobrowolny emigrant z ojczystej Norwegii”, który „tutaj napisał *Branda* i obmyślał *Peer Gynta*”. W odległości kilkudziesięciu metrów, znowu na Via Sistina, po prostu „mieszkał Hans Christian Andersen”. U stóp Schodów Hiszpańskich lakoniczna tablica głosi, że „tutaj w roku 1821 umarł młody poeta angielski Keats”. Ale wystarczy przejść przez Plac Hiszpański na Condotti i skręcić w uliczkę na lewo, aby z dużej tablicy na niewielkim frontonie Hotelu Angielskiego dowiedzieć się, że mieszkał w nim w roku 1893 „pisarz i patriota polski Henryk Sienkiewicz, laureat nagrody Nobla, epicki narrator bohaterów czynów swego narodu”.

Tablice w tym stylu zawdzięczamy profesorowi Bilińskiemu, dyrektorowi stacji rzymskiej PAN, o którym przed laty powiedział mi żartobliwie profesor Brahmer, że „zamierza najwidocz-

niej przekształcić Włochy w polskie lapidarium”. Podobno w Nervi upamiętniony został tablicą na frontonie hotelu czy pensjonatu historyczny moment napisania tam przez Konopnicką wiersza *Italia, Italia*.

Czy ten rozwinięty szeroko pawilon ogon jest nabytkiem świeżym? Pewnie tak, jeśli w Neapolu na Santa Lucia skromna tablica przedwojenna zadowala się jednym krótkim zdaniem: „Tu mieszkał Juliusz Słowacki w roku 1836”.

Na fali radosnej twórczości lapidaryjnej proponuję, dla przeciwwagi, wmurowanie w Buenos Aires następującej lapidarnej tablicy: „Tu mieszkał Witold Gombrowicz, tu napisał *Trans-Atlantyk*”. A pod spodem, mniejszymi literami: „Nie lubię ja gdy Masło zbyt Maślane, Kluski zbyt Kluskowe, a Krupy zbyt Krupne”.

30 grudnia

W gazetach i w rozmowach z moimi rzymskimi znajomymi notowania Andreottiego na miejscowej giełdzie politycznej podskoczyły gwałtownie do góry: po „gafie niemieckiej” warszawski „majstersztyk ekwilibrystyki dyplomatycznej”. Rozmawiał długo z Generałem i z Prymasem, był na grobie księdza Popiełuszki, kazał zaprosić na przyjęcie w ambasadzie włoskiej Mazowieckiego i Geremka. *Mein Liebchen, was willst du noch mehr?* Nutę euforii, według moich rozmówców, słychać także w „kołach watykańskich” i w „polskim otoczeniu Jana Pawła II”. Włoski minister, przynajmniej szczerze, zasłużył jednak na swoją sławę „wielkiego gracza”. Co prawda ostrzegł, że „pluralizm” co innego znaczy w Rzymie a co innego w Warszawie, ale właśnie „wybitny paryski znawca spraw polskich” K. S. Karol zapewnia w *Nouvel Observateur*, że te różne chwilowo znaczenia mogą się wkrótce z powodzeniem do siebie upodobnić. Czyli perspektywa „nowego rozdania kart”, którą ujrzał niedawno jasnowiedz-publicysta *Kontakt*. Grać będą Polacy z obu stron barykady, Włoch przywiózł tylko z Wiecznego Miasta nowiutką talię kart. I w Warszawie ograniczył się do roli zachęcającego do gry kibica.

Wszystko to są mniej czy więcej pocziwe naiwności, szkoda jedynie, że dał się nimi częściowo zarazić człowiek tak inteligentny jak Geremek. W dzisiejszym *Manifesto* czytam wywiad z nim na temat wizyty włoskiego ministra. „Andreotti złożył wizytę nie tylko rządowi polskiemu, lecz całemu społeczeństwu, i być może zdoła wzmocnić polską nadzieję”. A zatem (pyta dziennikarz) chciał uwiarygodnić dobrą wolę rządu polskiego? Geremek staje się, dzięki Bogu, nieco ostrożniejszy: najważniejsze jest nawią-

zanie dialogu władzy ze społeczeństwem, a nic jak dotąd nie wskazuje, że władza zamierza szukać na serio takiego dialogu; „poszukiwanie dialogu odpowiada intencjom społeczeństwa polskiego, niestety nie wiem czy odpowiada intencjom rządu”.

Nie wie tego również Andreotti, wie natomiast po swojej długiej rozmowie z Jaruzelskim, że Generał jest *duro evolvibile*, „twardy ze zdolnościami do ewolucji”. Definicja brzmi jak wskazówka dla wykonawców na partyturze utworu muzycznego. Nie ma żadnej wartości dla Polaków, przeciwnie — służy do zamęcenia im w głowach. Ma za to, jako alibi, pewną wartość dla Zachodu z rosnącymi ciętami do „honorowego odwrotu”. I taki był cel podróży polskiej Andreottiego.

Neapol, 4 stycznia 1985

On croit rêver! Okrzyk wyrwa się z ust warszawskiemu korespondentowi *Figaro* na wiadomość, że pułkownik Pietruszka, najstarszy stopniem oficer w procesie o zabójstwo księdza Popiełuszki, reprezentował w przeszłości wielokrotnie ministra spraw wewnętrznych w poufnych kontaktach z episkopatem, i że główny oskarżony kapitan Piotrowski był jednym z głównych odpowiedzialnych za bezpieczeństwo Ojca Świętego podczas drugiej pielgrzymki do Polski i z tego tytułu został nawet zaszczycony osobistym podziękowaniem Jana Pawła II na lotnisku w Balicach, wraz z uściskiem dłoni. *On croit rêver!* Więcej w tym okrzyku głupoty, czy obłudy?

5 listopada, nazajutrz po pogrzebie księdza Popiełuszki, opisałem w dzienniku zabójstwo Matteottiego. W miesiąc później ukazało się na łamach mediolańskiego *Giornale* pouczające zestawienie. W jednej szpalcie fotografia Jaruzelskiego z fragmentami jego wypowiedzi na konferencji prasowej 29 listopada; w drugiej szpalcie obok fotografia Mussoliniego z fragmentami jego przemówienia w parlamencie natychmiast po zamordowaniu Matteottiego. Dla przykładu dwa najciekawsze fragmenty. Jaruzelski: „Nikt nie jest bardziej od nas zainteresowany w tym, aby nie pozostały żadne wątpliwości w sprawie zamordowania księdza Popiełuszki. Ten haniebnny akt wyrządził liczne szkody, i dlatego zainteresowanie rządu w wykryciu i ukaraniu winowajców jest, jeśli to możliwe, jeszcze większe”. Mussolini: „Jeżeli ktoś ma większe od innych prawo do bólu i rozpacz, to ja. Tylko mój wróg, obmyślający w ciągu wielu długich nocy coś diabolicznego, mógł popełnić tę zbrodnię, która dziś przejmuję nas zgrozą i wzdiera nam z piersi krzyki oburzenia”.

W pół roku później *Duce* wziął na siebie „pełną odpowiedzial-

ność moralną, polityczną i historyczną za to, co się stało”; i otwartym przyznaniem się do zbrodni reżymu wzmocnił zachwiany poważnie reżym, wykorzystując zrećnie dezorientację opozycji. A Generał?

11 stycznia

Gwałtowność tkwi u źródeł baroku neapolitańskiego. Dobrze to widać na wspaniałej wystawie XVII „wieku barokowego” w Neapolu. Gwałtowność kolorów, form, kompozycji, walki światła z cieniem, drżącego, konwulsyjnego niemal splotu tego co widzialne i niewidzialne. Dzięki wystawie na Capodimonte rozumie się lepiej, jak dalece barok ukształtował twarz miasta, stał się wyrazem jego prawdziwej duszy. Zawsze czułem się w gotyckim kościele Świętej Klary, jednym z ładniejszych we Włoszech, jakby poza Neapolem, na zatopionej dawno wyspie która wynurzyła się nagle z morza. Wynurzyła się rzeczywiście po pożarze w roku 1943, gdy podczas restauracji oczyszczono kościół z barokowych narośli i przywrócono mu pierwotną gotycką surowość. Niewykluczone, że moje przywiązanie do Świętej Klary jest instynktownym odruchem ucieczki od barokowego szaleństwa Neapolu.

Ten wiek, *Seicento napoletano*, otworzony potężną, gwałtowną, rozdygotaną w gorączce ręką Caravaggia, burzliwy, określany często słowami *secolo delle passioni barocche*. Trzy wydarzenia odcisnęły na nim niezatarte piętno: wybuch Wezuwiusza w roku 1631, rewolta Masaniella w roku 1647, dzuma w roku 1656. Trzy erupcje: wulkanu, buntu plebejskiego, zarazy. Trzy „geny” uśpione gdzieś głęboko po dziś dzień w podglebiu miasta.

Sala za salą, uderzająca w swej stylistycznej jednorodności galeria większych i mniejszych mistrzów. Aż do „syntezy” (w języku historyków sztuki), do uspokojenia po prostu. Zamykają wiek Luca Giordano, Salvator Rosa, Francesco Solimena. Odślania się wypogodzona trochę twarz Neapolu, barokowego *paradiso dei diavoli*, raj u diabłów.

W ramach okien i balkonów pałacu na Capodimonte biel śniegu, tak kontrastującego z wystawą, nieoglądanego tu od trzydziestu lat. Zwiedzający przystają, patrzą chwilę z niedowierzaniem, niekiedy odpędzają ten widok krótkim chichotem.

13 stycznia

Telefon J. z Rzymu, przyleciał wczoraj z Warszawy. W dro-

dze na Okęcie nieśmiertelny taksówkarz warszawski, uosobienie inteligencji ludowej; wybuchnął: „Nie wiadomo już teraz czy to jest proces morderców księdza Popiełuszki, czy proces księdza Popiełuszki”.

14 stycznia

„Pisarstwo jest formą modlitwy”. Do tej refleksji Kafki odwołuje się Auden, by wytłumaczyć jego decyzję zniszczenia całego swojego dorobku pisarskiego. „Kto naprawdę kieruje swoje modlitwy do Boga, nie życzy sobie, aby były podsłuchiwane przez innych”.

Interpretacja efektywna lecz naciągnięta, natomiast pozostaje w mocy mądrość refleksji Kafki. Każde autentyczne pisarstwo przybiera w końcu postać modlitwy, jestem o tym przekonany. Modlitwy pojętej bardzo szeroko, powiedzmy: równoznacznej z zadawaniem pytań Stwórcy. Autentyczny pisarz jednak — wierzący lub nie, na klęczkach i z pochyloną kornie głową lub wyprostowany i z błyskiem wyzwania w oczach — nie powinien mieć świadomości, że w jego głosie modlitwa płynie niby podziemny strumień, raz dosłyszalny wyraźnie, raz przytłumiony czy zupełnie głuchy. Kiedy taką świadomość posiada, modlitwa staje się formą literatury, przeważnie kiepskiej literatury. W tych dniach, chcąc sobie powetować odłożoną z różnych powodów wycieczkę do Asyżu, przeczytałem książkę Julien Greena o Świętym Franciszku. To właśnie jest modlitwa w formie literatury. Szczerza zapewne modlitwa, miejscami nawet żarliwa, ale jak rozmieniająca wielkiego i dramatycznego *Poverello* na szelest papieru!

17 stycznia

Pochodziła z małego miasteczka na kresach. Była komunistką od wczesnej młodości, związała się z młodym komunistą z tegoż miasteczka, wyjechali w latach dwudziestych do Rosji. Mąż zrobił w Moskwie karierę, u progu lat trzydziestych wysłano go na zachodnią placówkę dyplomatyczną. Po pierwszym procesie moskiewskim zdecydował się na zerwanie. Zwabiono go podstępnie do zastawionej w Holandii pułapki i tam zabito. Odtąd, i aż do śmierci podobno, żyła w swoistej konspiracji. Zmieniła nazwisko, starała się nie mieszkać zbyt długo w jednym miejscu.

Zatelefonowała do mnie w Paryżu w roku 1969. Nie przedstawiała się w telefonie, powiedziała tylko, że jest moją pilną

czytelniczką. Przeczytała właśnie *Upiory rewolucji*, spodobał jej się tytuł, a jeszcze bardziej fakt, że powołałem się w słowie wstępnym na Zamiatina. I o Zamiatinie chciałaby ze mną porozmawiać. Zaproponowałem kawiarnię w Dzielnicy Łacińskiej. Zgodziła się pod warunkiem, że najpierw przyjdę do pobliskiego kościoła, postoję tam chwilę przed bramą, a potem wolnym krokiem pójdę do kawiarni. Pójdzie za mną, przysiądzie się do mojego stolika po uprzednim rozejrzeniu się w kawiarni.

Było to wszystko i śmieszne i obłudne i po jakimś przejmującym. Minęło trzydzieści z nawiązką lat od tamtych czasów. Strach zakonserwował się w niej tak, że jego nietknięty cień przeżył się jeszcze w jej starych oczach. Co miała mi do powiedzenia o Zamiatinie? Po śmierci męża zamieszkała w tej samej co Zamiatin, jak się okazało, obskurnej kamienicy paryskiej. Ze strachu nie nawiązała z nim stosunków, nie odpowiadała nawet na jego grzeczne pozdrowienia na schodach. W marcu 1937 była świadkiem jego pogrzebu, a raczej znoszenia trumny z wysokiego piętra do karawanu przed domem. Wąskie schody uczyniły z tego znoszenia koszmar: to trzy stopnie w dół, to dwa do góry, to trumna poziomo nad głowami niosących, to na sztorc, a z balkonów od podwórza głośne narzekania lokatorów, że klatka schodowa jest zagwożdżona, że kiedyż to się nareszcie skończy... „Pan rozumie, pan rozumie — powtarzała gorączkowym szeptem — śmierć mojego męża, pogrzeb autora *My* na wygnaniu, upiory rewolucji”.

18 stycznia

Mało znany jest *Drobiazg do antologii o książkach*, napisany przez Zamiatina w roku 1928. „Kiedy moje dzieci wychodzą na ulicę źle ubrane, boli mnie to. Kiedy obrzucane są kamieniami przez ulicznych łobuziaków, cierpię nad tym. Kiedy chirurg zabiera się do krajania ich lancetem, wolałbym aby ciął moje własne ciało. Moje dzieci to moje książki, innych nie mam. Są książki o takim samym składzie chemicznym jak dynamit. Jedyna różnica polega na tym, że kawałek dynamitu wybucha raz, a książka wybucha tysiące razy. Człowiek przestał być małpą, pokonał małpę, w dniu gdy została napisana pierwsza książka. Małpa nie zapomniała o tym do dzisiaj: spróbujcie jej dać książkę, podrze ją natychmiast na strzępy, splugawi, opluje”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Rozmowa

Wstąpił na najwyższy stopień masywnych, kamiennych schodów.

Jeszcze ostatnie spojrzenie na świat zewnętrzny.

Dziewczynka z tornistrem. Podobna do jego córki. Kolejka starych ludzi przed sklepem. Samochód — chłodnia. Dwaj w kombinezonach z torbami. Gołe gałęzie pobliskiego drzewa obsiadły wrony. Niebo. Bardzo chciwe spojrzenie.

Pchnął drzwi i wszedł do wnętrza gmachu. Zagroził mu drogę wartownik w czapce z paskiem pod brodą. Okazał wezwanie. Za barierką na stoliku telefon. Wartownik podniósł słuchawkę, wykręcił krótki numer. Coś mówił.

— Poczekajcie — rzekł.

W przedsionku ława. Usiadł. Przed nim na ścianie czerwone płótno z białymi, papierowymi literami. Litery składały się w słowa: Myśl przekuwaj w czyn.

Wyżej godło państwowe.

W kącie popielniczka na wysokiej nóżce. Pełno w niej pokurczonych niedopałków. Jeden tlił się jeszcze. Wpatrzył się w nikły dymek płynący w górę.

Czekał niedługo.

— Pan pozwoli ze mną — powiedział wąsaty młodzieniec w skórzanej kurtce i spłóviałych, wypranych dżinsach, który pojawił się przed barierką. Wąsy miał bardzo obfite i po sarmacku opadające w dół.

— Winda popsuta — dodał i poprowadził go reprezentacyjnymi schodami, pokrytymi rdzawego koloru suknem.

Znaleźli się w długim korytarzu na drugim piętrze.

Staęli przed drzwiami z tabliczką oznaczoną numerem 34.

Młody człowiek uprzejmym gestem wskazał na krzesło. Zawrócił i zaraz zniknął za sąsiednimi drzwiami.

Panował tutaj ruch. Trzaskały drzwi. Wchodzili i wychodzili. Przeważnie mężczyźni.

Doświadczonym okiem omiatał ich twarze i sylwetki.

Bez trudności odróżniał pracowników od interesantów.

Zaznaczała się wyraźna odmienność w zachowaniu i wyglądzie jednych i drugich. Pozornie tacy sami. Jednak coś ich odróżniało. Oczy, ruchy... Nie umiał tego sprecyzować, nieuchwytność różnicy męczyła go nawet. Przypominał sobie rozmaitych, z którymi miał osobistą styczność. Był bowiem człowiekiem doświadczonym w tym zakresie. Uśmiechnął się blade. Nie znajdował się w najlepszym stanie ducha. Czuł się zmęczony i choć nadal głośno protestował na nieśmiało sugestie żony, skłonnej widzieć ich dalszą egzystencję w innej części świata, to jednak w skrytości nocnych rozmyślań coraz częściej przyznawał jej rację.

Zatruta atmosfera w instytucie, ograniczone możliwości pracy badawczej, skarłałe wszystko, jałowe i bez perspektyw.

Te listy od kolegów, którzy wyemigrowali, jeszcze bardziej przypominały mu o szansie innego życia. Jątrzyły wprost. Złe samopoczucie pogłębiały komplikacje w życiu osobistym, też w zasadzie skutek tej pamiętnej nocy grudniowej.

Ukrywając się w gościnnych mieszkaniach, poznał dziewczynę i nie był to przelotny romans, trwał nadal, męczył, przeszkadzał (miał przecież żonę i ukochaną córeczkę), powodował napięcie i chorobliwą podzielność. Powodem udreń jego serca stała się osoba bardzo młoda i ten banalny fakt przeważał na niekorzyść żony.

Przyszłość nie zapowiadała zmiany na lepsze pod żadnym względem. Nie czuł się wcale herosem. Czy starczy mu sił? Idiotyczne pytanie. Począł nerwowo przetrząsać kieszenie. Nie znalazł papierosów. Gwałtownie zapragnął być dziarski i silny.

„Tak trzymać!” — określił to pragnienie terminem z żeglarskiego słownika.

Spojrzał na zegarek. Minęło pół godziny. Oni stosują ten zabieg dosyć często. Wzywają i każą wyczekiwać na korytarzu. Liczą na niepokój tych pytań rodzących się podczas czekania. Po co wezwali? O co będą pytać? Co wiedzą? Nie odczuwał szczególnego podniecenia. Raczej rutynowe zastanowienie.

Korytarzem podążył stary człowiek. Rozglądał się niepewnie po drzwiach. Porównywał numery na tabliczkach z papierem, który ścisnął w dłoni. Szukał właściwych drzwi.

Z przeciwnej strony minął go otyły osobnik w pikowanej kurtce. Ten szedł bardzo pewnie.

Wśród wezwanych mogą też być konfidenci, szpicle. W jaki

sposób rozpoznać takiego? Stary nie jest szpiclem. Ale ten w pikowanej kurtce może nim być. Szpicle oczy mają jak kieszonkowcy. Rozlatane, myszkujące.

Jakim ciasnym torem płynie jego myślenie. Nędzą tego myślenia! W tej chwili był całkowicie zgodny z żoną.

— Wyjędźmy z tego bagna! — tak powiedziała wczoraj, kiedy powiadomił ją o wezwaniu.

Wyprostował się na krześle. Tak gwałtownie, że przechodzący akurat pracownik wojewódzkiego urzędu spraw wewnętrznych przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

Poczuł się, jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku. Sam wobec siebie zakłopotany.

Drzwi opatrzone tabliczką z numerem 34 otworzyły się szeroko. W nich cywil. Poznał go od razu. Dobry znajomy. Stały oficer śledczy. Piastunem nazwał go na swój prywatny użytek.

Szerokim gestem został zaproszony do pokoju.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedział oficer. — Niestety, nie wyrobiłem się z pewną niecierpiącą zwłoki pisaniną. Pan wybaczy, doktorze!

Od początku znajomości z upodobaniem używał jego tytułu naukowego. Snobizm, kompleks, obłudne ugrzecznienie?

Stał naprzeciw i wzrost, masywna postura tego oficera przytaczały go tak jak zawsze. Czuł się jeszcze mniejszy i bardziej wąty. Denerwujący kontrast.

Oficer wskazał mu krzesło i poczekał aż usiądzie pierwszy, dopiero wtedy sam zasiadł za biurkiem.

— Zapali pan — przesunął w jego stronę paczkę Ekstra-Mocnych z filtrem.

Odmówił i takim samym ruchem odsunął paczkę w przeciwną stronę.

— Pozwoliłem sobie oderwać pana od zajęć w instytucie... — oficer wystukał delikatny takt w blat biurka.

Dłonie miał silne, białe, palce długie o krótko obciętych paznokciach, owłosione przeguby w niebieskich, nieskazitelnie czystych mankietach koszuli. Niewątpliwie był elegantem. Ubierał się z gustem. Dziś tweedowa marynarka koloru brązowego, koszula jasniebieska w nieco ciemniejsze prążki, krawat brązowy, kołnierzyk na guziki, rogi kołnierzyka najmodniejsze, zaokrąglane.

Zastanowił się nad pochodzeniem tego ubioru. Nie mógł być krajowy. Zagraniczny. Czy oficer sam wyjeżdża? Czy przywożą mu koledzy z innych służb? Pamiętał doskonale inne jego marynarki, bluzy, efektowny golf w malinowym kolorze. Tamtej zimy kilka razy miał malinowy golf na sobie.

— Jak tam leci w instytucie? — posłyszał dźwięczny baryton

oficera. — Macie trochę kłopotów. Obcięli fundusz dewizowy... No i z wymianą stypendialną marniutko.

Od dawna wykazywał zainteresowanie jego pracą i najwyraźniej musiał posiadać wykształcenie typu ścisłego, nieźle znał problematykę i strukturę tej placówki naukowej.

— *A propos...* — dodał oficer — już dostarczyli wam te komputerki. Udane cacka, prawda? Nie będziecie tracili czasu na podstawowe operacje obliczeniowe.

Spojrzał na niego ze swoistym uznaniem. Zorientowany na bieżąco. Musi mieć swoich ludzi w instytucie. Od razu pomyślał o nowym laborancie. Nie miał do niego zaufania.

— Czy tak jak zwykle będzie pan odmawiał wszelkich odpowiedzi? — oficer roześmiał się, pokazując w tym szerokim uśmiechu białe, zdrowe uzębienie.

Przystojny. Wysoki, barczysty o pociągłej, śniadej twarzy z silnym, sinawo wygolonym zarostem, włosy czarne, gładko zaczesane w przedziałek, brwi także czarne, zrosnięte nad nosem podkreślały intensywny kolor niebieskich oczu. Muszą za nim przepadać blondynki. Po raz któryś z zazdrością zarejestrował to ucielesnienie męskiej urody. Powodzenie u kobiet było jego pięta achillesową.

— Jeszcze nie wiem — odparł. — Mimowolnie zanurzam się w przeszłość.

Była to prawda. Już od momentu wejścia do pokoju nr 34 przebywał jednocześnie tu i tam. Owa dwoistość intensywniała nieodparcie. Wtedy przebywał na parterze i prowadzono go na pierwsze piętro. Przez miesiąc ten sam oficer odbywał z nim codzienną rozmowę, często miewali nawet dwa posiedzenia, rano i po obiedzie. Tam w więzieniu nazwał go swoim piastunem. Zgrzyt klucza w drzwiach celi i profos wywoływał go na korytarz, mówiąc krótko: — Do śledzia!

Milcząca droga na górę. Piastun już czekał. Uprzejmym gestem wskazywał krzesło. Padały wstępne pytania. — Nazwisko, imię, imię ojca, nazwisko panięńskie matki, wiek, zawód. Rozpocynała się merytoryczna faza przesłuchania. Odmawiał odpowiedzi. Jeszcze na wolności przecież został pouczony przez ludzi doświadczonych o najlepszej formie obrony przed indagacją.

Po prostu milczeć.

Oficer śledczy cierpliwie zadawał kolejne pytania. Czas między pytaniami wypełniał treścią pomocniczą. Sugerował, jak wiele oni wiedzą. Podkreślał, że milczenie podejrzanego, jego uparta odmowa zeznań jest zwykłą dziecinadą; przecież w ten sposób pogarsza swoją sytuację. Wyjaśnił mu dobroczynną rolę artykułu 57 kk. Roztaczał przed nim ponurą wizję lat spędzonych w więzieniu, lat jałowych i zmarnowanych. Zapalał się tą wizją przy-

szości, żałował jego zdrowia, talentów, nerwów, nadmieniał o trudnościach adaptacyjnych do życia w stanie izolacji, zawieszając głos w nabrzmiałym troską pytaniu: — I na co panu to wszystko, doktorze?

Milczał. Choć sam równie plastycznie wyobrażał sobie te więzienne dni, miesiące, a może i dłużej. Chował dłonie pod stół, żeby ukryć nerwowy dygot palców.

Oficer ostentacyjnie odkładał papiery, starał się nawiązać z nim swobodną konwersację. Standardowy, goły pokój przesłuchania miał wtedy w intencji funkcjonariusza SB stać się przyjemną kawiarenką, siedzą przy stoliku dwaj druhowie, popijają i gwarzą; rzeczywiście włączył do kontaktu grzałkę i parzył herbatę. Jednakże wszystkie te zmiany konwencji były nieustającym przesłuchaniem, wyraźnym lub zakamuflowanym, jednoznacznym lub aluzyjnym.

Drażnił i kusił wolnością, opowiadał o *weekend*'ach, które spędzał w górach, jeżdżąc na nartach i zażywając kąpeli słonecznej na Hali Kondratowej i Ornaku.

Opalony, rozpięta koszula odsłaniała jego krzepką muskulaturę, wyglądał jakby zjawiał się tutaj w więziennych murach prosto z malowniczego schroniska, schowanego pośród pokrytych czapami śniegu świerków, gdzie na polance z widokiem na wyniosłe wierzchołki gór wyrzewają się na leżakach narciarze, a wśród nich przechadza się leniwie wielki owczarek podhalański. Tak to sobie wyobrażał, mając w pamięci bardzo dawny, zimowy pobyt w schronisku na Hali Gąsienicowej.

Oficer opowiadał także o interesujących spektaklach filmowych i teatralnych. Zapewne wieczorami wybierał się do kina czy teatru ze swoją dziewczyną, narzeczoną, koleżanką, żoną. Widział ją jako roślę, zmysłową blondynkę. Z przyjemnością słuchał sugestywnego streszczenia filmu „Poszukiwacze zaginionej arki”; w tej opowieści poczuł smak egzotyki, przygód i odkryć z podróżniczych powieści dzieciństwa.

Pewnego razu oficer śledczy zwierzył mu się ze swoich kolei losu, nim zawędrował do pracy w resorcie spraw wewnętrznych. Był sportowcem, grał wyczynowo w water-polo. Opowiadał o jakimś międzynarodowym meczu, ostatniej decydującej bramce. Chwalił sobie to sportowe życie, zniżył głos: — I boki niezłe, dolarowe diety, coś kupić, przywieść, sprzedać, wie pan jak to jest.

Szukał po omacku jakiejś więzi, chciał stworzyć pozory intymnych zwierzeń. Ta nadmierna szczerłość budziła w nim reakcje odwrotną do intencji śledczego.

Chociaż miewał chwile słabości i wtedy powtarzał sobie: — Trzymać się! Nie pęknać! Boże, żeby nie pękł! — całkiem

dziecinnie zwracał się do sił nadprzyrodzonych, modląc się o przyływ odporności, która pozwoli mu przeżyć wszystko z podniesionym czołem. Toteż podczas tych rozmów poza protokołem odzywał się skąpo, najchętniej monosylabami.

— Ależ mruk z pana! — zniecierpliwił się kiedyś oficer. — We wszystkim wietrzy pan podstęp.

— Przecież prowadzi pan przesłuchanie — odparł.

Tamten roześmiał się. Ale jego oczy nie śmiały się wcale. Oczy najczęściej nie brały udziału w zmiennych grymasach twarzy. Nieruchome, skupione. Czuwały.

Oficer śledczy potrafił zaskoczyć go gwałtowną zmianą nastroju: przechodził z życzliwej pogawędki w zimną oficjalność.

— Nastąpiła istotna zmiana w materiale dowodowym pańskiej sprawy — rzucił mimochodem. Zebrał papiery, włożył do teczki, którą zabrał ze sobą i wyszedł z pokoju.

Oświadczył tak na wstępie przesłuchania w pewien poniedziałek i nie wzywano go na górę przez kilka dni.

Innym znów razem uderzył pięścią w stół, mięśnie na gładko wygolonych, sinawych policzkach zwały mu się w twarde guzy.

— Za bardzo pan sobie pozwala — ołowianym wzrokiem wpatrzył się w niego. — Chyba zmienimy metody.

Dłonie oficera spoczywały ułożone równo na stole.

Silne, szerokie dłonie. Leżały spokojnie, wyczekująco. Były groźne.

Pomyślał wtedy z ulgą, że oni przecież nie stosują tak jak dawniej tortur fizycznych, okrutnych metod przymusu. Bólu bał się zawsze. Wdzięczny był losowi za humanitaryzację w tej dziedzinie. Przyszła wątpliwość. Kto to wie?...

Teraz też zerknął na te białe, duże dłonie. Leżały na blacie w leniwym spoczynku. W nich koncentrowała się siła. Czekala na sygnał. Z trudem oderwał od nich spojrzenie. Skierował w stronę okna. Było przesłonięte gęstą firanką.

— Zbyt wiele pan sobie przypomina — oficer trafnie odczytał jego zamyślenie. — Ulega pan łatwym emocjom. Upředzenia, animozje... Zapewne negatywna ocena mojej osoby, czy tak? — roześmiał się znów, tłok olśniewających zębów. — A przecież jestem tylko fachowcem. Właśnie fachowcem. Jeżeli postępowałem tak a nie inaczej, to tego wymagali ode mnie przełożeni, postępowanie moje stanowiło sposób realizacji przydzielonego mi zadania. Tego co było, doktorze, a nie jest... Warto obarczać sobie pamięć niepotrzebnym bagażem? Popadać w obsesyjne rozpamiętywanie? Jest pan wszakże racjonalistą, nauki ścisłe i tak dalej. Zmienił się czas, znaleźliśmy się w nowej sytuacji. Można to chyba nazwać poszukiwaniem normalizacji, wyjś-

ciem naprzeciw postulatowi społeczeństwa. Konkludując: Nie jesteś wcale tak daleko od siebie.

— W więzieniu byliśmy najbliżej — nie mógł powstrzymać się od ironii.

— Jednej bronimy sprawy, tylko z różnych punktów widzenia... — oficer śledczy ciągnął spokojnie, wcale nie zrażony jego złośliwym szytchem. — Być może potrafię to zrozumieć, przykre doświadczenia, wyrok, rozmaite dolegliwości, nagonka, pozostają trwałe ślady. Wysoce stresowa sytuacja. Jednakże... — podsunął mu paczkę papierosów.

Już od kilku miesięcy ze względu na dolegliwości zdrowotne próbował się odzwyczaić od palenia i nie nosił ze sobą papierosów. Skusił się i zapalił.

Dym był mocny, ostro wchodził w płuca, narkotyczna rozkosz. Wraz z dymem Ekstra-Mocnego poczuł przypływ energii i postanowił przerwać oficerowi ten wywód.

— Jednej bronimy sprawy... — podjął jego słowa. — Nastawiony jest pan niebywale patriotycznie. Rozmawiamy jak Polak z Polakiem, tak to się nazywa, prawda? Narodowa idylla, Kochajmy się rodacy, nic nas nie dzieli, przeciwnie, wszystko łączy. Stawialiśmy opór zaborcom, okupantowi, Stalin nie dał nam rady... A pan, choć zatrudniony w wiadomym resorcie, też pragnie tego samego co ja, inni, po prostu jest pan z nami!...

Oficer potakiwał mu cały czas głową; był to mechaniczny ruch głowy — sens jego wypowiedzi najwidoczniej nie obchodził tamtego wcale.

Urwał swą szyderczą tyradę, zły na siebie za tę absurdalną chęć polemiki: wezwany został tutaj w charakterze z góry wykluczającym sens jakiegokolwiek dyskusji. Rozdrażniła go ta niekontrolowana skłonność do mówienia, sprzeczna ze zdrowym rozsądkiem i osobistym doświadczeniem. Jak na człowieka trzydziestoletniego posiadał przecież bogatą kombatancką przeszłość.

Niedawno zapraszali go koledzy do wzięcia udziału w pielgrzymce na Jasną Górę. Miała to być pielgrzymka więźniów politycznych, kombatanów właśnie. Nie chciał żadnej martyrologii. Wydawała mu się patetyczną, pustą pozą. Odmówił. Potraktowali go jako apostatę. Uśmiechnął się, widząc znów pełne świętego oburzenia miny kolegów.

Oficer śledczy wsparł się rękoma o biurko, pochylony do przodu, wpatrywał się w niego z zainteresowaniem.

— Ja tylko do swoich myśli — wyjaśnił. — Sekretnych.

— Ach, tak... — tamten zgodził się uprzejmie, zapalił papierosa. — Panie doktorze... — zaczął.

Ten styl! Wykwintna konwersacja dwóch równorzędnych partnerów. Patrząc na tego dobrze ułożonego i tak ujmującego

grzeczności człowieka za biurkiem, zobaczył go równocześnie w tamtej niezapomnianej scenie rewizji w swoim mieszkaniu.

Przyszli całą sforą i zabrali się do skrupulatnego bebeszenia jego regałów, biurka, szaf, kubłem do śmieci też się zajęli z taką samą gorliwością. Oficer kierował akcją, zasiadł za stołem i uśmiechnął się ze zrozumieniem do niego, leżącego wtedy w łóżku.

— Grypa. Tak, w tym roku szaleje epidemia jakiegoś wirusa. Zaczyna się przeważnie od gardła. Sam przeleżałem kilka dni... — mówiąc spoglądał na swoich ludzi przekładających stosy papierów i książek. — Jeszcze tam! — wskazał im zapomnianą stertę starych gazet i maszynopisów w kącie obok kaloryfera.

Zainteresował się jego podręczną półką nad łóżkiem, pełną specjalistycznych książek z zakresu fizyki. Były przeważnie obcojęzyczne i okazało się, że oficer dosyć biegle czyta po angielsku. Wyciągnął z ciasnego rzędu tom szkiców o fizykach XX wieku. Wpierw przejrzał pod kątem fachowym, sprawdzając czy między kartkami nie ma jakichś ukrytych papierów. Zatrzymał palec na rozdziale poświęconym Heisenbergowi. Interesowała go postawa moralna wielkiego uczonego podczas wojny. Pozostał przecież w hitlerowskich Niemczech.

On na swym madejowym łożu, zakatarzony i kaszlący, otoczony przez krzątających się pracowicie tajniaków, zapomniał o tych okolicznościach i wdał się w długi wywód o Heisenbergu, Wernerze von Braun i innych niemieckich uczonych.

Oficer słuchał bardzo uważnie, wtrącał uwagi świadczące o rozeznaniu w tym przedmiocie.

Tak to trwało długi czas i nagle przykrym wstrząsem dla niego stał się ów kulminacyjny moment, kiedy polecono mu wstać z łóżka i przygotować się do opuszczenia mieszkania.

— Pojedzie pan z nami — oświadczył oficer. Wstał i osłaniając się wstydliwie, począł naciągać kalessony.

— Chwileczkę! — oficer podszedł do niego i obmacał go sprawnie. Nakazał mu kucnąć i widząc jego zaskoczona minę, przygiął mu lekko grzbiet i zaszedł od tyłu.

— Zsunąć kalessony — rzucił zimnym, bezosobowym głosem. Ściągając zażółcone w kroczu kalessony i przykulając chude, owłosione nogi, doznał poczucia ohydny, poniżającego obrażenia. Ta fachowa perfekcja z jaką oficer przygiął mu grzbiet i stanawszy za nim na szeroko rozstawionych nogach, barczysty i elegancki, przesuwając dłońmi po plecach i przenikliwym wzrokiem sondował jego kościsty, wypięty zadek — pozostała dla niego najważniejszym doświadczeniem. W więzieniu nieraz o tym myślał (przejściem od Heisenberga do dupy, nazywał ten problem) i idąc pierwszy raz na przesłuchanie doznał niemałego zaskoczenia na widok tego samego oficera, siedzącego za stołem. Wkrótce przy-

zwycaiał się do niego i mówił o nim obojętnie i poufale jak wszyscy więźniowie: — Mój śledź.

Więc powróciła tamta scena z całą naturalistyczną wyrazistością i odpowiedział oficerowi na jego uważne, przenikliwe spojrzenie równie zimnymi, nieprzejednanymi oczyma.

Mocowali się chwilę i pojedynek pozostał nierozstrzygnięty, sygnał telefonu i oficer szybko podniósł słuchawkę, rzucając energiczne — Tak! Słucham! — zaraz zmienił mu się głos; ciepły, miękki: — A, to ty!... Skąd! Niepotrzebnie się niepokoisz... Po prostu mogę później... Oczywiście, kupiłem. Taką jak chciałaś... Na pewno! Do zobaczenia, babuniu!!

Odłożył słuchawkę i rzucił na niego krótkie, nieco spłoszone spojrzenie; zapatrzył się w okno, sięgnął po papierosa. Fala zainteresowania tym człowiekiem po drugiej stronie biurka. Jaki on jest? Czuły wobec babuni. Głos miał ciepły, troskliwy; uspokajał i koił tym głosem. Babunia! Matka, teściowa lub babcia po prostu. Babcia i wnuk.

— No więc... — oficer na powrót utkwiał w niego spojrzeniem — nasza rozmowa ma charakter bardzo ciężki. Duży opór, uprzedzenia z pana strony, doktorze...

— Owszem — przyznał. — Intuicja nie zawodzi pana, poruczniku.

— Kapitanie — poprawił go tamten łagodnie.

— Awansowano pana, gratuluje!

Oficer skłonił lekko głowę.

— Cały czas myślę o tych przeszkodach w naszym dialogu... — podjął temat. — Jak je usunąć? Jak przekonać pana? Znadto pan wyolbrzymia niektóre zdarzenia. Podparł głowę łokciem; wyglądał na człowieka autentycznie zafrasowanego. — Wyrobił pan sobie fałszywy wizerunek pracownika resortu. Pretorianie, żelazna kohorta, prawda? Tymczasem my wykonujemy tylko polecenia. Rozkaz, rozumie pan?

Potrafił zrozumieć to wyjaśnienie. Nawet dać temu wiarę. Już chciał przytaknąć. Zreflektował się w ostatniej chwili i pozostał z twarzą zamkniętą niby szczelna puszką, chroniąc się przed erozyjnym działaniem czynników zewnętrznych. Ale w myśli zakiełkowało to ziarno.

Rzesza młodych i starych ludzi, zatrudnionych w wielu urządach spraw wewnętrznych na terenie kraju; w dyskretnych komórkach przedsiębiorstw i biur, w imponującym komplecie gmachów i ministerstwa w stolicy. Jakimi motywami kierują się w swoim myśleniu? Wyższą koniecznością, racją stanu, ślepa wiara, jedyną w ich mniemaniu szansą bytu Polski.

Jakiej Polski? Półkolonii, wasala, republiki przynależnej do

związku wielu republik. Mówią tym samym językiem, tu się urodzili, mają swą przeszłość, rodziców, pamięć. Są przecież z nas. Czyżby więc zatracili już zdolność wolnego myślenia i myśl nadrzędna, sterująca staję się automatycznie rozkazem do wykonania bez cienia wątpliwości. A może są to najgorsi spośród nas, ludzie bez wiary i nadziei, wychowani w tym trującym przekonaniu od zarania i pracując w potężnym resorcie utwierdzają swe przekonanie o jedynej możliwej wolności w zniewolonym świecie. Wywyższeni zaszczytną służbą, pyszną się swą rolą, batożąc niesforną czerń poddaną ich pieczy. Może... Nie chciał ulegać kolejinom dogmatycznego osądu, pragnął być wolny i pozbawiony uprzedzeń w swojej analizie. Jakim człowiekiem wreszcie jest oficer po drugiej stronie biurka? Może tylko służbistą, gorliwym służbistą przez lata pracy wciągniętym w tryby maszyny MSW; poza sferą obowiązków jest niezłym człowiekiem, wolnomyślnym na swój prywatny użytek. Myśli i ocenia podobnie jak on, inni. Ta optymistyczna refleksja wydała mu się prawdopodobna. Przecież śledczy bywał nieraz po ludzku życzliwy. W więzieniu na przykład zgodził się wziąć od niego kartkę imiennową dla matki. Pragnął w ten sposób skrócić długi proceder wysyłania korespondencji za mury. Śledczy słowa dotrzymał i kartka po dwóch dniach dotarła do adresatki.

— Rozumiem... — westchnął oficer. — Nie ma pan do mnie zaufania. Jednak okoliczności są zupełnie odmienne, nie przebywa pan tutaj w charakterze podejrzanego, nie prowadzę żadnego przesłuchania, nie zadaję pytań, ani nie zapisuję pańskich odpowiedzi. Widzi pan więc, doktorze, że staram się wszystkie okoliczności brać pod uwagę. Nie tylko rację jednej strony, także drugiej. Posiadam wyobraźnię, nie jestem mechanicznym robotem. Żyję, widzę, mam wątpliwości, rozterki, wyciągam samodzielne wnioski. Toteż wydaje mi się, że szczypta dobrej woli z dwóch stron... — To zdanie przerwał telefon. Szybko podniósł słuchawkę.

— Tak. Tak. Tak jest! — Aż użył zastanawiających słów. — Wczoraj już zaczął popuszczać... Popuści, popuści do końca! Z tamtej strony linii buchnął donośny śmiech. Oficer odpowiedział takim samym śmiechem. Koniec rozmowy.

A jemu ten śmiech skojarzył się z pożegnaniem wolności.

Pierwszą noc spędził w piwnicy milicyjnej komendy. Przyjechali po niego w południe. Oficer z drugim pracownikiem SB. Oficer był w modnie skrojonym, sukiennym płaszczu koloru zielonego, buty miał czarne z cholewkami na wysokim obcasie; emanował męską świeżością, tężyzną. Silnie odczuł ten kontrast — sam wymięty, brudny i nieogolony po nocy przemęczonej na deskach piwnicznej celi.

Wyprowadzili go na podwórze. Tu stał samochód.

— Rączki proszę — powiedział oficer.

Nim zastanowił się, o co tamtemu idzie, już na przegubach poczuł chłodny, śliski metal kajdanek. Równocześnie oficer ziewnął szeroko, zatrzeszczały mu szczęki od tego zdrowego odruchu organizmu, popatrzył w górę na niebieskie, zimowe niebo, tupnął butem, zachrząścił śnieg; ziewnął jeszcze raz i złościąc butem śnieg zwrócił się do swego towarzysza: — Dobrze warunki. Zjechałoby się na deskach z jakiejś górki, nie?

Wepchnęli go do samochodu. Wzięli między siebie jak w kleszcze.

Wielka chęć na papierosa. Kusząca paczka Ekstra-Mocnych na biurku. Wcisnął dłonie w kieszenie marynarki.

Miał już dosyć tej mętnej, wyczerpującej rozmowy. Sprężył się na krześle i rozpoznał dobitnie.

— Prowadzimy rozmowę zupełnie bezprzedmiotową. Właściwie jednoznacznie pozbawioną sensu. Żeby to stwierdzenie uzasadnić, będę operował truizmami. Przepraszam, to konieczne. Pewne elementarne pojęcia muszą być powiedziane dla jasności sprawy. Dla wykazania podstawowej różnicy. Różnicy, obawiam się, nie do zniwelowania. O jakim tu partnerstwie może być mowa? Co pan sobą reprezentuje? Służbę bezpieczeństwa. Służbę, która z tak wielką gorliwością stara się wykazać, że wszelkie działania opozycji demokratycznej to robota zdrajców, zgoła agentów na obcym żołdzie. Służba bezpieczeństwa to szlachetna, czysta racja narodu, opoka jego egzystencji, a my to wichrzyciele, najemnicy, brudna piana i nic więcej. Jaki więc może być dialog między nami? Pan z niewzruszonym spokojem swego służbowego sumienia i ja! Przemoc przecież nie interesuje się takimi mrzonkami jak prawda, sprawiedliwość, dążenia większości, rewindykacja utraconych praw itp. Dlatego nie mam najmniejszej ochoty na tę fikcyjną dyskusję. Nie widzę żadnego powodu. Absolutnie. Zamknęliście mnie w więzieniu, zostałem wypuszczony na podstawie amnestii i proszę powiedzieć konkretnie, w jakim celu otrzymałem wezwanie na dziś do wojewódzkiego urzędu spraw wewnętrznych... — zaschło mu w gardle, tracił impet. — Ponadto nie mam czasu. Pracuję, jak panu wiadomo... — wymownie spojrzął na zegarek.

Tamten również popatrzył na swój elektroniczny zegarek na metalowym pasku.

— Też pracuję. Tylko inaczej. — Przygładził czarne, gładko zaczesane włosy, błyszczały intensywnie; musiał czymś smarować. — A więc... — zmienił ton, sucho i oficjalnie — otrzymał pan wezwanie w celu przeprowadzenia rozmowy ostrzegawczej. Wiemy doskonale, że nie zaprzestał pan kontaktów z podziemiem

politycznym. Obserwujemy, czekamy. To na marginesie. Tym razem rozchodzi się o dzień 11 listopada, czyli rocznicę odzyskania niepodległości. Mamy sygnały o zaplanowanych uroczystościach, msza w katedrze, pochód pod pomnik, wiece, przemówienia. Taki instruktaż podany został w waszym piśmie, prawda? Radzę panu, doktorze, trzymać się od tego z daleka. Tym bardziej, że amnestia, z której dobrodziejstwa pan skorzystał przed kilkoma miesiącami, jest warunkowa. Warunkowa! — powtórzył z naciskiem.

Poczuł gwałtowne uderzenie krwi do głowy. Zacisnął pięści, wyprostował chudy korpus z wklęsłą klatką piersiową, nastroszył się wojowniczo; ze swoimi rzadkimi, krótko przyciętymi włosami wyglądał jak mały kogut, mały kogut z wielkim sercem do walki.

— Jestem człowiekiem wolnym — oświadczył. — Przynajmniej, wbrew pana przypuszczeniom, takim się czuję i będę czynił to, co uważam za stosowne!

Twarz oficera nadal jaśniała w sympatycznym uśmiechu. Był to uśmiech jak grymas, oczy pozostały bez uśmiechu, szklano-niebieskie, zimne i pochłaniające. Jedynie skurcz palców na gazowej zapalniczce marki Ronson uszedł jego kontroli — silnie zacisnął palce na tym metalowym przedmiocie.

— Gdyby to ode mnie zależało... — obracał w palcach zapalniczkę — to topiłbym was w dole z niegaszonym wapnem. Jak kocięta — dodał równym głosem bez śladu wzburzenia. — Ale niech pan się nie obawia, doktorze. Nie tak łatwo daje się ponosić emocjom — uśmiechnął się szeroko, błysk zębów jak reklama pasty w amerykańskim, kolorowym tygodniku. — Jestem zdyscyplinowanym pracownikiem resortu. Oczywiście, jeżeli otrzymam takie zadanie... — nie dokończył i popatrzył na niego z powagą. Głębiny ciemnoniebieskich oczu. Nie wytrzymał tego spojrzenia. Opuścił głowę.

Nader plastycznie wyobraził sobie, jak oficer chwyta go silnymi rękoma, pobrzękuje metalowa bransoletka zegarka na przegubie lewej dłoni; chwyta go więc i ciska z rozmachem w przepaść zięjącą śmiertelną bielą wapna. W ostatnim momencie obraz tej twarzy ujmującej, urodziwej, twarzy stuprocentowego mężczyzny o szerokich, mięsistych ustach, kwadratowym podbródku, wydatnym nosie i czarnych brwiach zrosniętych nad szklanymi oczyma.

— To tyle na dziś — posłyszał głos oficera śledczego. — Uprzedziłem pana o ewentualnych konsekwencjach i jeszcze raz powtarzam: nie radzę inspirować niepokojów w mieście. Samą swą obecnością. Dodam prywatnie — jego głos nabrął ciepłej barwy. — Najlepiej wyjechać sobie gdzieś. 11-ty to niedziela,

zatem sobota jest wolna, można wyskoczyć na *weekend*. W górach o tej porze...

— To wszystko? — przerwał mu porywco.

Tamten flegmatycznie skinął głową.

Wstał, odsuwając z hałasem krzesło.

Oficer również wstał.

— Jeżeli pan zechce, to mogę podzucić do instytutu — poprawił krawat, strzepnął jakiś pyłek z rękawa marynarki. — Jadę w tym samym kierunku.

Jego milczenie potraktował jako zgodę na swą propozycję. Poprowadził go korytarzem wojewódzkiego urzędu spraw wewnętrznych. Schodami w dół.

Mijali ich młodzi, rośli mężczyźni. Niektórzy z nich pozdrawiali oficera poufałym — Cześć! Na niego zaś rzucali krótkie, uważne spojrzenia.

Wszyscy mieli jednakowe oczy. Zimne, nieprzeniknione, rejestrujące z fotograficzną ścisłością żywe i martwe obiekty na drodze.

W bramie wyjściowej oficer coś powiedział ścisłym głosem do wartownika w milicyjnym mundurze.

Przepuścił ich bez słowa.

Wsiadli do Poloneza, stojącego na parkingu w rzędzie innych służbowych wozów.

Oficer płynnym, nonszalanckim ruchem jednej dłoni obracał kierownicę, druga spoczywała na drążku biegów. Prowadził pewnie i szybko. Zainteresował się Mercedesem z zagraniczną rejestracją, który sunął po sąsiednim pasie.

— To maszyna! — rzekł. — Marzenie! Lubię samochody. A pan?

Nie usłyszał pytania. Siedział z opuszczoną głową. Pograżony w chaotycznej gonitwie myśli.

Otoczała go gęsta, nieprzenikniona ciemność.

Jechał Polonezem, rozparty na miękkim siedzeniu, funkcjonariusz resortu podwoził go życzliwie do miejsca pracy.

Jazda ofiary z katem.

— Dół z wapnem — wymamrotał.

Oficer popatrzył na niego ze zdziwieniem.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział i zatrzymał samochód przy krawężniku chodnika.

Nieopodal budynek instytutu.

— Wysiadł. Przez chwilę nie wiedział jak się zachować, podziękować, powiedzieć — do widzenia; skinął w milczeniu głową. Stał i patrzył za odjeżdżającym Polonezem.

Marek NOWAKOWSKI

Koegzystencja

Ksiądz proboszcz zastał w domu diabła. Ten miał na głowie czerwoną, dżokejską czapkę, siedział przy stole i patrzył na człowieka — księdza w tym wypadku — uważnie. Bowiem diabeł, w przeciwieństwie do człowieka, nie jest roztargniony. Niepodzielony między dobro i zło, a tylko całkowicie poświęcony złu, wolny jest od rozterki, co pozwala mu zachować pełną koncentrację w każdej sytuacji.

Działo się to o zmierzchu, kiedy ksiądz wrócił do domu po spełnieniu codziennych obowiązków parafialnych. Ujrawszy diabła, westchnął jak drwał, który przez cały dzień ścinał sosny w lesie, a wieczorem zobaczył, że w jego izbie wyrósł tymczasem dąb.

Wiedział jednak z doświadczenia i wykształcenia, że diabeł trwa, to znaczy nie podlega fluktuacjom, przyplwow i odpływom, wzmagananiu i zanikaniu, rytmowi pracy i odpoczynku, snu i jawy. Więc nie zdziwił się aż tak, jak by się zdziwił drwał, a tylko — i tu odpowiednie jest porównanie z drwalem — podwójnie odczuł zmęczenie.

— Czego? — zapytał krótko i niezbyt gościnnie.

— Właściwie to niczego, po prostu jestem — odparł diabeł. Księdzu przyszyły do głowy wszystkie interpretacje diabelskości, wszystkie możliwe spekulacje na temat natury diabła, oraz egzorcyzmy. Odruchowo przymierzył do sytuacji ten, to znowu inny sposób na wypędzenie diabła. Było ich jednak tyle i po dniu pełnym czynności czuł się tak wyczerpany, że nie zdecydował się na żaden. Już chciał powiedzieć: „No to sobie bądź”, ale powstrzymał się, bo taka zgoda na istnienie zła byłaby niewłaściwością.

— Rozumiem — powiedział diabeł. — Ale się nie obawiaj. Ja też dam spokój, nie będę cię ani kusił, ani motał żadnych intryg i podstępów. Posiedzę sobie, to wszystko.

— Oczywiście kłamie — pomyślał ksiądz. — Kłamstwo leży w jego naturze. Należałoby go przepędzić. Jeżeli chce sobie posiedzieć i nic więcej, to dlaczego akurat u mnie, dlaczego nie gdzie indziej? Ale niech najpierw zdejmę buty i włożę pantofle. Gdybym był młodszy... Ale wiek robi swoje. Nie jestem już tak szybki jak dawniej.

Zdjął buty, włożył pantofle, zaparzył herbatę. Kątem oka obserwował diabła. Ale ten dotrzymywał obietnicy. Nie odzywał się, siedział skromnie, nie zdjął nawet czapki, co wskazywało na to, że nie zamierzał się rozgościć i w ogóle nie przejawiał żadnej z tych aktywności i przedsiębiorczości, z których był znany.

Wypiwszy herbatę ksiądz, nie tyle z chęci lektury, ile żeby zyskać na czasie, wziął do ręki książkę o treści nie-kontrowersyjnej. Ale dzięki temu właśnie powieki, które z trudem utrzymywał nad źrenicami zaciążyły mu jeszcze bardziej, nie mógł ich utrzymać. Kiedy drzemka zamieniała się w półdrzemkę widział diabła bez zmian, grzecznie siedzącego przy stole, ale jakby w oddaleniu. „Ciekawe, że mi jednak nie przeskadza. Powinien przecież czegoś chcieć ode mnie, a nawet jeżeli niczego na razie nie chce, podejrzenie, że to tylko podstęp powinno mi nie dawać spokoju. Nigdy dosyć czujności wobec diabła. Zabiorę się do niego, ale nieco później, kiedy wypocznę”.

— Jeszcze tu jesteś? — zapytał, kiedy ponownie ocknął się z drzemki. Diabeł potwierdził tylko skinieniem głowy. Był oczywiście i najwidoczniej, to nie wymagało aż słownego potwierdzenia. Siedział nadal skromnie, jak gdyby w poczekalni, to znaczy jak by nie miał żadnego interesu w tym pomieszczeniu, w którym się znajdował, nie zdjawszy nawet tej swojej czerwonej, groteskowej zapeczki. „Nie jest napastliwy” — pomyślał ponownie proboszcz, a jeżeli coś knuje, zawsze będzie dość czasu, żeby temu zapobiec. A poza tym...” — i tędy chciał proboszcz zażegnać pewne jednak wyrzuty sumienia — „Jeżeli nawet jest tutaj, to znaczy, że nie ma go gdzie indziej. Mnie on nie szkodzi, tu go mam na oku i dopóki tu jest nie może szkodzić innym nie będąc tam, gdzie go teraz nie ma. Ostatecznie lepiej tak, niż go przepędzić, czyli wysłać go dokądś, gdzie nie wiadomo jakie szkody by poczynił. Niech sobie więc siedzi, bo jeżeli ktoś na tym traci, to tylko on sam”.

I ułożył się do snu już na dobre i spędził pierwszą noc z diabłem. Bo diabeł, kiedy ksiądz się obudził o świcie, siedział nadal przy stole, wciąż w tej błazeńskiej, czerwonej zapeczce na głowie, niezmiennie. Diabeł nie podlega zmęczeniu i nie potrzebuje wy-

poczynku. Ksiądz zdziwił się, że mimo obecności diabła spał jak zazwyczaj, głęboko i bez złych snów.

Kiedy ksiądz opuszczał domostwo, żeby odprawić mszę poranną, diabeł odprowadził go do drzwi spojrzeniem, nie ruszając się jednak z miejsca. Tym samym spojrzeniem powitał go wczorajem gdy ksiądz powrócił do domu. Zachowywał się jak wierny, dobrze wychowany pies, z tą tylko różnicą na swoją korzyść w porównaniu z psem, że nie potrzebował żadnego starania i opieki. Ksiądz przypominał sobie o wczorajszym postanowieniu, żeby diabła przepędzić, ale jednocześnie przypominał sobie argumenty, które sprawiły, że nie przepędził go wczoraj. „On mi nic nie robi, to i ja mu nic nie robię. U mnie jest nieszkodliwy. Kiedy już musi być, to niech chociaż będzie bezczynny. Lepiej, żeby siedział tu, gdzie mi nie szkodzi, niż żeby stąd poszedł i szkodził ludziom. A niech-no tylko ze mną spróbuje, pokaże ja mu wtedy egzorcyzmy!”

Lecz diabeł nie próbował. Wystrzegał się jakiegokolwiek, najmniejszego bodaj konfliktu ze swoim gospodarzem. Wszystko, czego potrzebował, to tylko miejsce przy stole.

Kiedy nie był pytany nie odzywał się, a ksiądz nie pytał go o nic. Spokój za spokój. Może wydać się dziwne, że proboszcz nie korzystał z okazji, aby dowiedzieć się czegoś o przeciwniku w bezpośredniej i niejako towarzyskiej rozmowie. Czy nie chciał wdawać się w żadne z nim dyskusje pamiętając, że z diabłem dyskutować nie należy? Zapewne. Wiedział, że diabeł tylko na to czeka. Przecież dlatego właśnie chciał go wyrzucić na początku, obawiał się, że diabeł tylko po to przyszedł, żeby go wciągnąć w rozmowę. I później pozwolił mu zostać tylko dlatego, że diabeł się nie odzywał. Miał się więc na baczności, żeby nie zacząć tego, czego nie zaczynał diabeł. Ale też — ksiądz nie był już człowiekiem młodym i niedostateczna była już jego ciekawość. Zwłaszcza w porównaniu z wysiłkiem, jakiego by musiał dokonać, żeby ją zaspokoić. Nie podjąłby tego wysiłku nawet wtedy, gdyby zasadnicze względy nie wchodziły w grę. Wracał do domu zmęczony, znajdował diabła na swoim miejscu, nie odzywali się do siebie. Ksiądz szedł spać, diabeł czuwał. I tak się między nimi ułożyło.

Pewnego razu odwiedził parafię biskup. Znalazł kościół w doskonałym stanie, duszpasterstwo wzorowe. Nie darmo proboszcz trzymał się od świtu do nocy, dlatego przecież wracał do domu tak zmęczony, że nie zwracał uwagi na diabła.

— Chętnie byśmy obejrzelі jeszcze i plebanię — powiedział biskup na zakończenie.

Proboszcz przypominał sobie jakiego to domownika biskupa u niego zobaczy i przeraził się. Ale odmówić nie mógł. Przeko-

nany, że oto koniec wszystkiego, pewny nieuniknionego skandalu, bezgranicznej kompromitacji i nieobliczalnego nieszczęścia, przeklinając w myśli diabła i swoją własną lekkomyślność, dlaczego nie wyrzucił go z domu już pierwszego dnia, dlaczego zwlekał, na co czekał — otworzył drzwi. Więc jakież było jego zaskoczenie i ulga, kiedy mieszkanie okazało się puste. Diabeł zniknął. Proboszcz nie mógł się oprzeć uczuciu wdzięczności dla diabła, choć zdawał sobie sprawę, że uczucie to było w najwyższym stopniu niewskazane, poniżające i niegodne. Diabeł bo diabeł, ale kiedy trzeba umie zachować się przyzwoicie i po koleżeńsku.

Biskup rozejrzał się i już miał pochwalić skromne, samotnicze gospodarstwo, gdy dostrzegł czerwoną, dżokejską czapkę, którą diabeł pozostawił na stole. Z niemym zapytaniem przeniósł wzrok na proboszcza, bo wydało mu się dziwne, aby czcigodny opiekun parafii używał tak niepoważnego, tak ośmieszającego stanu duchowny nakrycia głowy. Dziwne i niestosowne.

— To... to mój siostrzeniec. Odwiedza mnie czasami — skłamał proboszcz. Gdyby powiedział, że czapeczka należy do niego, byłoby to również kłamstwo.

Biskup pokiwał głową ze zrozumieniem i wyraził swoje ogólne zadowolenie z całokształtu. Następnie odjechał, w dalszym ciągu bardzo zadowolony. Kiedy proboszcz został sam w mieszkaniu, diabeł wyszedł z szafy, w której się był ukrył. Zbliżył się do proboszcza i ohydny uśmiech tryumfu wykrzywił jego paszczę.

— Wujku! — zawołał radośnie i otworzył szeroko ramiona.

Sławomir MROŻEK

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ • PRZEKŁADY Z JEZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI

Katalogi bezpłatne wysyłamy na każde żądanie

Wiersze

Jerzy ZAGÓRSKI

BALLADA O KOZIEJ GÓRZE

Sosnowy las, piaskowe wzgórze,
Dniepr wąski tu, a chmury nisko.
Znasz wydmy te nad rzek łożyskiem
Gdzie lasów takich szmerze dużo.
Czteryśta lat egzulów ziemio
Na powrót wojsk oczekiwałeś.
Łupieżcy moc i własna małość
Coraz się dłuższym kładły cieniem.

I przyszło wojsko... Wiesz jak przyszło...
Wróciło bój ostatni wygrać.
Co drugi ma rycerski ryngraf
I leżą na pobojuwisku...
Bo, gdzie Rosjanin stopę oparł,
Tam kość pod każdą ziemi bryłą;
Tchórzliwy kat uderza z tyłu,
Gnijącej krwi nocami opar.

Szukała matka syna zwłoków
W każdym wrześniowym męznych rowie.
Pewnie, że w szarzy padł się dowie
Z szablą na czołgi w grmiącym skoku?
A było tak: na ustach kneble,
Na głowie worek miast wawrzynu,
Po plecach bagnet nieraz spłynął...
Dziś leżą warstw zlepionych szczeble.

Tu braknie łez. A do krwi ręka
 Nieuzbrojoną pięść zaciska
 W bezsilnej hańbie cmentarzyska
 Nad którym serce z bólu pęka.
 O matko! Mężnie przyjm męczeństwo!
 Czy znasz wyroki Świata Władcy?
 Pół roku syn po wąskiej kładce
 Szedł ku największym dni tych wieńcom.

Przesłanie: Jest Bóg. W pamięci Jego krążą
 Wszystkie zgłębione ludzkie sceny.
 Wymiary spaja sieć oceny
 I myśl a słowo z czynem wiąże.

1941

Jerzy ZAGÓRSKI

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 398 — WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI

ZABEZPIECZANIE ŚLADÓW

Nowa książka autora „Zasypie wszystko, zawieje...”.

Zawiera opowiadania: *List, Bóg z tobą synu, „I Duch się skupił w jedno ziarno”, Pod murem, Ku Dunzynańskiemu Wzgórzu idzie las, W stepie, w ostach i w burzanie.*

Str. 128.

Cena: F. 45,00.

TOM 400 — CZESŁAW MIŁOSZ

NIEOBJĘTA ZIEMIA

Zbiór nowych wierszy i epigramów

Str. 148.

Cena F. 55,00.

TOM 401 — JÓZEF ŁOBODOWSKI

DWIE KSIĄŻKI

Na tom składają się dwa tomiki poezji: „Dytyramby nieprzejednane” o charakterze zdecydowanie politycznym i „Południe fauna” o charakterze całkowicie odmiennym: są to pejzaże, niekiedy mitologiczne i erotyki pisane w różnych epokach.

Str. 108.

Cena F. 45,00.

Archiwum polityczne**Jest taka partia : PZPR**

Od sierpnia 1980 roku liczba członków i kandydatów PZPR nieustannie się zmniejsza. Partia, która podczas swego ósmego zjazdu odbytego na parę miesięcy przed powstaniem Solidarności liczyła ponad 3 miliony członków, w trzy i pół roku później zmniejszyła swój stan do 2.185.654. Mimo triumfalnych artykułów o stabilizacji szeregów partyjnych nastąpił dalszy, choć trzeba przyznać, że już nieznaczny spadek członków. W grudniu 1984 roku było ich około 2.130.000*, czyli niewiele więcej niż w 1968.

Zjawisko ucieczki z PZPR nie jest nowe. Nawet w okresie stalinizmu odchodzili jej członkowie, głównie robotnicy i chłopci. Po każdym wstrząsie społecznym (1956, 1968, 1970, 1976) fale odpływu przybierały na sile. Spadek liczby członków był jednak stosunkowo szybko wyrównywany. Podczas każdej kolejnej „odnowy” znajdowali się nowi kandydaci do czerwonej książeczki, przeważnie młodzi, nierzadko ideowi. Ilu ich następnie PZPR opuściło — trudno powiedzieć. Można jedynie przypuszczać, że grupa byłych partyjnych liczy w Polsce kilka milionów osób.

Ostatnia fala odpływu była najbardziej masowa i ostentacyjna, a zarazem najbardziej zagrażała istnieniu PZPR. Na powszechnym oddawaniu legitymacji zaważyły dwa czynniki: negatywny stosunek kierownictwa partii do Solidarności, która również dla wielu członków PZPR stanowiła symbol odnowy polityczno-społecznej, oraz wojskowy zamach z 13 grudnia. Rozstawanie z partią przebiegało różnie: jedni manifestacyjnie wrzucali legitymacje do koszy od śmierci, inni składali deklaracje polityczne. Było jednak wielu takich, którzy partię opuścili po cichu. Oddawali legitymacje sekretarzowi lub przestawali płacić składki czy też zapominali o swoim członkostwie w nowym miej-

* Wszystkie liczby podaję za *Życiem Partii* — dwutygodnikiem KC PZPR przeznaczonym dla aktywu partyjnego.

scu pracy. Partię opuszczali przede wszystkim robotnicy i młodzi, którzy nie przekroczyli 30 lat.

Koncepcja masowej partii będącej reprezentantką wszystkich warstw społecznych, z takim powodzeniem realizowana w latach siedemdziesiątych, za Solidarności rozsypała się. PZPR, która nieustannie podkreślała swój robotniczy charakter, stawała się w coraz większym stopniu partią podstarzałych urzędników i notabli. Najgroźniejszemu symptomowi choroby PZPR — masowemu oddawaniu legitymacji — towarzyszyło inne zjawisko, równie groźne: brak kandydatów. Partia, która od 1976 roku każdego miesiąca chwaliła się setkami nowych kandydatów, przez 16 miesięcy „Solidarności” zdołała przyciągnąć jednostki. Nie ulegało wówczas wątpliwości, że PZPR jako organizacja leninowska jest w rozkładzie.

Aparat, z trudem hamujący irytację, tłumaczył odejścia z partii na wiele różnych sposobów, z pominięciem oczywiście przyczyny głównej: członkowie PZPR mieli serdecznie dość partii i jej polityki. Wśród używanych przez aparat argumentów na uwagę zasługują dwa: 1) z partii odchodzą wrogowie i karierowicze, którzy wdarli się do niej podstępem, a korzystając ze zmienionej sytuacji politycznej postanowili zrobić karierę gdzie indziej, tzn. w Solidarności. Jedni i drudzy przyczynili się do osłabienia partii, m.in. do oskarżeń o korupcję i złodziejstwo. 2) Z partii odchodzą uczciwi ale słabi, którzy psychicznie nie wytrzymali ataków Solidarności. Należy ich żałować, zwłaszcza robotników, i zrobić wszystko co jest w mocy partii, tj. aparatu, by do PZPR powrócili. Argumenty nie są nowe. W każdej sytuacji kryzysowej propaganda partyjna operuje dwoma stereotypami; „podstępny wróg” i „kuszenie niewinnych komunistów”. Po 13 grudnia repertuar pozostał ten sam. Jedyłą modyfikacją było mocniejsze podkreślenie destrukcyjnej roli Solidarności w niszczeniu partii.

Poza ostrą krytyką słabości w propagandzie po 13 grudnia pojawiła się również nadzieja. Na zebraniach różnych szczebli oraz w prasie partyjnej głoszone z całą powagą, iż dzięki wprowadzeniu stanu wojennego partia będzie mogła wreszcie „odzyskać wiarygodność” i „możliwości działania organizacyjnego”. Wstępem do odbudowania tak pożądanego przez partię autorytetu były, jak wiadomo, czołgi na ulicach, obozy internowania oraz oddziały ZOMO. Kierownictwo PZPR pokazywało nie tylko społeczeństwu, ale również własnym członkom, że posiada środki przemocy i nie zawaha się przed ich użyciem w każdej sytuacji, którą uzna za niebezpieczną. Wstępem do okrzykanej wiarygodności miał być więc strach przed przemocą fizyczną. Członkowie, którzy pozostali wierni kierownictwu, od tej pory wiedzieli, że apele o skuteczne poparcie ich działań nie pozostaną bez echa. Nie było już obawy, by jakkolwiek sekretarz został wywieziony na tacze z zakładu lub publicznie zdezawuowany przez Solidarności. Generalski porządek uratował partię i jej aktywistów.

Drugim czynnikiem stabilizującym partię miała być niczym

już nieskrępowana działalność organizacyjna i propagandowa aparatu, który jednak, by móc się wywiązać ze swych zadań, musiał być oczyszczony — jak stwierdził szef działu kadr KC — z „ludzi o chwiejnej postawie bądź słabo zaangażowanych w działalność partyjną”. W ciągu 1982 roku znaleziono takich 750. Ale akcja trwa nadal i obejmuje prawie wszystkie ogniwa partii. Usuwane są nie tylko osoby wybrane podczas Solidarności, ale również za okresu Gierka. Najmniej spektakularne zmiany zachodzą na stanowiskach najbardziej eksponowanych, np. I sekretarzy komitetów wojewódzkich. Po dzień dzisiejszy 29 sekretarzy wybranych po raz pierwszy w okresie Solidarności zachowało swoje stanowiska. Okazało się, że ówczesne wybory partyjne, które wzbudziły tyle nadziei nie okazały się aż tak groźne dla kierownictwa PZPR, jak się niektórym działaczom Solidarności wydawało.

Równoległe z akcją oczyszczania aparatu rozpoczęto wyrzucanie członków partii, którzy zbyt ostentacyjnie wypowiedzieli się za odnową, a którzy z jakiś względów chcieli w PZPR pozostać. Od IX Zjazdu do końca 1983 roku Komisje Kontroli wydalili z partii ogółem 4.054 osób, w tym 2.720 za „zachowanie sprzeczne z ideowo-politycznymi pryncypiami PZPR, zajmowanie postaw kapitalanckich lub naruszanie centralizmu demokratycznego” (Ż.P., 29. II. 1984, str. 8). Mimo szumnych zapowiedzi bezkompromisowego rozprawienia się z „wrogami, oportunistami i kombinatorami” wydań z partii w porównaniu z innymi okresami było bardzo mało. Np. między 1964 a 1968 rokiem usunięto 31 tys. osób. Ale wówczas PZPR prowadziła swoją ostatnią wielką batalię ideologiczną, rozprawiając się z syjonistami i rewizjonistami, po prostu z inteligencją. Niewielki odsetek wyrzuconych po 13 grudnia jest wskaźnikiem politycznej słabości partii. Przy masowym oddawaniu legitymacji aparat nie może sobie pozwolić na wielką czystkę, gdyż w końcu ostałby się sam w otoczeniu oficerów i weteranów.

Jeśli chodzi o szare masy członkowskie, dyscyplinarne porządki nie przyniosły widocznych rezultatów. Po zamachu, podobnie jak przed nim, członkowie nadal odchodzą z partii. Po cichu, bez manifestacji, ale odchodzą. Partia to jednak nie wojsko. Nie można było zarządzić poboru ani powołać komisji kwalifikacyjnych, które by z urzędu osądzały, kto się do niej nadaje, a kogo można odrzucić. Mimo marsowego stylu, a niekiedy i środków stosowanych przez aparat, rzesze partyjnych są grupą niemrawych cywilów. Ci, którzy w partii pozostali, w zdecydowanej większości nie błyszczą aktywnością organizacyjną (składki partyjne, uczestnictwo w zebraniach, uchylanie się od kandydowania do władz) ani polityczną. Przykładem ich bierności jest uczestnictwo we wronich związkach.

Wedle danych wydziału społeczno-związkowego KC PZPR „w dwóch województwach (Biała Podlaska, Radom) przeszło 80 % należy do związków zawodowych, w 30 województwach wskaźnik ten waha się od 60 % do 80 %. Najniższy procent uzwiązkowie-

nia członków partii występuje w województwach: bielskim, elbląskim, łódzkim, piotrowskim, skierniewickim, słupeckim oraz rzeszowskim" (Ż.P., 19. XII. 1984, str. 14). Zacytowany fragment jest wzorcowym przykładem tzw. informacji partyjnej. Rzadko można z niej uzyskać pełne bądź wiarygodne dane dotyczące całego kraju. W tym przypadku nie wiadomo, co się dzieje w co najmniej dziesięciu województwach. Czyżby sytuacja była w nich aż tak katastrofalna? W każdym razie nie ma województwa w kraju, w którym by wszyscy członkowie partii przystąpili do związków, z takim rozmachem propagandowym tworzonych przez kierownictwo. Ich bojkotowanie występuje nawet wśród sekretarzy oddziałowych organizacji i administracji. Np. w województwie katowickim „w około 40 % organizacji do związków nie wstąpiła nawet połowa członków PZPR. Dominują w tej grupie pracownicy administracji" (Ż.P., 5. XII. 1984, str. 9). Z dyrekto-rami też są kłopoty. Pod pretekstem, iż „są stroną" w konflikcie, niektórzy nie chcą zapisywać się do związków lub zbyt otwarcie z nimi współpracować.

Bojkot wronich związków jest przez aparat partyjny potępiany i nieustępliwie zwalczany. Tym bardziej, że wszyscy, włącznie z kierownictwem partii, traktują go jako swoisty wskaźnik wpływów Solidarności. Wpływów, co nie znaczy przynależności czy aktywności w podziemnych strukturach. Dopóki znaczący odsetek partyjnych pozostanie poza oficjalnymi związkami, dopóty „normalizacji" partii nie można uznać za zakończoną. Nawet pod tym względem rządu generała-sekretarza okazują się mało efektywne.

Usiłowania przywrócenia partii jej „leninowskiego oblicza" wzmogły się wraz z wyborami, przeprowadzonymi we wszystkich instancjach PZPR z wyjątkiem KC na przełomie 1983/1984 roku. Rozpoczęła się wielka ofensywa propagandowa, która trwa po dzień dzisiejszy. Dopatrując się w niedostatkach propagandowych przyczyny wszystkich nieszczęść PZPR, aparat znalazł jedno wyjście: kształcenie członków. Nad partią rozbiła się nagła bania ze szkoleniem. Trudno nawet wyliczyć wszystkie formy, gdyż każde województwo może zachowywać swoją specyfikę, w pewnych granicach oczywiście. Mamy więc szkoły: dla aktywu, dla młodych, dla robotników, dla kadry technicznej i dla chłopów. Są kółka samokształceniowe, cykle wykładów historycznych, a na każdą podstawową organizację partyjną przypada jeden lektor. W celu ożywienia Wieczorowych Uniwersytetów Marksizmu-Leninizmu kierownictwo nie szczędzi ani środków, ani nagród i pochwał. Słowa płyną, płyną też przy okazji pieniądze, bo łatwo sobie wyobrazić, ile to szkolenie kosztuje. Jego celem jest wyrwanie partii z odrętwienia i uzbrojenie jej w argumenty propagandowe, dzięki którym będzie mogła przeciwstawić się ofensywie opozycji. Zadania szkoleniowe, a właściwie propagandowe, są przez aparat formułowane przejrzyście i bez żadnych niedomówień. Jest to drugi etap zdobywanej przez partię „wiarygodności".

Intensywnie szkoląc tych, którzy zapisali się już do PZPR, aparat ani przez chwilę nie zapomina o pomnożeniu szeregów partyjnych. Tak jak za Gomułki i Gierka dąży się do tego celu wszystkimi sposobami. Jedyną osobliwość obecnej ekipy polega na publicznym przyznawaniu się do stosowania presji moralno-prawnej i zachęt finansowych. Przykładem jest program opracowany przez KW PZPR we Wrocławiu:

- przeprowadzenie przez POP/OOP przeglądu pracowników celem wytypowania kandydatów, z którymi rozpocznie się intensywną pracę polityczną;
- rozmowy indywidualne;
- popularyzacja sylwetek ludzi dobrej roboty i ludzi wyróżniających się w pracy zawodowej i społecznej;
- organizowanie konkursów z nagrodami, spotkań młodych ludzi z przedstawicielami instancji partyjnych pod hasłem „Partia rozmawia z młodzieżą";
- organizowanie wycieczek dla przodujących, wyróżniających się społecznie pracowników;
- przedstawianie do nagród, odznaczeń resortowych, regionalnych, wyróżnień oraz udzielanie innych form gratyfikacji dla młodych ludzi wyróżniających się w pracy zawodowej i społecznej.

(Ż.P., 5. XII. 1984, str. 7).

Za tą różnorodnością środków kryje się metoda stara jak świat: bata i marchewki. Jednych straszy się podczas „rozmów indywidualnych" (jak pan, panie kolego, nie wstąpi do partii, to nigdy pan nie zaawansuje), a innych po prostu przekupuje się: nagrodami, wycieczkami, awansami czy odznaczeniami. Hasło „z PZPR-em w świat", brzmiałoby jeszcze bardziej zachęcająco, gdyby zapisujący się mieli pewność, że popłyną promem „Rogalin".

We wrocławskim programie rekrutacji, a trudno przypuszczać, by był wyjątkiem, uderza brak jakichkolwiek odwołań do ideologii. Partia występuje w nim w charakterze przedsiębiorstwa zatrudniającego nowych pracowników, o których przypuszcza, że jedynym motywem zgłoszenia się są korzyści materialne. W każdym bądź razie coraz częściej znajdują się tacy, którzy do PZPR się zapisują. Przez 10 miesięcy 1984 roku wstąpiło ponoć 23.744 osób. Jakie są ich faktyczne motywy: strach, chęć wygodnego urzędzenia się, asekurantwo czy cwaniactwo — trudno powiedzieć. Z całą jednak pewnością nie należy wyciągać zbyt pochopnych wniosków co do ich przyszłego zachowania. Po pewnym czasie część z nich pomnoży szeregi byłych partyjnych, inni niesłusznie staną się gorliwymi aktywistami.

Akceptacja każdego, kto chce się zgłosić do partii, jest dla aparatu koniecznością, jeśli PZPR ma nadal pozostać organizacją masową. Przy wszystkich możliwych trudnościach i kłopotach wynikających z masowości komunizmu w żadnym wypadku nie mogą z niej zrezygnować. Propozycje stworzenia organizacji kadrowej, politycznie spójnej i organizacyjnie sprawnej, wysuwane w okresach kryzysowych, ostatnio przez T. Grabskiego, były

zawsze przez kolejne kierownictwa odrzucane. Bez masowej partii rządzenie współczesnym społeczeństwem byłoby jeszcze trudniejsze, jeśli nie wręcz niemożliwe. Jakie korzyści daje masowa partia? Przede wszystkim, ideologiczne. Obecna ekipa, jak wszystkie poprzednie, nie zamierzała nigdy zrezygnować z podstawowego założenia ustrojowego, tj. kierowniczej roli partii. Drugorzędną sprawą jest, czy tę rolę kształtują cywile z KC czy też wojskowi z Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego. W jednym i drugim przypadku decyzje podejmuje się w imieniu PZPR. By partia mogła spełniać swoje zadania, aparat potrzebuje ludzi; swoich, sprawdzonych, z legitymacjami w kieszeni. Jeśli prawie każde liczące się stanowisko kierownicze, a nawet funkcje społeczne są obsadzane przez partyjnych, to muszą oni być dostatecznie liczni, by zapełnić te wszystkie miejsca. Funkcje partii masowej nie sprowadzają się jednak do bycia rezerwą kadrową dla kierownictwa. Spełnia ona także rolę pasa ochronnego między społeczeństwem a aparatem i dwustronnego przekazywacza informacji. Im partia jest liczniejsza, tym bardziej jest dla kierownictwa użyteczna.

Równie ważny jest problem legitymacji władzy. Nie mając jej od społeczeństwa, kierownictwo PZPR chce ją otrzymać przynajmniej od swoich własnych członków. Wystarczy zwrócić uwagę na to, ile razy decyzje kierownictwa, zwłaszcza te najmniej popularne, są uzasadniane poparciem otrzymywanym od członków partii. Nie jest ważne czy było, czy też nie było wyartykułowane. Istotne jest tylko, że kierownictwo ma za sobą setki tysięcy zwolenników, na których może powoływać.

Są również korzyści polityczne. PZPR może być organizacją słabą, bez specjalnej aktywności, ale rzesze członków na ogół zachowują się zgodnie z oczekiwaniami kierownictwa. Tak było w drugiej połowie istnienia Solidarności, po 13 grudnia, a ostatnio podczas wyborów do rad narodowych. Podporządkowanie się dyrektywom kierownictwa wynika zarówno ze strachu przed karami dyscyplinarnymi, jak ze zbieżności poglądów politycznych. W końcu te wszystkie szkolenia jakoś owocują, jakiś ślad w świadomości jednostkowej i grupowej po nich pozostaje. Dlatego aparat nie przerażają byle jacy kandydaci. Jest przekonany — i słusznie — że po pewnym czasie partyjne młyny przemiałają otrzymany materiał i jakaś część nowo przybyłych dostosuje się do norm PZPR.

Masowe odejścia z partii są dla aparatu swoistym referendum, wyrażającym sprzeciw wobec kierownictwa. Dlatego były tak bolesne podczas Solidarności i po 13 grudnia. Można nawet przyjąć hipotezę, że dla aparatu o wiele istotniejsza jest obecność ludzi w partii niż ich zachowanie. Co nie znaczy, że aparat rezygnuje z aktywności członków partii. Wręcz przeciwnie. Nieustannie przeprowadza się jakieś „akcje”, „czyny” i rozdaje się „indywidualne zadania”, byleby członkowie PZPR czuli się związani z partią i mieli świadomość ciągłej nad sobą kontroli. Ale definicja wzorowego partyjniaka uległa w ostatnich czasach

znacznie zmężeniu. Wystarczy płacić składki, uczestniczyć w zebraniach oraz głosować za urzędującym kierownictwem, by zachować legitymację i dobrą opinię. Gdy aparat będzie mógł wyrzucić z partii takich właśnie wzorowo-biernych, wówczas będziemy mogli mówić o przejściu do ostatniego etapu odtwarzania „wiarygodności” PZPR.

Nieustanne powtarzanie przez niektórych przywódców opozycji opinii w rodzaju: „partia przestała istnieć”, „czerwonego nie widać”, „z partii ostał się tylko aparat” — niestety mijają się z rzeczywistością. Współczesna PZPR na pewno nie przypomina stalinowskiej partii, ale w politycznym pejzażu Polski jest jak najbardziej obecna. I nadal stanowi zaporę dla niepodległościowych i demokratycznych aspiracji społeczeństwa. Dwa miliony członków, choć przeważnie biernych, stanowią pod kierownictwem aparatu siłę polityczną, z którą opozycja musi się liczyć i którą musi uwzględniać w swoich działaniach organizacyjnych i propagandowych.

Pozostaje ostatnia sprawa: wiarygodności liczb podawanych przez instancje PZPR. Na ogół opozycja je kwestionuje. Ostatnio mówi się, że liczba członków PZPR nie dochodzi do 1,5 miliona. Po pierwsze, to też spora gromada ludzi, tym bardziej niebezpieczna, że zajmująca kluczowe stanowiska. Po wtóre, nie ma żadnych rzetelnych sposobów ustalenia stanu faktycznego. Na podstawie danych z jednego czy nawet kilku zakładów nie można sądzić o województwie, na podstawie danych, nawet najpełniejszych, z jednego województwa nie można wnioskować o stanie liczbowym całej partii. Pomijając ewentualne „przeciuki” z KC, należy się zatem opierać na danych oficjalnych, tym bardziej, że są dla PZPR na ogół kompromitujące. Przeciwnika nie należy przeceniać, ale podstawowym błędem politycznym jest niedoceniać go.

Grażyna POMIAN

28 stycznia 1985

Od białego caratu do czerwonego

Przeczytawszy pierwsze zdanie, nie mogłem się już oderwać, chociaż tekst wydrukowany jest drobnym drukiem i tak gęsto, że chwilami musiałem brać lupe. Trudności poligraficzne są zrozumiałe: broszura została wydana w 1984 roku we Wrocławiu,

w podziemnej poligrafii¹. Pierwsze zdanie, które tak przykuło moją uwagę, brzmi: „W czerwcu 1981 roku zespół nasz podjął prace nad sformułowaniem prognozy rozwoju stosunków wewnętrznych w ZSSR”.

Temat niezwykle ważny. O przyszłości Związku Sowieckiego pisze się dużo, zarówno na Zachodzie jak w ZSSR. Jednak zawsze mi się wydawało, że właśnie Polacy mogliby szczególnie wnikliwie zanalizować system sowiecki, zrozumieć jego istotę i wskazać możliwe drogi na przyszłość. Fakt, że są zarazem tak blisko Związku Sowieckiego i tak odeń daleko, podobieństwa i różnice, stare biedy i niepojęty wzajemny pociąg pozwalał, jak mi się wydawało, żywić nadzieje. Autorzy broszury z niejakim zdumieniem odkryli (mowa o tym w przedmowie), że w Polsce nie ma ani ośrodka badawczego, ani indywidualnych badaczy, którzy zbieraliby materiały o Związku Sowieckim i badali zachodzące tam procesy.

Brakujące materiały autorzy zastąpili niezmiernie interesującym źródłem — ankietą przeprowadzoną wśród grupy ludzi, tak czy inaczej związanych z systemem sowieckim. Wśród ankietowanych są przedstawiciele polskiego i sowieckiego aparatu władzy, nauki, kultury, „dysydenci” (badanie obywateli sowieckich przeprowadzono w ZSSR), są też polscy specjaliści zatrudnieni w ZSSR.

Autorzy broszury przyznają, że są to źródła niewystarczające i proszą o traktowanie broszury jako zespołu hipotez raczej niż jako pełnych badań. Tym niemniej zauważają, że czas, jaki upłynął od zakończenia prac nad raportem, tzn. od września 1983, „w niemałej mierze potwierdził trafność opinii naszych respondentów” (str. 3).

Jeśli by kto bardzo chciał, mógłby broszury nawet nie czytać, bo wywody autorów zilustrowane są na okładce. Rysunek przedstawia białego dwugłowego orła zwieńczonego gwiazdą pięciopromienną (obok napis każe pokolorować gwiazdę na czerwono), w prawej łapie orzeł trzyma młot, w lewej sierp. Sens rysunku jest oczywisty: rosyjski samodzierżawny orzeł zmienił akcesoria, ale został sobą.

Broszura składa się z trzech części: wczoraj — historia; dziś — bieżąca działalność; jutro — przyszłość. Autorzy z wielkim uporem bronią swej koncepcji, dla przedstawienia której — moim zdaniem — można sobie było oszczędzić wysiłków, jakie wyłożyli w przygotowanie broszury.

Zacznijmy od „wczoraj”. Autorzy ułatwili sobie zadanie, ogłaszając, że nie należy przyjmować tezy, „jakoby dzisiejsza Rosja swą państwowość i kulturę społeczną zawdzięczała wyłącznie obecnemu systemowi radzieckiemu” (str. 5). Używając słowa „wyłącznie”, odrzucają wyłożoną wyżej tezę i proponują inną: że mianowicie wszystko, czym Rosja jest dziś zawdzięcza ona wy-

łącznie swej przeszłości. Powierzchnowy (nader powierzchowny) przegląd historii rosyjskiej ma dokazać, że tak było zawsze, od najdawniejszych czasów. Więcej, autorzy twierdzą, że gdyby Wielkorusz wyrosła nie z księstwa moskiewskiego, a z księstwa twerskiego, wladimirskiego czy suzdalskiego, byłaby taka sama (str. 7). Trudno się doprawdy o to spierać: nikt nie wie, co by było, gdyby. Można tylko spytać: a gdyby państwo rosyjskie wyrosło na gruncie Nowgorodu?

Rzecz jednak nie w tym. Rzecz w tym, że autorzy przywiązują znaczenie do rosyjskiego charakteru narodowego, rosyjskich cech narodowych. Ich zdaniem o historii decydują cechy narodowe, które mogą być dobre albo złe, lepsze albo gorsze.

Dlatego też zdaniem autorów nic się nie zmieniło od XIII wieku do 1917 roku (a, jak zobaczymy, potem też nie). Ani słowem nie wspominają np. o ziemstwach. Odnotowują za to, że żadna z rosyjskich partii rewolucyjnych nie miała programu i że Leninowi udało się „rozgryźć” wiele problemów po 1917 roku tylko dzięki pomocy syna zruszczonego Polaka Gleba Krzyżanowskiego (str. 11). To ma zdaje się świadczyć o różnicy między modelem polskim i rosyjskim. W tym miejscu należałoby dodać, że Gleb Krzyżanowski nie odegrał żadnej roli po rewolucji, za to niemałą rolę odegrał (pomagając Leninowi „rozgryźć” problemy) rodowity Polak, którego pomnik stoi w centrum Warszawy.

„Wczoraj”, czyli przegląd historyczny zamyka wniosek: „Model państwowości carów został odtworzony z najpełniejszymi analogiami w wielu drobnych nawet szczegółach” (str. 13). Tak brzmi koncepcja autorów. Bronią jej, odrzucając analogie z państwem hitlerowskim, twierdząc, że „być może ułatwia [ona] propagandę polityczną, jednakże niewiele pozwala zrozumieć” (str. 13).

Autorzy broszury odrzucają także model totalitaryzmu jako instrument analizy systemu sowieckiego, ponieważ konsekwentnie — powiedzielibym wręcz uparcie — odrzucają wszystko, co odnosi się do dziedziny ideologii. Nie wspominają ani Marksa, ani marksizmu, ani ideologii komunistycznej — wszystko to jest im niepotrzebne, ponieważ mówią o państwie rosyjskim, takim samym od setek lat.

Rozdział „Dzisiaj” oparty jest na odpowiedziach respondentów: naoczni świadkowie, ludzie, którzy albo mieszkają w ZSSR, albo tam bywali, dostarczyli trochę smacznych szczegółów o życiu w kraju sowieckim. Równocześnie jednak respondenci dostarczyli standardowych klisz, które należałoby odrzucić. Autorzy piszą na przykład o „kremlofskich starcach”, że wszyscy są niewykształceni poza Andropowem (str. 26). Mit o „wykształceniu” Andropowa także już dawno został obalony. Ważniejsze jednak jest co innego: jakież znaczenie może mieć sowiecki dyplom sowieckiego polityka? I w ogóle co znaczy „wykształcenie” w systemie sowieckim? Autorzy piszą: „Wszystkie znane nam 'przecieki' sugerują, że Breżniew nie był np. zwolennikiem interwencji w Czechosłowacji” (str. 27). Świadectwa czeskich komunistów i nie-

1. „Wczoraj, dziś i jutro Rosji Radzieckiej”. Opracowanie zespołowe. Inicjatywa Wydawnicza „Aspekt”. Wrocław 1984.

dawno ogłoszone dokumenty francuskiej partii komunistycznej przeczą tym „przeciekom”. Trudno się zgodzić z twierdzeniem o wroście politycznych wpływów armii (str. 35). Późniejsze wydarzenia (już po napisaniu książki) pokazały, jak łatwo jest usuwać marszałków, o których pisano, że odgrywają niezmiernie ważną rolę w systemie władzy.

Błędy, pochopne, niedowiedzione twierdzenia, niczym nie poparte wywody są — jak sądzę — wynikiem wybranej koncepcji metodologicznej: autorzy nie chcą widzieć w sowieckim systemie ustroju, w którym decydującą rolę odgrywa ideologia.

„Jutro”, rozdział poświęcony przyszłości, jest najłatwiejszy — o tym, co jeszcze nie istnieje można mówić co się chce — i zarazem najtrudniejszy — mało komu udało się uchylić zasłony czasu. W rozdziale o przyszłości autorzy przede wszystkim wyciągają wnioski z niedawnej przeszłości. I tu, niestety, trzeba stwierdzić, że są nazbyt optymistyczni. Twierdzą np., że wojna z afgańskimi muzułmanami dowodzi, że „Związek Radziecki (...) zerwał z polityką szukania sojuszników w świecie islamu” (str. 43). Wydarzenia minionych pięciu lat wykazują, że świat islamu, rozbity jak zawsze, jak i przed inwazją Afganistanu, szuka poparcia Związku Sowieckiego. Wystarczy wspomnieć o umowie podpisanej z Jemenem Północnym (z komunistycznym Jemenem Południowym układ podpisano już dawno), o wizytach w Moskwie królów, szeków i prezydentów arabskich, o tym, że nawet USA zastanawiają się, w jaki sposób włączyć Moskwę w rozwiązanie kwestii Bliskiego Wschodu. Autorzy sądzą, że „interwencja wewnętrzna” w Polsce oznaczała, że Związek Sowiecki zrezygnował ze związków z „lewicą” światową i z jej poparciem (str. 44). Być może dotyczy to w jakiejś mierze Francji, ale w żadnym stopniu innych krajów, przede wszystkim Niemiec i USA. Termin „lewica” jest niezwykle mętny. Nie wiadomo, kogo uważać za „lewego”. Jeśli jednak włączyć do tej kategorii europejskich terrorystów, to trzeba przyznać, że ich deklaracje pisane są najczystszy sowieckim językiem, a w deklaracjach tych nie ma ani słowa o Związku Sowieckim, pełno za to pogroźek pod adresem „amerykańskich imperialistów”. Kiedy autorzy broszury piszą, że zachodni liberałowie i lewicowcy stracili wszelkie złudzenia co do ZSSR, to świadczy to tylko o tym, że w Polsce trudno dostać zachodnie gazety.

Do złudzeń należy też zaliczyć przekonanie autorów, że Związek Sowiecki „ustawił przeciw sobie sporą grupę wielkiego zachodniego kapitału” (str. 43). — Nie ma dziś na świecie lepszych sojuszników Związku Sowieckiego jak „wielcy zachodni kapitaliści”. Wystarczy spojrzeć na amerykańskie, japońskie, francuskie czy niemieckie gazety z początku lutego 1985 roku, aby się przekonać, jaki entuzjazm ogarnął producentów komputerów, kiedy się dowiedzieli, że wolno im sprzedawać maszyny elektroniczne do ZSSR.

Koncepcja niezmiennego państwa rosyjskiego przeszkadza autorom broszury zrozumieć istotę ustroju sowieckiego, przesz-

kadza im też zrozumieć, że państwo sowieckie pozostaje magnesem zarówno dla „lewicy” jak i dla „prawicy”, bowiem jest to system ideologiczny. „Lewicę” urzeka ono, bo jakie by nie było, jest to państwo zrodzone z rewolucji, a „prawicę” przyciąga, bo stworzyło najskuteczniejszą technologię władzy. Czy można powiedzieć, że imperium rosyjskie było równie atrakcyjne? Autorzy piszą, że rok 1956 „zapoczątkował proces upadku mitu” (str. 43). — Ale jakież mit reprezentowało imperium carów? Czy istniał mit carstwa rosyjskiego? Czy gdzieś na Morzu Karaibskim próbowano odtworzyć jego model?

Broszura kończy się bezapelacyjnym stwierdzeniem: „Rosja demokratyczna, Rosja, jaka mogłaby być, jest Rosją, której być nie może. Nie z winy Rosjan. Rosjanie nie mogą być inni niż są i ich przywódcy również” (str. 55).

Znaczy to, że Rosjan tylko mogiła wyprostuje. Znaczy to zarazem, że wszystko to, co dzieje się w Polsce od 1944 roku jest wyłączną winą Rosjan, a Polacy to inny naród, obdarzony innymi cechami [to zresztą jest *expressis verbis* powiedziane: reakcja Polaków na terror i zastraszenie jest całkowicie odmienna od reakcji Rosjan (str. 33)] i nie mają nic wspólnego z sowietyzacją swego kraju.

Wydaje mi się, że jest to fałszywy i niebezpieczny punkt widzenia. Schlebiamy on uczuciom narodowym. Nie należy jednak zapominać, że księżdz Popiełuszkę zabił nie kapitan Pietrow, a kapitan Piotrowski. Dylemat brzmi prosto: czy walka w Polsce toczy się dziś przeciw Rosjanom, czy przeciw władzy komunistycznej? Broszura odpowiada na to pytanie w sposób nieprzekonywujący.

Michał HELLER

Korespondencja z Rzymu

O Europie i Polsce na Kapitolu

„Imperializm sowiecki jest trzymany w szachu przez polską walkę bez użycia przemocy”. Te słowa są umieszczone w orędziu programowym powstałego tu w zeszłym roku Komitetu Informacji i Inicjatywy d/s Pokoju, zrzeszającego wybitnych włoskich prawników, dyplomatów i ekspertów. Pod wysokim patronatem prezydenta republiki Pertiniego i egidą tego Komitetu odbyło się na rzymskim Kapitolu w dniu 26 stycznia zebranie dyskusyjne pod hasłem „Europa, protagonista pokoju”. W zebraniu tym, które wywołało duży oddźwięk w tutejszych środkach masowego

przekazu, uczestniczyli członkowie rządu z wicepremierem Forlanim, parlamentarzyści stronnictw wchodzących w skład koalicji rządzącej, przedstawiciele placówek dyplomatycznych. Otworzył je komunistyczny burmistrz Rzymu. W głównych referatach i wystąpieniach dyskusyjnych nie ukrywano rozczarowania, że egoizmy narodowe, sceptycyzm, krótkowzroczność polityków, pustka ideowa uniemożliwiają postępy w procesie integracji europejskiej. Nic dziwnego, że obojętność opinii publicznej doprowadziła do zwiotczenia idei jedności Europy. Była mowa o tym, że Europa — pojmowana błędnie jako całość, choć ma się na myśli jedynie jej zrąb w postaci EWG — jest wciąż jeszcze tylko przedmiotem, a nie samoistnym podmiotem stosunków międzynarodowych. Wskazywano na drogi wyjścia: dążenie do przekształcenia wspólnoty, jak dotąd czysto merkantylnej i zbiurokratyzowanej, we wspólnotę polityczną, otwartą na zewnątrz, zwłaszcza ku krajom Europy wschodniej, którym należy pomóc w zmaganiach o „wyjście z Jały”. W tym kontekście zwrócono szczególną uwagę na przykład Polski, na doświadczenia jej ruchu oporu i metodę *non violence*, co stanowi „cierń we flance sowieckiego ekspansjonizmu i totalitaryzmu”. Motywem przewodnim szeregu wystąpień było stwierdzenie, że nie można wszystkiego oczekiwać od rządów, co oznacza potrzebę podejmowania inicjatyw przez opiniotwórcze środowiska prawników, przedstawicieli różnych dyscyplin naukowych, pisarzy. „Trzeba dawać świadectwo prawdzie, poświęcać osobiste i partykularne interesy i wygodę na rzecz dobra wspólnego, biorąc jako wzór postawę intelektualistów polskich” — oświadczył jeden z prelegentów. Dziennik watykański *L'Osservatore Romano* w swym sprawozdaniu położył nacisk na „zjawisko *non-violence* w doświadczeniu polskim jako broń zwycięską w walce politycznej”.

Zabierając głos jako jedyny uczestnik debaty pochodzenia wschodnioeuropejskiego zaznaczyłem, że Europa zachodnia nie osiągnie postępu na drodze unifikacji, jeśli będzie ignorować przemiany wewnętrzne w krajach bloku sowieckiego, jeśli będzie wymazywać te kraje z własnego sumienia. Będzie jej wówczas wciąż zagrażać „finlandyzacja” bądź też podporządkowanie Stanom Zjednoczonym.

Rozpoczęty w Polsce proces emancypacji stanowi fazę przejściową od systemu totalitarnego do demokracji społecznej. EWG we własnym interesie powinna działać zgodnie ze zrozumieniem, że jej losy ważą się również w „drugiej Europie”. Oceniając duże zainteresowanie środowisk politycznych, także dyplomatów watykańskiej, dla tej debaty na Kapitolu, nasuwa się wniosek, że „sprawę polską” i w ogóle problematykę „drugiej Europy” należy starać się włączać w ogólny nurt inicjatyw europejskich. Inaczej bowiem będzie stale nam grozić, że zachodnia opinia publiczna będzie nadal interesować się naszymi sprawami sporadycznie i dorywczo, a politycy i syndykaliści w dalszym ciągu uprawiać będą instrumentalizację, czyli własną grę, w której sprawy nas obchodzące stanowią jedynie pretekst.

Emigracyjne cienie i blaski

Jedną z charakterystycznych wad polskiej diaspory jest uleganie takim czy innym preferencjom politycznym, przesłaniającym obraz rzeczywistości. W „Kronice szwedzkiej” (*Kultura* nr 1/2, 1985) Norbert Zaba, zaśluzony dla emigracji i niesłuchanie uczynny jako współorganizator mojej tury odczytowej w Szwecji, pisze, iż odczyt mój wywołał „wiele głosów krytycznych” i „powszechny sprzeciw zdaniem, których ogólny ton przypominał opinie skrajnie ugodowych kół Kościoła” (tego sprzeciwu zresztą nie zauważyłem). Założenie moje nie polegało na pocieszaniu rodaków i utwierdzaniu ich w tym, co chcieliby usłyszeć, czyli podtrzymywaniu ich iluzji, które nieuchronnie prowadzą do rozczarowań. Mówiłem natomiast o tym, jak z mego rzymskiego punktu obserwacyjnego widać polski wątek pontyfikatu, politykę wschodnią Watykanu i stosunki Kościół-państwo w Polsce.

Dominik MORAWSKI

10 lutego 1985

KOŁOKWIUM TURYSKIE

25 i 26 stycznia odbyło się w Turynie międzynarodowe kolokwium *Polonia, la società parallela — Polska, społeczeństwo równoległe*. Kolokwium, w sumie niewątpliwie udane, zorganizowali: włoski Komitet solidarności z Solidarnością (pod przewodnictwem Andrzeja Chodakowskiego), Komitet przyjaciół Polski (pod przewodnictwem Dino Aquilano) oraz regionalne piemonckie przedstawicielstwo związków zawodowych CGIL-CISL-UIL. Sfinansowane zostało przez miejski Komitet Pokoju i Współpracy Międzynarodowej, miasto Turyn, prowincję Turyn i region piemoncki. Uczestników powitali: imieniem miasta komunistyczny burmistrz Novelli (był to ostatni dzień jego urzędowania), imieniem prowincji przewodniczący Maceri, imieniem regionu przewodniczący Bensi. Z mówców zagranicznych należy wymienić wspomnianego już Dino Aquilano, redaktora *Esprit* Paula Thibaud, trójkę włoskich syndykalistów (Magno z CGIL, Scarpellini z UIL, Carla Cassina z CISL), Jean Pierre Noël z CFDT, profesora Wiewiórkę z uniwersytetu paryskiego i profesora Marchesanię z uniwersytetu genueńskiego. Prelegentami polskimi byli na kolokwium Jerzy Milewski, Jan Andrzej Stepek, Jakub Karpiński, Adam Zagajewski, Bronisław Wildstein i Seweryn Blumsztajn. Odbyły się dwa „okrągłe stoły”. Tematem pierwszego były „reperkusje wydarzeń polskich we włoskiej i europejskiej refleksji politycznej”; przewodniczył mu Jaś Gawroński, poseł do parlamentu europejskiego; udział brali socjalista Spini (z kierownictwa partii), komunista Ardito i chadek Formigoni (poseł do parlamentu europejskiego). Drugi „okrągły stół” zajął się „doświadczeniem polskim widzianym na Wschodzie”; przewodniczył mu Gustaw Herling-Grudziński; uczestniczyli w nim Natalia Gorbaniewska, Bohdan Osadczuk, Jiří Pelikan i George Gómöri.

Region Mazowsze przysłał na turyńskie kolokwium zestaw materiałów i analiz z przedmową Wiktora Kulerskiego. Rozdano go uczestnikom w oryginale polskim i w przekładzie włoskim.

Kraj

Notatki z Polski

Listopad 1984

Wszędzie śpiewa się nową pieśń, która jak żadna dotychczas została błyskawicznie podchwyczona w całym kraju:

*„Ojczyzno ma
Tyle razy we krwi skąpana
Ach, jak wielka dziś Twoja rana
Jakże długo cierpienie Twe trwa*

*Tyle razy pragnęłaś wolności
Tyle razy tłumił ją kat
Ale zawsze czynił to obcy
A dziś brata zabija brat”.*

W Krakowie obchody rocznicy odzyskania niepodległości rozpoczęły się od uroczystości w krypcie marszałka Piłsudskiego na Wawelu. Obecnych było kilku legionistów, przy sarkofagu składały kwiaty i wieńce delegacje hutników, „Solidarności”, uczelni. Po mszy św. w Katedrze Wawelskiej do grobu Marszałka przeszły poczty sztandarowe. Na dziedzińcu wśród śpiewającego i skandującego tłumu rozrzucono ulotki, sprzedawano pamiątkowe znaczki. Wkrótce uformował się kilkutysięczny pochód, który plantami przeszedł na Plac Matejki z transparentem „Solidarność w marszu do niepodległości” i portretami Marszałka. Tam pojawili się jeźdźcy akademickiego klubu jeździeckiego w mundurach legionowych, odśpiewano kilka pieśni patriotycznych. Na trasie była wyłącznie milicja drogowa, która zatrzymała nawet ruch na Basztowej, by pochód mógł bez przeszkód przekroczyć ulicę.

Dla partyjnej propagandy listopad był miesiącem bardzo niewdzięcznym. Na szczęście — jak powiedział Tow. Głowczyk na sztabie prasowym w KC — dzięki urzędowi cenzury propaganda w tych trudnych dniach spisała się dobrze. Niemniej straty zostały poniesione, zwłaszcza straty moralne poniosła Służba Bezpieczeństwa i resort MSW. Powstaje np. szkodliwa atmosfera wokół dzieci milicjantów — ubolewał Głowczyk — już nie tylko w szkołach, ale w przedszkolach i nawet żłobkach. Nie wolno dopuścić, by dzieciom działa się krzywda. Instrukcje w sprawie dalszego omawiania zabójstwa ks. Popiełuszki — kontynuował — są następujące: nie wolno tworzyć atmosfery zagrożenia i niepewności, podając całkowicie nieprawdziwe wiadomości o jakichś wcześniejszych uprowadzeniach, pobiciach, OAS-ach itp. Porwanie i zabójstwo ks. Popiełuszki było — jak wszystkim wiadomo — przypadkiem absolutnie odosobnionym, obcym socjalistycznym obyczajom. Konieczne jest wzmożenie czujności, również ze względu na „zamieszanie” w fabrykach, gdzie i wcześniej zdarzały się strajki. Co do spraw pozytywnych — instruował dalej partyjny szef propagandy — należy tworzyć sprzyjającą aurę wokół milicji, SB i całego resortu MSW, pokazywać, jak te służby służą na co dzień społeczeństwu i z jaką przychylną atmosferą się stykają.

Czyrek, sekretarz KC odpowiedzialny za partię, wyraził zaniepokojenie o więź z klasą robotniczą. Przyznał, że jest to w pewnym stopniu zawinione przez kierownictwo — gdyby to był rok 1981, to w tak kryzysowej sytuacji członkowie ścisłego kierownictwa rozjechałoby się po dużych zakładach pracy. Władze kościelne — zaopiniował — zachowują się rozsądnie, szczególnie Prymas. Kościół powinien wspierając państwo, wychowywać ludzi w duchu patriotyzmu, ale polityką zajmować się nie może. Jeśli w prasie będzie się poruszać sprawę księży zajmujących postawę antypaństwową, należy podkreślać, że są to przypadki odosobnione, a poszczególni księża postępują wbrew intencjom hierarchii. Według Czyrka władze kościelne są tak samo niezadowolone z działalności ekstremistów politycznych jak władze państwowe. Komitety przestrzegania prawa itp. są — ciągnął dalej — niegroźne, bo nie mają szerokiego poparcia, zwłaszcza ze strony Kościoła, choć ten wyraźnie się od nich nie zdystansował. Nastąpiło jednak duże rozchwianie nastrojów, zwłaszcza w środowiskach inteligenckich, czego dowodzą liczne listy i oświadczenia pochodzące z tych kręgów. Ale nastroje wśród robotników też nie są najlepsze, choć pisanie listów i oświadczeń nie leży w naturze klasy robotniczej.

Obecna sytuacja polityczna jest taka: w jawnej opozycji jest 6-7%, ok. 40% popiera władzę — poinformował dalej J. Czyrek. Walka toczy się o tę większość, ponad 50% społeczeństwa. Nie wolno ukrywać, że sprawa ks. Popiełuszki wyraźnie przesunęła nastroje w kierunku opozycyjnym.

Cenzura, którą tak wysoko ocenił tow. Głowczyk, miała oczywiście pełne ręce roboty. Szalała przede wszystkim w prasie

katolickiej. W *Przeglądzie Katolickim* z 18 listopada w tekście opisującym ostatnią drogę przed pogrzebem ks. Jerzego interweniowała 36 razy. Z kolumny informacyjnej skonfiskowała w całości tekst kazania abp. Gulbinowicza podczas mszy w Rzymie oraz listę delegacji przybyłych na pogrzeb i nadawców telegramów kondolencyjnych. Z *Tygodnika Powszechnego* z 11 listopada zdjęto w całości reportaże z pogrzebu, a z ok. 150 zdjęć przedłożonych przez redakcję cenzura dopuściła do druku 8, a i te z poprawkami (retusze, kadrowania). Na zdjęciu w *Słowie Powszechnym* z 6 listopada wyretuszowano flagę narodową przykrywającą postument, na którym stała trumna. W tygodniku *Niedziela* z 11 listopada było 6 ingerencji w tekstach poświęconych zamordowanemu kapłanowi, w całości wycięto wypowiedzi abp. Gulbinowicza i ks. Adama Bonieckiego. PRL-owskim zwyczajem cenzury nie uniknęły nekrologi, np. aktorom warszawskim urzędniczka w biurze ogłoszeń *Życia Warszawy* odmówiła przyjęcia nekrologu o treści „Żegnamy naszego przyjaciela, Jerzego Popiełuszke, który uczył nas, że słowo winno służyć prawdzie”.

Stosunek władzy do sprawy zamordowania księdza Popiełuszki odzwierciedlają bynajmniej nie gromkie deklaracje gen. Jaruzelskiego czy Kiszczaka, że społeczeństwo dowie się całej prawdy o sprawcach, inspiratorach i tle tej zbrodni. Rzeczywiste nastawienie ujawnia to, co dzieje się już o szczebel niżej. Oto co np. padło na zebraniu w KW PZPR w Koszalinie: inicjatywa zabójstwa wyszła z „kręgów katolickich przeciwnych Prymasowi”, po czym uzyskano finansowe poparcie CIA i skorumpowano funkcjonariuszy MSW (rewelacje lektora skwitował wybuch śmiechu, nawet dla towarzyszy z KW tego było już za wiele). Tow. M. Woźniak I sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR i członek Biura Politycznego powiedział na spotkaniu z nauczycielami w Piasecznie, że ks. Popiełuszko został zamordowany tylko po to, żeby Kościół mógł wyciągnąć z tego korzyści. Informacja wewnętrzna z 24 listopada stwierdza, że „uprowadzenie Popiełuszki stanowi prowokację ze strony ekstremy z podziemia byłej Solidarności, która pragnie raz jeszcze doprowadzić do zakłócenia stabilizacji w kraju. W prowokację tę może być zamieszany kler, usiłujący zrobić z osoby Popiełuszki męczennika”. I sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR w Milanówku, Młynarski na spotkaniu z uczniami klas maturalnych Zespołu Szkół Zawodowych oświadczył, że ks. Jerzy Popiełuszko został zamordowany przez „szczętkowe organy byłej podziemnej Solidarności”; była Solidarność chciała w ten sposób doprowadzić do zamieszek w kraju — niewykluczona rewolucja (uczniowie zareagowali burzliwie: gradem inwektyw).

W ostatnim okresie wzmogło się też trwające od dłuższego czasu nękanie księży. Przypomnijmy przykłady z ostatnich miesięcy. Podczas tegorocznej pielgrzymki na Kalwarię Paclawską rozrzucono wśród pątników ulotki szkalujące bpa przemyskiego Ignacego Tokarczuka. Również podczas sierpniowej pielgrzymki na Jasną Górę kolportowano obrzydliwe paszkwile na bp. Tokarczuka, abp. Gulbinowicza i innych. „Nieprawomyślnych” księży nachodziła SB. Ks. Kołacza z parafii św. Józefa na Podgórzu w Krakowie usiłowano odwieść od zorganizowania duszpasterstwa rolników. Ks. Orzechowski, który w parafii św. Wawrzyńca we Wrocławiu odprawia cotygodniową mszę św. za Ojczyznę i więźniów politycznych, kilkakrotnie przesłuchiowano i straszono, że będzie odpowiadał za zakłócenia porządku publicznego. Ks. Weiznera z kościoła pw. Najświętszej Marii Panny w Sosnowcu ostrzegano przed „uprawianiem polityki z ambony” i żądano homilii do wglądu, a na mszę św. 16 września Komitet Miejski PZPR zorganizował grupy specjalne, które miały przerwać występ Haliny Mikołajskiej (zakładowym komitetem partyjnym nie udało się znaleźć żądanej ilości aktywistów, a ci, którzy przyszli, zostali zneutralizowani przez ks. Weiznera, który przywitał uprzejmie „przybyłych służbowo”). Wśród różnorodnych szykan można wymienić jeszcze: odebranie paszportu na pielgrzymkę do Rzymu ks. Michałowi Floriewiczowi z Leśnicy, gdy odmówił zlikwidowania utworzonego przez wiernych „kącika Solidarności”; wszczęcie postępowania przeciwko ks. Janowi Siemienskiemu z Gliwic za „działalność na szkodę państwa”; niezatwierdzenie mianowania na parafię w Głogowie ks. Edwarda Ryby przeniesionego z Gdyni, gdzie „głosił idee Solidarności”; wybicie szyb w mieszkaniu ks. Stanisława Czenczka, duszpasterza młodzieży Przemysła; zatrzymanie ks. Umińskiego z Sulejowa, wracającego z mszy w Kościele św. Stanisława Kostki. Kolportowane w listopadzie w zakładach pracy Tczewa ulotki głoszą, iż kolejnymi ofiarami zamachów będą ks. Jankowski oraz ks. Cieniewicz, proboszcz parafii Najświętszej Marii Panny, inicjator mszy za Ojczyznę. Ks. Henryk Jankowski otrzymał — jak poinformował 19 listopada — kolejne listy (jeden z nich podpisany przez OAS), których nadawcy grożą mu śmiercią.

Wszystkie te przykłady — a wiadomo, że tylko część tego typu informacji dociera do niezależnej prasy — każą się domyślać udziału SB również w napadzie na ks. kanonika Eugeniusza Kościółkę, proboszcza parafii Kazimierzówka koło Lublina, roboczo przewodniczącego Komitetu Budowy Świątyni Pokoju na Majdanku. Z początku rozpuszczano plotkę o napadzie rabunkowym, później na krótko zatrzymano duchownego kościoła ewangelicko-augsburskiego, próbując przedstawić napad jako element rozgrywek międzywyznaniowych. Podobny przebieg miał wcześniejszy o kilka tygodni zamach na ks. Ziomka z parafii Matczyn koło Lublina. Torturowano go — kłuto i przypalano — w ten sam sposób co ks. Kościółkę. W Lublinie zbierane były podpisy

pod petycją do biskupa Pylaka, by zajął się wyświetleniem sprawy napadów na księży.

Wstrząs wywołany śmiercią ks. Jerzego Popiełuszki dramatycznie uprzytomnił społeczeństwu, że żyjemy w państwie, gdzie morderstwa milicyjne są normalną praktyką. Starannie ukrywane, zwykle nie docierają do wiadomości publicznej, oprócz tych o podłożu politycznym, które stanowią — jak się wydaje — tylko niewielki procent. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy ujawniono cztery takie zbrodnie.

W nocy z 19/20 października br. nieznanymi sprawcami ciężko pobili Aleksandra Hacia, przewodniczącego „Solidarności” jednego z wydziałów Fabryki Samochodów Ciężarowych w Lublinie i porzucili nieprzytomnego w bramie domu przy ul. Królewskiej 11. Pogotowie przyjechało na telefoniczne wezwanie: „Mówi milicja, w bramie leży człowiek, na którym popełniono morderstwo”. Na miejscu jednak milicji nie było. Hać żył jeszcze dwa dni, z sekcji wynika, że otrzymał m.in. uderzenie w głowę, które zmiażdżyło mu potylicę. Jak w wielu takich przypadkach, nigdy nie będzie można z całą pewnością powiedzieć, że zginął z rąk MO, w Lublinie jednak panuje takie przekonanie.

Podczas przesłuchania w Dzielnicowym Urzędzie Spraw Wewnętrznych Łódź-Sródmieście 25 października pobito Andrzeja Gębosza, asystenta na Wydziale Ekonomii Uniwersytetu Łódzkiego. Następnego dnia zmarł, a orzeczenie lekarskie jako przyczynę zgonu podało obrażenia odniesione na skutek uderzeń podłużnym przedmiotem. Funkcjonariusze MO próbowali wywierać presję na świadków (pracowników hotelu asystenckiego i jego lokatorów), którym Gębosz przed śmiercią pokazywał ślady ciosów.

Na posterunku MO w Rzepinie 8 listopada pobity został Henryk Ławrynowicz. Zmarł tam następnego dnia. Rodzina przygotowując ciało do pogrzebu zauważyła liczne sine pręgi na całym ciele zmarłego. Wersja milicyjna głosi, że Ławrynowicza pobito przed przywiezieniem na komisariat, nie tłumaczy jednak, dlaczego umierający człowiek przebywał tam 10 godzin bez pomocy lekarskiej.

O niezwykłym wprost poczuciu bezkarności funkcjonariuszy świadczy morderstwo dokonane na rolniku Stanisławie Kulce ze wsi Oborzany (koło Dębna Lubuskiego) na oczach czwórki dzieci. 15 listopada ok. godz. 17-tej Kulka jechał szosą nieoświetlonym wozem konnym i gdy zauważył radiowóz, skręcił w boczną drogę, aby uniknąć kontroli. Z radiowozu wysiadł st. sierżant J. Żuryk i zatrzymał wóz konny. Nastąpiła ostra wymiana zdań, niewykluczone, że doszło do szamotaniny (podobno rolnik chwycił tańcuch spinający deski wozu). Milicjant wrócił do samochodu, wziął pistolet i oddał dwa strzały w nogi Stanisława Kulki i

trzeci strzał śmiertelny. W tydzień później organ PZPR *Ziemia Gorzowska* podał obowiązującą wersję wydarzeń: funkcjonariusz strzelał w obronie własnej, atakowany żelaznym prętem.

W listopadzie powstawały kolejno komitety przestrzegania praworządności: wrocławski Komitet Obrony Praw Człowieka, krakowski Komitet Obywatelski w Obronie Praworządności (7 listopada), warszawski Komitet Obywatelski Przeciw Przemocy (12 listopada), toruńskie Społeczne Stowarzyszenie Obrony Praw Człowieka (24 listopada), wreszcie szczeciński Regionalny Społeczny Obywatelski Komitet Obrony Praworządności Pomorza Zachodniego. Wszystkie one apelują do opinii społecznej o zgłaszanie informacji o przypadkach przemocy i prześladowania obywateli przez władze oraz o samoorganizowanie się dla udzielania pomocy ofiarom tych prześladowań. Deklaracje wszystkich tych komitetów zawierają nazwiska i adresy sygnatariuszy. Idea tworzenia ciał społecznych o jawnym składzie jest nawiązaniem do formuły działania KOR-u.

Na powstanie Komitetów Obywatelskich władze zareagowały próbami zastraszenia.

M.in. minister Urban na konferencji prasowej zagroził korespondentom zachodnim, że będą pociągani do odpowiedzialności karnej za udział w „nielegalnych” konferencjach prasowych.

W więzieniach przebywa nadal — stan na koniec listopada — ponad 40 więźniów politycznych. Są wśród nich tacy, których nie objęły już dwie kolejne amnestie, m.in. cztery osoby ze sprawy o zabójstwo sierżanta MO Karosa; trzech górników z Górnego Śląska — za wysadzenie makiety-godła ZSSR w kształcie sierpa i młota w Wodzisławiu Śląskim; czterech górników z Lubina — za detonowanie materiałów wybuchowych w proteście przeciwko zastrzeleniu ich kolegów podczas manifestacji 31 sierpnia 1982. Są też ci, których ostatnia amnestia, z lipca 1984 nie uznała za politycznych, w tym grupa z Huty Katowice, oskarżona o kradzież maszyn drukarskich komisji zakładowej „Solidarności” i przekazanie ich podziemnym strukturom. Proces tej szóstki rozpoczął się jeszcze w sierpniu br. i w listopadzie nie wyszedł jeszcze poza wyjaśnienia oskarżonych.

Najliczniejszą jednak kategorię stanowią aresztowani już po amnestii. I tak w październiku i listopadzie pod zarzutem drukowania bądź rozpowszechniania nielegalnych wydawnictw aresztowano:

— Józefa Śreniowskiego z Łodzi — członka KOR, redaktora przedsierpniowego *Robotnika*, który internowany 13 grudnia uciekł ze szpitala w sierpniu 1982 i do czasu aresztowania przebywał w podziemiu;

— Krzysztofa Gosa z Warszawy — pracownika MZK, u którego znaleziono sprzęt poligraficzny i niezależne wydawnictwa;

— Teresę Piechocką z Płocka — zatrzymaną na dworcu z literaturą i prasą niezależną;

— Grzegorza Sendka z Warszawy — właściciela lokalu, gdzie znaleziono offset i zatrzymanego u niego Tadeusza Wypycha (aresztowanego już po raz trzeci).

Sensacją było aresztowanie dwóch pracowników resortu gen. Kiszczaka: Adama Hadysza z Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Gdańsku i Piotra Siedlińskiego z Miejskiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Gdańsku pod zarzutem „udziału w związku przestępczym” oraz ujawnienia tajemnicy służbowej. Mass-media podały, że funkcjonariusze ci mieli związki z podziemną „Solidarnością”.

Wreszcie najbardziej bulwersująca z ostatnich aresztowań — sprawa Stanisława Śmigła z Torunia. Zgłosił się on jako świadek w sprawie dokonywanych w tym mieście porwań działaczy „Solidarności” żądając konfrontacji z funkcjonariuszem SB Kuczrowskim, który jego zdaniem mógł być jednym z napastników. Do konfrontacji nie doszło, za to w kilka dni później, 4 listopada, Śmigiel został aresztowany pod zarzutem posiadania części nadajnika radiowego.



Wobec skupienia zainteresowania i aktywności społeczeństwa na sprawie zamordowania ks. Popiełuszki mniejszy odźwięk budzi to, co dzieje się w podziemiu. I tak niemal bez echa pozostał komunikat TKK z 19 listopada, zajmujący stanowisko w tak istotnych kwestiach jak: minimalny koszt vegetacji i walka o podwyżki płac, obrona pracowników przed wprowadzeniem przedłużonego czasu pracy, wybory do samorządów pracowniczych, podtrzymywanie bojkotu nowych związków zawodowych, sprzeciw wobec przygotowań do zmiany ustawy o szkolnictwie wyższym, wreszcie przypomnienie sprawy więźniów politycznych.

Kilka dni później (22 listopada) Zbigniew Bujak w imieniu TKK złożył oświadczenie w związku z wystąpieniem Polski z Międzynarodowej Organizacji Pracy. Wyraził w nim uznanie dla stanowiska MOP i jej pryncypialności w obronie praw i swobód związkowych oraz potępił rząd polski za doprowadzenie do upadku autorytetu państwa na forum międzynarodowym. Tymczasowo Zarząd Regionu „Solidarności” Wielkopolski poinformował 21 listopada, że wobec wystąpienia PRL z MOP zwrócił się do TKK z wnioskiem o afiliowanie „Solidarności” przy Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych z siedzibą w Brukseli.

24 listopada odbyło się spotkanie Krajowej Komisji Koordynacyjnej Górnictwa „Solidarności” i Regionalnej Komisji Wykonawczej „Solidarności” regionu śląsko-dąbrowskiego z udziałem przedstawicieli zrzeszeń: dąbrowskiego, jaworznicko-mikołowskiego, katowickiego, ryńskiego i zabrzańskiego. Wydano wspólnie

oświadczenie, podpisane przez Tadeusza Jedyńka (RKW) i Rudolfa (KKG). Było to pierwsze po 13 grudnia spotkanie podziemnych struktur w tak reprezentatywnym składzie w Regionie jeszcze w czasach legalnego istnienia związku niezwykle trudnym pod względem organizacji i koordynowania działań (5 ośrodków kierowniczych).

13 listopada na spotkaniu podziemnych władz związkowych regionów bydgoskiego i toruńskiego — z udziałem Jana Rulewskiego i Antoniego Stawikowskiego (przewodniczących Zarządów Regionów) — ustalono kierunki współpracy i zasady reprezentacji na forum TKK przez wspólnego rzeczownika.

Ostatnio głośno było o zawieszeniu w prawach nauczyciela na poznańskim UAM prof. Leszka Nowaka. Krok ten — bezprawny — bowiem obowiązująca ustawa o szkolnictwie wyższym nie przewiduje w ogóle możliwości zawieszenia — potępiły niemal wszystkie kolegalne ciała poznańskiej Almae Matris, z której przecież minister Miśkiewicz się wywodzi. Prof. Zbigniew Kwieciński zaproponował nawet na posiedzeniu Rady Wydziału Nauk Społecznych 5 listopada, aby społeczność uniwersytetu zwróciła się do Sejmu z wnioskiem o odwołanie Miśkiewicza „za niepraworządność, łamanie Konstytucji, stosowanie projektu ustawy przed jej uchwaleniem przez Sejm, zorganizowanie prowokacji politycznej, złamanie elementarnych zasad moralnych i za kompromitację intelektualną polskiego rządu i polskiego świata nauki”. Przeciwno prof. Kwiecińskiemu prokurator wszczął postępowanie z art. 237 kk — o znieważenie organu publicznego.

Warto wspomnieć o jeszcze jednym posunięciu Ministerstwa zgodnym z duchem nowej ustawy: 21 listopada zakazano kategorycznie zatrudnienia na Uniwersytecie Łódzkim zwolnionego z amnestii wiceprzewodniczącego Zarządu Regionu „Solidarności”, Jerzego Kropiwnickiego. Rektor, choć poprzednio się wahał, uległ odgórnej presji. Podobnie, negatywną decyzję o przywróceniu do pracy Grzegorza Palki podjął rektor Politechniki Łódzkiej.

Generalnie jednak sytuacja w środowiskach akademickich, zwłaszcza w dużych ośrodkach, jest dla władz bardzo niekorzystna. Trudno tam znaleźć jakąś grupę, która popierałaby praktyki wymierzone w autonomię szkół wyższych. Świadczy o tym choćby stan organizacji społeczno-politycznych z listopada 1983. Oto dwa przykłady z Gdańska: na Politechnice spośród 3,5 tys. pracowników ok. 300 jest w partii, 200 w nowym Związku Nauczycielstwa Polskiego, a na ok. 6 tys. studentów do ZSP należy tylko 100, zaś do ZMS — 12; na Wydziale Matematyczno-Fizycznym Uniwersytetu (400 pracowników, 700 studentów) jest 20 członków PZPR, 6 członków ZNP, w ZSP figuruje 45 studentów, a ZSMP nie istnieje w ogóle.



W listopadzie znalazły epilog trzy ciągnące się już od kilku miesięcy sprawy sądowe, które skupiały uwagę opinii publicznej.

Pierwsza z nich — to sprawa trójki pracowników warszawskiego Pogotowia Ratunkowego, aresztowanych za rzekomy napad rabunkowy na pacjenta we wrześniu 1983. Wtedy to, przed procesem sprawców śmierci Grzegorza Przemyska, władze próbowały nadać pozory wiarygodności wersji o oburzających wyczynach personelu pogotowia. W lutym 1984 pokazywała ich TV, pełno też było w prasie artykułów o bezspornej winie oskarżonych. Proces lekarki Barbary Makowskiej, sanitariusza Zbigniewa Banasiaka i kierownicy Wojciecha Machalskiego rozpoczął się w marcu, jednak po trzech dniach został przerwany na blisko 8 miesięcy. Przez ten czas wnioski obrony o uchylenie aresztu były kilkakrotnie odrzucane, a dr Makowską bezskutecznie namawiano, by w zamian za objęcie jej amnestią przyznała się do winy. Wreszcie 16 listopada odbyła się rozprawa: prokurator żądał dla lekarki 6 lat więzienia i 8 lat pozbawienia prawa wykonywania zawodu. Po przeszło rocznym uwięzieniu 19 listopada zapadł wyrok uniewinniający wszystkich oskarżonych. Dodajmy, że prasa, tak wymowna na początku, nie zamieściła na ten temat żadnych komentarzy.

Grudzień 1984

W pierwszej połowie grudnia rozegrał się konflikt o krzyże we Włoszczowej. Z początku bardzo głośny, zdecydowanie poparty przez Episkopat, w efekcie zakończony został rezultatem nie ogłoszonym ani przez oficjalne źródła przekazu (choć informowały o jego przebiegu, a TV nadała nawet efektowny reportaż ze strajku), ani przez źródła kościelne. Sprawa zaczęła się latem, gdy korzystając z nieobecności uczniów w Zespole Szkół Zawodowych dyrekcja zdjęła krzyże w klasach. Uczniowie sami wykonali nowe, a samorząd zebrał podpisy pod petycją o zgodę na ich zawieszenie. Jej podpisania odmówił tylko jeden uczeń, światek Jehowy, który jednak oświadczył, że nic przeciwko temu nie ma. W sobotę 1 grudnia — mimo zakazu dyrektora szkoły — we wszystkich klasach krzyże uroczyście zawieszono.

W niedzielę już ich nie było, a w poniedziałek uczniowie zebrawali się na korytarzu i zażądali spotkania z wyższymi władzami. Po dwu godzinach do szkoły przyjechał kurator i wicewojewoda kielecki Nosek, który powoływał się m.in. na rzekomą opinię miejscowego proboszcza, że Kościołowi na krzyżach w szkole nie zależy. Pod wpływem gróźb i perswazji część uczniów wróciła do klas. Dyrektor obiecał oddać krzyże, jednak delegacji, która po nie przyszła, postawił warunek, że nie zostaną zawieszane. Na to młodzież nie chciała się zgodzić. Tymczasem do szkoły przybył proboszcz z dwoma prefektami i stanowczo zdementował wypowiedź dyrektora. Dowiedziawszy się, że ich oszukano, uczniowie zebrawali się ponownie na korytarzu, raz jeszcze żądając zawieszenia krzyży. Przed szkołą zgromadziła się duża grupa rodziców popierających stanowisko swych dzieci. Protestujący za-

decydowali, że nie opuszczą szkoły, dopóki władze nie spełnią ich postulatów i zawiadomili o tym dyrekcję. Dwaj księża prefekci, którzy przybyli późnym popołudniem z wyrazami poparcia biskupów kieleckich, na prośbę rodziców i młodzieży pozostali w szkole.

Rozpoczęło strajk ok. 500 uczniów — wszyscy, którzy byli owego poniedziałku w szkole. Po 10 dniach wskutek nacisków władz na rodziców pozostało ich niespełna 250. Spali na korytarzach (klasy dyrekcja zamknęła i zaplombowała), mieszkańcy Włoszczowej zaopatrywali ich w żywność, lekarze i pielęgniarki miejscowego szpitala podjęli się opieki medycznej. Na codzienne msze św. w szkole przychodzili ludzie z miasta oraz wielu uczniów, którzy wycofali się ze strajku.

Nie przyniosły rezultatów rozmowy z władzami, ani 8 grudnia w Ministerstwie Oświaty, ani 11 grudnia z wojewodą kieleckim. Mediacji podjęły się władze kościelne, nic jednak nie wiadomo o wynikach. O sprawę Włoszczowej upominali się: sekretarz Episkopatu abp Dąbrowski w liście do kierownika Urzędu d/s Wyznań, min. Łopatkki, biskupi kieleccy w „Słowie do wiernych” swojej diecezji wreszcie Konferencja Episkopatu Polski zebrana na Jasnej Górze.

Po dwóch tygodniach trwania strajku, w niedzielę 16 grudnia przybył do szkoły we Włoszczowej sufragan kielecki, bp Mieczysław Jaworski. Zaapelował o zakończenie protestu. Uczniowie zawiesili krzyże nad drzwiami zamkniętych klas i wraz z rodzicami i księżmi przeszli procesją przez miasto do kościoła, śpiewając i wnosząc krzyże.

Następnego dnia milicja zabrała z domu ubiegłorocznego absolwenta szkoły, Rafała Żelichowskiego, aktywnie wspomagającego strajk. Skazany został 19 grudnia na dwa miesiące aresztu, dziesięć innych osób dostało na kolegium grzywnę w wysokości 20 tys. zł.

Sprawa Włoszczowej była po Miętmem najgłośniejszym wydarzeniem tzw. wojny o krzyże, toczącej się nieprzerwanie od sierpnia 1980. Do opinii publicznej docierają tylko najbardziej dramatyczne konflikty, z reguły nie dowiaduje się ona o takich przypadkach, jak choćby ten z grudnia. W Domaniowie k. Wrocławia 16 grudnia na zebraniu mieszkańców zdecydowano, że krzyże zdjęte podczas letnich wakacji powinny wrócić do szkoły. Gdy rodzice udali się tam, nie wpuszczono ich do budynku, gdzie była już bezpieka. Polecono wyłonić delegację do rozmów. Jej członkowie jeszcze tego samego dnia zostali zatrzymani na 48 godzin. Równie napięta sytuacja panuje w pobliskich Wójciach. Wrocławskie pismo *Solidarność Walcząca*, które publikuje te informacje, wzywa uczniów: „Ryćcie krzyże na ścianach — nie zdejmą”.

W mieszkaniu prof. Edwarda Lipińskiego odbyła się 10 grudnia uroczystość wręczenia Adamowi Michnikowi doktoratu *hono-*

ris causa. Nowojorska New School for Social Research przyznała mu go w kwietniu 1984, gdy był jeszcze w więzieniu. Odebrał go wówczas w jego imieniu Czesław Miłosz. Rektor nowojorskiej uczelni, który przyjechał do Warszawy specjalnie na tę uroczystość, przypomniał piękną tradycję New School, która powstała w latach 30-tych jako uniwersytet na wychodźstwie, by mogli tam wykładać uczeni niemieccy szukający schronienia przed hitleryzmem (m.in. Hannah Arendt).

Adam Michnik powiedział, że dzieli swoje zaszczytne wyróżnienie z przyjaciółmi, w pierwszym rządzie z Jackiem Kuroniem, „głównym architektem tego sposobu walki o wolność”, którego wyartykułowanie i opisanie przyniosło mu doktorat *honoris causa*. Wystąpienie swoje zadedykował również działającym dziś w podziemiu Zbyszkowi Bujakowi, Konradowi Bielińskiemu i Jankowi Lityńskiemu.

Kilkunastu zagranicznych dziennikarzy filmowało uroczystość, na którą Adam Michnik zaprosił liczne grono swoich przyjaciół, wielu z przedsierpniowej opozycji. Przed domem prof. Lipińskiego, gdzie odbywały się wszystkie zebrania KOR-u, stał jak przed laty samochód z cywilnymi funkcjonariuszami SB.

Po spotkaniu Lecha Wałęsy z Prymasem w końcu listopada odżyły pogłoski o planach stworzenia chrześcijańskich związków zawodowych. Mówi się, że najgorętszym ich zwolennikiem jest sekretarz biura prasowego Episkopatu, ks. A. Orszulik, a wśród biskupów — ordynariusz katowicki, bp H. Bednorz. Stąd wizyta ks. Orszulika u Lecha Wałęsy, i to przed Konferencją Episkopatu, musiała dawać do myślenia. Tymczasem Wałęsa w *Tygodniku Mazowsze* nr 110 z 13 grudnia 1984 jak najbardziej jednoznacznie zdystansował się od tej koncepcji. Na pytanie redakcji, czy wstąpiłby do takich związków, przewodniczący NSZZ „Solidarność” odpowiada: „Jeśli są chętni, niech robią. Ja zostanę przy swoim. Inaczej bym nie mógł postąpić. Ja przysięgałem na ‘Solidarność’”.

Jak co roku przed grudniowymi rocznicami Lech Wałęsa ogłosił wystąpienie skierowane do członków Związku. W „Liście do ludzi pracy” mówi, czym jest dziś „Solidarność”: „(...) Przede wszystkim jest wielkim narodowym ruchem na rzecz podmiotowości i poszanowania godności społeczeństwa i każdego człowieka w Polsce. Jest zbiorem ideałów, które ujawniły się w dniach naszego sierpniowego strajku. Jednym z najważniejszych było i jest dążenie do wyzwolenia polskiej pracy, do posiadania własnej reprezentacji związkowej. Dążenie to zrealizowało się w NSZZ „Solidarność”. Pomimo jego formalnej delegalizacji jesteśmy mu wierni.

Wiem także, że w obecnych trudnych warunkach, wymagających różnorodnych działań społecznych, nie ma jednej drogi dla wszystkich. Zgodni musimy być co do podstawowych wartości ruchu, tego co określiłem jako ‘duch sierpnia’. Za to wybór drogi i środków walki o te ideały powinien być kwestią, którą każdy powinien rozstrzygnąć sam zgodnie z własnym sumieniem i oceną sytuacji. Potrzebna jest wielość społecznych inicjatyw. Zrobić można wiele, trzeba się tylko wokół siebie rozejrzeć.

To co powinno się stać przedmiotem powszechnej troski, to z czego nie możemy w żadnym przypadku zrezygnować, to prawo do pluralizmu związkowego. Trzeba nam nowej, jawnej ogólnopolskiej akcji na rzecz związkowego pluralizmu. Wzywam do jej podjęcia działaczy „Solidarności”. Jest to także program minimum dla każdego, kto czuje się członkiem „Solidarności”. Żaden z nas nie może uczestniczyć w kłamstwie, pomagać w zniewalaniu innych i siebie samego. (...)”.

Tegoroczne obchody grudniowych rocznic zaplanowane zostały niemal wszędzie na 16 grudnia. 13 grudnia zaledwie się zaczął. Z obchodów bardziej manifestacyjnych wiemy tylko o Stalowej Woli, gdzie po I zmianie pracownicy Huty niosąc krzyże i kontury Polski otoczone cierniową koroną, śpiewając pieśni patriotyczne i religijne przeszli kilkutysięcznym pochodem do nowowybudowanego kościoła.

We wszystkich większych miastach uroczyste msze św. zainicjowane przez „Solidarność” z udziałem wielotysięcznych tłumów odprawiane były 16 grudnia, w rocznicę pacyfikacji kopalni „Wujek” i tragicznych wydarzeń na Wybrzeżu w 1970 roku. Pod krzyżem przy KWK „Wujek” zebrały się 16 grudnia o godz. 14-tej rodziny pomordowanych górników, przybyli też Anna Walentynowicz i Kazimierz Światoń. Wieczorem, po okolicznościowej mszy św. jej uczestnicy składali tam kwiaty i wieńce.

W Nowej Hucie głównym punktem obchodów zapowiedzianych przez Tajną Komisję Robotniczą Hutników była msza w bińczyckiej Arce, po której ok. 2-tysięczny pochód ze świecami i kwiatami przeszedł do znajdującego się w pobliżu miejsca śmierci Bogdana Włosika. Podczas godzinnego wiecu rozrzucono ulotki i skandowano hasła „Solidarności”.

We Wrocławiu po mszy św., zamówionej przez zakłady pracy, grupy manifestantów — zgodnie z apelem RKS-u — ruszyły w kierunku cmentarza przy Grabiszynskiej do grobu Kazimierza Michalczyka. Drogę blokował kordon milicji informując, że cmentarz jest zamknięty z powodu prac porządkowych.

W Warszawie na mszy św. środowiska byłych internowanych i więźniów politycznych w kościele seminaryjnym składały śluby trzeźwości. Przybyło wielu działaczy „Solidarności”, m.in. Seweryn Jaworski i Zbigniew Janas. Po mszy św. ponad 1.000 osób ze zniczami i kwiatami przeszło do grobu ks. Popiełuszki.

Wielką manifestacją „Solidarności” stało się w Łodzi wmurowanie w kościele oo. Jezuitów tablicy ku czci ks. Popiełuszki podczas mszy św. z Ojczyznę. Stały się na nią delegacje po-

nad 150 zakładów pracy regionu, w tym z Bełchatowa i Piotrkowa, wiele z transparentami „Solidarność”. Obecni byli ojciec i siostra ks. Jerzego. Przyjechali z Warszawy księża z parafii św. Stanisława Kostki, przedstawiciele Huty „Warszawa” i duszpasterstwa służby zdrowia, przybyli także górnicy z Lubina.

W kościele św. Brygidy w Gdańsku w przeddzień (15 grudnia) odbył się wieczór poezji patriotycznej. Na mszę 16 grudnia przybyły delegacje z całej Polski, m.in. z Ursusa, Nowej Huty, Szczecina, Wałbrzycha, Radomia. Obecni byli liczni działacze „Solidarność”, wśród nich Lech Wałęsa, Andrzej Gwiazda, Grzegorz Palka, Józef Piniór, Karol Modzelewski, Stanisław Wądołowski, Henryk Wujec. Szczególnie serdecznie i gorąco oklaskiwano Bogdana Lisa, który poprzedniego dnia wypuszczony został z więzienia. W tłumie widać było liczne transparenty „Solidarność”. Po mszy 10-tysięczny pochód w milczeniu — zgodnie z apelem Lecha Wałęsy — ruszył pod Pomnik Poległych Stoczniovców. Drogę do Pomnika blokowały samochody milicyjne i trzy szpalery ZOMO. Część manifestantów przeszła przez dwa pierwsze, dalej zostali zaatakowani pałkami i gazami. Ludzie zaczęli skandować „gestapo”. Przed trzecim kordonem Lech Wałęsa zaapelował, żeby rzucać kwiaty w stronę Pomnika. Wieńce złożono tam, dokąd udało się dojść. Tłum bocznymi uliczkami zaczął się wycofywać w stronę kościoła św. Brygidy. Milicjanci znów zaatakowali go pałkami, kilku wtargnęło nawet na teren kościoła. Starcia na ulicach trwały jeszcze dwie godziny, zatrzymano kilkanaście osób.

Spośród przywódców „Solidarność”, którzy szli na czele pochodu z wieńcami, funkcjonariusze wytuskali Andrzeja Gwiadzę i Grzegorza Palkę. Tego ostatniego wypuszczono, natomiast Gwiazda stanął 17 grudnia przed Kolegium d/s Wykroczeń i został skazany na trzy miesiące bezwzględnego aresztu. Rozprawę zorganizowano wieczorem w Urzędzie Miejskim, podczas gdy obrońcy i świadkowie obrony przez wiele godzin wyczekiwali przed lokalem kolegium. Świadcami byli więc wyłącznie milicjanci, którzy zeznali, że Gwiazda maszerując w pierwszych szeregach niósł transparent o wrogiej treści (z akt wiadomo, że chodziło o napis „Bóg, Honor, Ojczyzna, Solidarność”) i że od czoła pochodu rzucano kamieniami w milicjantów blokujących drogę. W rzeczywistości transparenty niesiono w dalszych szeregach i nikt w tym czasie nie rzucał kamieniami. Wszystkie te fakty wskazują, że Andrzej Gwiazda był — po Frasyniuku i Piniórze — kolejnym kandydatem do trzymiesięcznego uwięzienia i że prędzej czy później zatrzymano by go pod jakimkolwiek pretekstem. Tego samego dnia kolegium skazało też na 3 miesiące aresztu za „chuligaństwo” Macieja Nakręckiego, pracownika portu handlowego i Wacława Sułka ze Stoczni Gdańskiej.

Przez wigilię i całe święta w gdańskim kościele św. Stanisława Kostki głodowało jedenaście osób: J. Duda-Gwiazda, A. Walentyłowicz, W. Kwiatkowska, K. Pieńkowska, J. Wojciechowicz,

M. Balicki, A. Grabarczyk, A. Kołodziej, L. Switek, E. Toczek i M. Wojciechowicz. Protestowali oni w ten sposób przeciwko aresztowaniu Andrzeja Gwiadzy, wyrażając jednocześnie swą solidarność ze wszystkimi więźniami politycznymi przebywającymi w czasie Bożego Narodzenia za kratami.

Jacek Kuroń i Adam Michnik w liście otwartym w obronie Andrzeja Gwiadzy stwierdzili, że instytucja więźniów politycznych niewygodna dla ekipy Jaruzelskiego została zastąpiona przez orzekanie kilkumiesięcznych wyroków pozasądowych oraz praktykę nieznaną sprawców.

Jak zwykle przed rocznicami zaktywizowało się radio „Solidarność”. Nadało ono audycje m.in. w Nowej Hucie na fonii II programu TV oraz w Warszawie i miejscowościach podwarszawskich na UKF. Grupy Oporu RKW Mazowsze „Solidarni” zorganizowały 12 grudnia o godz. 16-tej audycje uliczną w przejściu podziemnym przy skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej. Urządzenia zainstalowano w okratowanym pomieszczeniu, które zamknięto przyniesioną kłódką. Cywilnym esbekom dopiero na 3 minuty przed końcem półgodzinnej emisji udało się rozbić drzwi i zniszczyć sprzęt. Były też audycje świąteczne i noworoczne. 21 grudnia TKZ w Wytwórni Filmów Dokumentalnych nadała kilkuminutową audycję. Aż trzy razy pod koniec grudnia (25, 30 i 31 grudnia) emitowało swoje audycje radio „Solidarność” w Siedlcach, w Sylwestra na 1,5 minuty przerywając noworoczne przemówienie H. Jabłońskiego życzeniami od miejscowego KOS-a.

W dniach grudniowych rocznic i w czasie świąt nasiliło się pielgrzymowanie do grobu ks. Jerzego. 23 grudnia przybyła do św. Stanisława Kostki delegacja Podhalan, by przekazać pierwszą partię ciepłej odzieży dla służb porządkowych czuwających przy grobie (7 kożuchów, 15 swetrów, czapki, rękawice, skarpety, buty filcowe). Tysiące ludzi obejrzało wstrząsający żłobek, zaprojektowany przez Jerzego Kalinę: dzieciątko na sianie w bagażniku fiata. Na mszę za Ojczyznę 30 grudnia mimo silnych mrozów stawiło się ponad 20 tys. osób.

Oficjalnej propagandzie dzielnie sekunduja towarzysze, którzy na partyjnych naradach wydają instrukcje i przekazują wytyczne na temat polityki państwa wobec Kościoła i kleru. I tak w grudniu I sekretarz Komitetu Łódzkiego PZPR, członek Biura Politycznego M. Czechowicz przedstawił sekretarzom POP-ów, jakie zadania stoją przed aktywnym partyjnym: kolportować w dalszym ciągu informacje o broni znalezionej rzekomo w mieszkaniu ks. Popiełuszki przez SB; wykazywać, że morderstwo wiązało się z jego działalnością polityczną, a nie duszpasterską; na bieżąco analizować kazania księży i stosować od ręki możliwe kary, np. kolegia; rozwinąć akcję pisania listów „wiernych” do

biskupów przeciwko uprawianiu przez księży polityki w kościołach; weryfikować zezwolenia na budowę kościołów — niech samorządy mieszkańców wybierają, co ma stać na ich terenie: żłobek czy kościół. W podobnym tonie prof. Grzelak, członek KC PZPR relacjonował łódzkim partyjnym lektorom obrady XVII Plenum KC: żadnych ustępstw wobec Kościoła, jest gotowa lista 57 księży, którzy „podburzają z ambon” i już można by „wszczać postępowanie” oraz „podjąć rygorystyczne środki”; jeśli się tego nie robi, to tylko dlatego, że akurat teraz procesy te mogłyby wywołać zbyt wiele następstw.

Tymczasem ciągle stosuje się praktykę „nieznanych sprawców”. 5 grudnia w godzinach wieczornych dwóch osobników, którzy nie ukrywali, że wiedzą, z kim mają do czynienia, zaatakowało ks. Tadeusza Zasępe, pracownika rektoratu KUL. Towarzysząca księdzu dwuosobowa obstawa stanęła w jego obronie i zaczęła wzywać pomocy. Napastnicy zbiegli.

W pierwszy dzień po świętach Bożego Narodzenia przed Sądem Wojewódzkim w Toruniu rozpoczął się proces morderców ks. Jerzego Popiełuszki. Władze zarządziły nadzwyczajne środki ostrożności: wchodzących na salę sądową czterokrotnie poddaje się skrupulatnemu sprawdzeniu, w tym za pomocą aparatu do wykrywania metali i rewizji osobistej (przy wejściu do budynku, na parterze, na półpiętrze i przed kratą odgradzającą korytarz, który prowadzi do sali rozpraw). W samej sali, największej w toruńskim sądzie, jest nieznośnie duszno i gorąco: bez przerwy świecą reflektory ekipy polskiej telewizji, transmitującej całość procesu do Urzędu Wojewódzkiego w Toruniu i do Warszawy; nie można wietrzyć, gdyż w oknach zainstalowano specjalne szyby, kuloodporne i uniemożliwiające filmowanie z zewnątrz. W ławkach dla publiczności tłok, z trudem można zmienić pozycję. Przez cały czas na sali czuwa brygada antyterrorystyczna z bronią palną i bagnietami. Specjalny tunel łączy gmach sądu z więzieniem, tamtędy doprowadza się oskarżonych. Na podwórzu stoi armatka wodna. Wyloty okolicznych ulic blokują bariery i kordony milicji. Mimo to codziennie kilkaset osób gromadzi się przy barierkach, śpiewają i modlą się. W kościele naprzeciwko sądu wierni zbudowali ołtarz ku czci księdza Popiełuszki i składają pod nim kwiaty.

Na salę wpuszczono ok. 90 osób. Są to w większości funkcjonariusze MSW w cywilu, niektóre twarze znane z procesu zabójców Grzegorza Przemyka. Ponadto 5 księży reprezentujących Kościół, dwóch sprawozdawców prasy katolickiej, kilkunastu dziennikarzy reżimowych, 8 korespondentów z krajów bloku plus przedstawiciele agencji TASS i Sinhua. Władze zezwoliły na obserwowanie procesu tylko 6 korespondentom zachodnim.

Przewodniczącym składu sędziowskiego pierwotnie miał być

sędzia Jurand Maciejewski, który prowadził przesłuchania, bardzo dobrze orientuje się w aktach, świetnie zna całą sprawę. Na procesie występuje on jako sędzia sprawozdawca. Ma opinie prawnika w zasadzie uczciwego, choć ulegającego niekiedy presji władz. Tuż przed procesem okazało się, że zamiast sędziego Maciejewskiego przewodniczyć będzie prezes Sądu Wojewódzkiego, Artur Kujawa, znany ze skazania na 3,5 roku więzienia studentów zatrzymanych na manifestacji. Trzecim sędzią, dodatkowym, jest Wojciech Dąbkiewicz, I sekretarz POP. Oskarżają Zygmunt Kołacki z Torunia, były prokurator wojskowy, i Leszek Pietrański z Prokuratury Generalnej. Oskarżonych bronią: Piotrowski — adw. Janusz Ilasz z Włocławka (były prokurator), Chmielewski — adw. Zygmunt Pubanc z Chełmna (również b. prokurator), później obrońca wojskowy, wstawił się tym, że na posiedzeniu Naczelnej Rady Adwokackiej zgłosił pretensję, że adwokatura zbyt późno zaczęła współpracę z PRON-em), Pękał — adw. Eugeniusz Graczyk z Grudziądza, Pietruszkę — adw. Barbara Marczyk z Torunia (była przewodnicząca wojewódzkiej komisji kontroli partyjnej, przewodnicząca toruńskiej Ligi Kobiet i Koła Rodzin Wojskowych). Z wszystkimi obrońcami milicja przeprowadziła wielogodzinne rozmowy wstępne. Wszystkim stworzono bezprecedensowe ułatwienia, np. przywieziono do domu 16 tomów akt odbitych na ksero.

Jako oskarżycieli posiłkowych sąd dopuścił matkę ks. Jerzego Popiełuszki, Mariannę i jej pełnomocników, mec.mec. Jana Olszewskiego i Andrzeja Grabińskiego z Warszawy, a także Józefa Popiełuszkę, brata zamordowanego i Waldemara Chrostowskiego oraz ich pełnomocników mec.mec. Edwarda Wende i Krzysztofa Piesiewicza z Warszawy.

Trzej bezpośredni sprawcy są młodzi, w okolicach trzydziestki. Płk Pietruszka — jedyny ujawniony spośród inspiratorów i protektorów akcji przeciwko ks. Popiełuszcze — jest w średnim wieku i ma za sobą ponad 20 lat pracy w SB. Wszyscy mają opinię wzorowych pracowników, są posiadaczami odznaczeń resortowych i krzyży zasługi: Piotrowski — srebrnego, Chmielewski i Pękała — brązowych, Pietruszka — złotego i srebrnego oraz Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski.

Rzuca się w oczy olbrzymia różnica w zachowaniu oskarżonych, widoczna nawet w migawkowych sprawozdaniach telewizyjnych. G. Piotrowski i A. Pietruszka są spokojni i opanowani, Pękała — bardzo zdenerwowany. Podczas jego zeznań Piotrowski chwilami z trudem hamuje śmiech. W. Chmielewski sprawia wrażenie dotkniętego chorobą nerwową — twarz nieustannie zniekształca mu tik.

W tym bezprecedensowym w państwach obozu procesie zdumiewać musi nie tylko fakt, że w ogóle się odbywa, i to — przy wszystkich ograniczeniach — jawnie. Zdumiewający jest również tryb sprawozdawania wydarzeń z sali sądowej przez środki masowego przekazu. Relacje prasowe są obszernie i szczegó-

łowe, a przede wszystkim dość rzetelne, zwłaszcza w części dotyczącej bezpośrednio samego porwania i zabójstwa księdza. Istotne luki mają natomiast w tych fragmentach, które obejmują funkcjonowanie resortu spraw wewnętrznych. W gazetach codziennych publikowane są własne sprawozdania, różniące się znacznie między sobą, a nie — jak to zwykle bywa — jedno-brzmiający oficjalny tekst PAP. W dzienniku telewizyjnym codziennie przez kilka minut oglądać można ławę oskarżonych, sędziów i publiczność. Zaś prawdziwym ewenementem są nagrania z procesu nadawane każdego wieczoru przez ok. pół godziny w I programie Polskiego Radia. Audycje te, zresztą oddające autentyczną atmosferę zeznań poszczególnych osób, mają ogromną ilość słuchaczy.

Kolejny wyrok skazujący za odmowę przysięgi wojskowej wydał 17 grudnia sąd w Koszalinie: na 2,5 roku więzienia skazany został Marek Adamkiewicz, absolwent szczecińskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, odbywający roczną służbę w jednostce budowlanej w Jerocinie. Przed Sierpniem był inicjatorem i rzecznikiem Studenckiego Komitetu Solidarności we Wrocławiu, później działaczem NZS, po 13 grudnia internowany.

W połowie grudnia Władysław Frasyniuk ogłosił „List otwarty do członków i sympatyków NSZZ 'Solidarność'”, w którym formułuje cele i kierunki działania Związku w obecnej sytuacji. Na tle dość skromnego dorobku myśli programowej „Solidarności” po 13 grudnia 1981, a zarazem powszechnego zgłaszania potrzeby istnienia dokumentów o takim charakterze — jest to głos o dużej wadze. Cenne jest tu zwłaszcza ujęcie zarówno celów długofalowych, wymagających wieloletniej pracy, jak i aktualnych, doraźnych zadań ruchu.

Wobec nadrzędnego celu, jakim jest przywrócenie pluralizmu związkowego i warunków normalnego działania „Solidarności” — pisze Frasyniuk — „konieczne jest uaktywnienie wszelkich związkowych struktur. Winny one bronić interesów pracowników i obywatelskich, od zakładowych począwszy (kontrola gospodarności, rozdział funduszu socjalnego, warunki pracy i płacy, represyjne zwolnienia z pracy) po ogólnokrajowe, jak demokryzacja instytucji życia publicznego (Sejm, organizacje polityczne, sądownictwo) i uspołecznienie instytucji gospodarczych”. Realizować je już dziś można podejmując działania jawne w następujących płaszczyznach: samorząd pracowniczy, spółdzielczość, samokształcenie, walka o prawo wyborcze.

Samorząd pracowniczy jest — stwierdza Frasyniuk — główną funkcją związkową. Dlatego osoby zdecydowane egzekwować uprawnienia samorządu winny spotykać się z po-

parciem „Solidarności” i korzystać z pomocy związkowych ekspertów. „O sukcesie (...) decydować więc będzie osobista odwaga, związkowe poparcie, kompetentna konsultacja”. A w przypadku gdy „sprzymierzonym siłom partyjno-administracyjnym” uda się skutecznie torpedować działania samorządu, pozostaje zawsze możliwość manifestacyjnej rezygnacji z podaniem powodów do publicznej wiadomości.

Spółdzielczość — w tej dziedzinie obowiązujące ustawodawstwo umożliwia przywrócenie pełnej niezależności. „Odpowiedzialność” spółdzielczości, jak mówi Frasyniuk, wymagałoby jednak przełamania bierności milionowych rzesz członków, wprowadzenia do rad nadzorczych i zebrań przedstawicieli ludzi zdolnych korzystać z przysługujących uprawnień. Dotyczy to nie tylko wielkich spółdzielni, takich jak WSS „Społem” (3 mln członków) czy „Samopomoc Chłopska” (4,5 mln), ale też rzemieślniczych spółdzielni zaopatrzenia i zbytu, spółdzielczości wytwórczej, a przede wszystkim mieszkaniowej.

Samokształcenie — może się odbywać nie tylko poprzez lektury niezależnych wydawnictw czy grupy samokształceniowe i wszechnice, ale również wykłady prowadzone przez towarzystwa naukowe czy w parafiach. Niezbędną koordynację, zarówno organizacyjną, jak programową winny zapewniać środowiska twórcze i naukowe.

Walka o prawo wyborcze polegać musi zarówno na bojkocie, jak i żądaniu zmiany obecnej ordynacji wyborczej, sprzecznej z konstytucyjną gwarancją demokratycznych wyborów.

„Walka o cele długofalowe — czytamy w 'Liście otwartym' Frasyniuka — przybliżyła czas zrealizowania idei samorządowego społeczeństwa, bez którego niemożliwe jest istnienie samorządnych związków zawodowych. Obok tego pojawia się potrzeba walki o doraźne cele cząstkowe. W chwili obecnej są to:

— urealnienie minimum socjalnego. Już wkrótce czekają nas nowe podwyżki, praktycznie nierekompensowane wzrostem płac realnych [...]. Obowiązkiem tych, którzy z racji posiadanej wiedzy bądź pełnionej funkcji dysponują danymi określającymi faktyczne koszty utrzymania, jest podawanie tych danych do wiadomości publicznej. Obowiązkiem związkowców jest domaganie się, by minimum socjalne zostało określone na poziomie owych kosztów oraz by dochód żadnej z pracowniczych rodzin nie znajdował się poniżej tego poziomu”;

— zachowanie wolnych sobót. Jest to „walka z marnotrawieniem wyników naszej pracy”. Niemoralnie wysokie stawki za pracę w soboty oznaczają bowiem, że „pracodawca płaci niewiele za pracę, a o wiele więcej za uległość [...] że stać go na uczciwą płacę”. Dlatego nie wolno godzić się na odbieranie pracownikom wolnych sobót ani na przedłużanie czasu pracy;

— respektowanie przez władze prawa do strajku. „Wybuch strajku, a nawet groźba takiego wybuchu wielokrotnie już umożli-

liwiły pozytywne, w myśl żądań pracowniczych, rozstrzygnięcie lokalnego konfliktu". Nie wolno więc rezygnować z tej formy walki, pamiętając jednak, że „złe przygotowany strajk to strajk z reguły przegrany”;

— obrona przed represyjnym zwalnianiem z pracy. Brak przeciwdziałania z naszej strony — stwierdza Frasyński — umożliwia władzom tak szerokie stosowanie tego środka. Bronić zwalnianych winien więc nie tylko Związek, ale i samorząd oraz ogólne zebranie pracowników. Konieczne jest też usprawnienie opieki nad wyrzuconymi z pracy i ich rodzinami, a oni z kolei „powinni rewanżować się zwiększeniem swej aktywności społecznej. Władza musi mieć świadomość, że wyrzucając z pracy zwiększa szeregi swych najbardziej aktywnych przeciwników”;

— ochrona przed policyjnym gwałtem. Jest to nie tylko ujawnianie i dokumentowanie aktów bezprawia, ale również korzystanie z drogi sądowej dla ścigania sprawców i informowanie o tym opinii publicznej;

— respektowanie przez władze prawa do pokojowych wystąpień. Nie powinno się rezygnować z manifestacji, po 13 grudnia stały się one środkiem wyrażania przez społeczeństwo swego stanowiska. Nie należy ich jednak nadużywać, gdyż wyjście na ulicę bywa dogodnym pretekstem dla policyjnych akcji. Inną formą zbiorowego działania są petycje i rezolucje, które — choć nie wywołują natychmiastowego skutku — stanowią publiczne, a zarazem formalne ujawnienie problemu.

„Bez związkowego pluralizmu, bez samorządowego społeczeństwa nie będziemy w stanie już wkrótce myśleć nie tylko o lepszym, ale o jakimkolwiek jutrze’ — kończy Frasyński swój „List otwarty”, datowany 13 grudnia 1984.

Koniec roku skłania z jednej strony do przeprowadzenia bilansu, z drugiej zaś — do prób przewidywania najbliższej przyszłości. Z perspektywy widać w minionym roku trzy węzłowe momenty, a każdy z nich, co wiemy już dziś, będzie miał swoje doniosłe skutki. Były to wybory do rad narodowych, lipcowa amnestia, wreszcie męczeńska śmierć księdza Popiełuszki.

Dopiero patrząc wstecz można ocenić, jak wielkim sukcesem „Solidarności” był bojkot wyborów. Liczenie wyników i ujawnianie fałszerstw przeprowadzone było na tak szeroką skalę, że dla całego społeczeństwa stało się lekcją czynnego zaangażowania w kontrolowanie poczynań władzy. Była to też niejako próba generalna przed zapowiadany na sierpień 1985 wyborami do Sejmu PRL. Wydaje się, że ruch „Solidarności” stać na to, by przygotować akcję społecznej kontroli o znacznie szerszym zasięgu, tak by objęła nie tylko wielkie miasta, ale nawet wieś. Można oczekiwać, że bojkot wyborów do Sejmu będzie większy, choćby dlatego, że ludzie przekonali się, iż przy jego masowości

władza nie jest w stanie represjonować tych, co nie poszli do urn. Ale również dlatego, że formuła bojkotu sprawdziła się jako najlepsza. I wydaje się, że nic tu nie zmienią pomysły władzy o wprowadzeniu do Sejmu niewielkiej liczby niezależnych posłów katolickich. Ten plan ma na celu wyraźnie storpedowanie bojkotu i tak też zapewne zostanie odczytany przez społeczeństwo. Mówi się zresztą, że władza dotychczas nie skompletowała listy, że wiele osób cieszących się autorytetem odmówiło kandydowania.

Drugi węzłowy punkt — amnestię wobec więźniów politycznych — należy również uznać za wielki sukces ruchu. Nie spełniły się jednak wiązane z nią nadzieje, że amnestionowani przywódcy „Solidarności” wpłyną znacząco na ożywienie myśli politycznej i programów działania. Natomiast zwolnieni działacze zaznaczają swą obecność w życiu publicznym, co jest niewątpliwie krokiem w kierunku przebiccia się na jawność. Warto jednak stale przypominać, że lipcowa amnestia nie rozwiązała problemu i że wkraczamy w nowy rok z kilkudziesięcioma więźniami sumienia (w grudniu znowu aresztowano kilka osób, m.in. trzy w Poznaniu, dwie w Pruszkowie pod Warszawą). O ich uwolnienie, o wprowadzenie statusu więźnia politycznego nadal trzeba będzie prowadzić walkę. A zmobilizować do niej społeczeństwo trudniej choćby dlatego, że poza Andrzejem Gwiazdą są to wszystko osoby szerzej nieznanne.

Wreszcie szok spowodowany zabójstwem księdza Jerzego Popiełuszki zrodził potrzebę otwartego manifestowania własnej postawy, zjednoczył społeczeństwo wokół głoszonych przez Niego prawd. W ewangelicznym przesłaniu „Zło dobrem zwyciężaj”, które tak często przypominał ks. Jerzy, ma swe korzenie wrocławska inicjatywa *non violence*. W grudniu kilka osób (Jan Anweiler, Andrzej Falkiewicz, Stanisław Miękiś, Marian Suski, o. Ludwik Wiśniewski, Zenon Wójcik) zainicjowało podpisywanie apelu: „... Świadom, że zło rodzi zło, a przemoc rodzi przemoc, świadom, że bierność wobec fałszu, niesprawiedliwości i gwałtu jest popieraniem zła, kierowany nakazem sumienia postanawiam podjąć działanie, którego celem jest społeczeństwo bez przemocy, społeczeństwo, w którym godność ludzka i sprawiedliwość będą uznawane”. Pod koniec grudnia pod deklaracją widniało już 3 tysiące podpisów, a akcja ich zbierania trwa nadal. Sygnatariusze zobowiązują się m.in. do odmowy współpracy z instytucjami tworzącymi niesprawiedliwość, do udzielania poparcia instytucjom, „poprzez które społeczeństwo samo bierze odpowiedzialność za swój los”, do udziału w działaniach na rzecz sprawiedliwości „prowadzonych bez stosowania przemocy w mowie i czynach”.

Dziś, w przeszło dwa miesiące od tragicznych wydarzeń, jakże prawdziwie brzmią słowa wygłoszone nad trumną zamordowanego kapłana „o ziarnie, które wyda plon obfity”, o „Solidarności, która żyć będzie, bo ks. Jerzy oddał za nią życie”.

Należy wreszcie wyciągnąć wnioski

Polska listopada 1984 roku to Polska zabójstwa ks. Popiełuszki. Podano oficjalnie do wiadomości nazwiska i policyjne stopnie sprawców, odbył się bez przeszkód pogrzeb-manifestacja, trwa nieustająca pielgrzymka do grobu kapłana-męczennika; wszyscy wzywali do spokoju.

Na początek warto zacytować z podziemnego pisma KOS (nr 63 z 5 listopada) opinię jednego z liczących się publicystów, Dawida Warszawskiego: „Mimo licznych apeli i ulotek, często niewiadomej proveniencji, wzywających do strajku — nawoływali (mowa o TKK — przyp. S.D.) do zachowania spokoju i nieulegania prowokacji. Postawa ta — postawa bierności — acz rozpaczliwie sprzeczna tak ze społecznymi oczekiwaniami jak i obowiązkami, jakie Związek dotychczas przyjmował — wydaje mi się jedynie słuszną. Zarazem jednak cena, jaką zapłacimy, będzie wysoka. Chodzi po pierwsze o cenę moralną — ks. Popiełuszko zginął za nas — a my pozostaliśmy bierni, zaprzeczając tym samym samej nazwie Związku. Wysoka będzie także cena polityczna: po raz pierwszy Solidarność zaczyna się upodabniać do swego obrazu lansowanego przez reżimową propagandę — obrazu bezsilnego reliktu przeszłości”.

W innym miejscu Warszawski pisze: „Wyda się rzeczą oczywistą, że Związek nie jest w chwili obecnej i przez jakiś czas jeszcze nie będzie ani organizacyjnie, ani merytorycznie przygotowany do aktywnego włączenia się do walk politycznych. Z przetrzebioną kadrą, zdezorientowanym kierownictwem, pozbawiony przekonującego programu taktycznego nie mógłby odegrać w nich samodzielnej roli”.

Nie można odmówić autorowi trzeźwości sądu: to jest właśnie Polska listopada 1984 roku. Polska, w której wszyscy zgodnym chórem nawołują do spokoju.

A przecież jeśli komuniści, episkopat i podziemna oraz nadziemna Solidarność mówią dokładnie to samo — ktoś musi się mylić.

Biegają lata. Rządzący co dzień i co godzina realizują swój cel: panują. Realizują totalną władzę, przywileje, wyzyskują, kłamią, stosują terror, robią co chcą — i oczywiście spokój, bierność,

marazm poddanych są im niezbędne. Toteż nigdy nie wzywali do czegokolwiek innego.

O istnieniu Kościoła — potężnej, niezwyklej w dziejach instytucji — decydują masy ludzi wierzących. Aby mógł skupić się na praktykach religijnych, ofiarować Bogu swe niedole i tylko w Jego ziemskiej, widomej jako Kościół, opiece szukać ocalenia — niezbędny jest spokój. Toteż Kościół mniej więcej od Wiosny Ludów nigdy nie wzywał do czegokolwiek innego — i wzywać nie będzie bez względu na okoliczności.

W sferze polityki Kościół może być tylko siłą bierną. Może chronić w świątyniach niszczone tradycje (nie wszystkie), zachować kulturę narodową (nie całą) — zresztą mnóstwo o tym napisano. Wszystko to Kościół polski czyni, lepiej lub gorzej chroni głębie przed marszem pustyni.

O spokój apeluje też Związek, „nie przygotowany organizacyjnie ani merytorycznie, z przetrzebioną kadrą i zdezorientowanym kierownictwem”. Gwoli prawdy i NSZZ „S” nigdy do niczego innego nie wzywał. Ani KOR. Ani nawet KPN ze swoją rewolucją bez rewolucji.

Zadziwiająca sprawa: wszyscy chcą spokoju i ostrzegają przed wybuchem, żywiołem, rozlewem krwi, jakby wszystkie te trzy wiadome siły o skrajnie sprzecznych ideologiach i interesach znalazły się wobec czwartej, dla wszystkich groźnej. Ta czwarta siła rzeczywiście istnieje, a jest nią zwolna wzbierający bunt poddanych, który, jak dotychczas, najbardziej wyraźnie objawił się jako pierwsza w dziejach komunistycznego imperium i od razu 9,5-milionowa organizacja „S”.

Nowa klasa panująca po raz pierwszy od przeszło 30 lat miała prawdziwego przeciwnika i rozpoczęła bezwzględną wojnę wewnętrzną, której kulminacją była noc z 12 na 13 grudnia. Kościół ze wzrastającą obawą śledził rozwój wypadków z nadzieją na to, że uda się niezależną organizację na stałe zainstalować w systemie totalnego panowania jednej klasy (czy warstwy, kogo raz skompromitowana przez marksizm terminologia) nad drugą — i w interesie tej drugiej oraz Kościoła poprzez nią wymuszać ustępstwa — topniała z miesiąca na miesiąc. Ale najistotniejsze było to, że samo kierownictwo „Solidarności” bało się własnej organizacji, hamowało, uspakajało, zawierało pozorne kompromisy, które były kolejnymi kapitulacjami, traciło czas, „samoograniczało rewolucję”. Bało się. Czego?

Tego samego, co w listopadzie 1984 roku. Tego samego, czego pewno będzie się bało w listopadzie 1985 roku, i nie wiadomo ilu jeszcze.

Oto Wielki Strach wszystkich podbitych: rosyjska interwencja. To nie urojenie: była już trzy razy — w Niemczech wschod-

nich 1953, na Węgrzech 1956 i w Czechosłowacji 1968. Wiadomo, że Imperium nie wypuści z rąk żadnego podbitego kraju, nie zdarzyło się to od siedmiu wieków.

Ciekawe, że interwencja czy inwazja zawsze kojarzyła się wszystkim, od szeregowego członka „Solidarności” do Komisji Krajowej i uczonych doradców, z Końcem Świata. Wjadą czołgi i noc czarna i mróz Sybiru. Wolno tak myśleć Kowalskim, nie wolno jego przywódcom.

Cena interwencji jest wysoka, coraz wyższa dla Związku Szczęśliwych Republik Rad, stąd przecież znaleziono o wiele doskonalsze rozwiązanie: użycie siły przez miejscową, skonsolidowaną klasę panującą; dopiero gdyby to zawiodło, nastąpiłaby bratnia pomoc. Udało się nad podziw i pewno zawsze będą od tego zaczynać.

Okazało się, że trzeba się obawiać nie armii obcej, lecz własnej, trzymanej w karchach przez silną liczebnie kastę oficerską i politrucką. Jest więc gorzej, niż przypuszczano — ale i inaczej. Widmo interwencji prawie zniknęło, jego miejsce zajęła policja i wojsko miejscowe.

Wiąże się to z zagadnieniem niemal pomijającym, a niezwykle ważnym. Oto solidarność nie jest naszą własnością, a nawet, gdy bliżej się przyjrzeć — ICH solidarność była bodaj silniejsza. Jakoś nikogo nie zastanawia, że bronili się zawzięcie i nieustępliwie, i że uratowali prawie wszystko. Nie tylko wojsko i policję, programowo omijane z daleka przez „Solidarność”. Nie udało się rozbić do końca nawet związków zawodowych, tej „struktury” (co za okropne słowo), która, wydawało się, niknie w oczach jesienią 1980 roku. Został branzowy przyczółek, z którego wyruszyło potem kontrnatarcie, mówiąc językiem miłośników pokoju. Mimo różnych łamańców, utrzymali oba „stronictwa”, utrzymali nawet swoje pseudoharcerstwo, które — zważywszy żywe jeszcze tradycje — powinno rozlecieć się pierwsze; bunt był bardzo szeroki, ale płytki, nie naruszył konstrukcji systemu. Bodaj rok 1956 miał większe sukcesy, bo wtedy naprawdę rozpadła się organizacja młodzieżowa i naprawdę rozpadły się kołchozy.

Bojąc się niedźwiedzia nie doceniono własnego drapieżcy, zwartej, solidarnej klasy właścicieli kraju polskiego, którzy tylko w sferze nomenklatury niższych szczebli, zawsze chwiejnej, najmniej też uprzywilejowanej, ponieśli pewne straty; reszta trzymała się twardo, klucząc, oszukując i zwlekając, by doczekać zbrojnej pomocy. Mowa o dyrektorach, prezesach, kierownikach, urzędnikach itp., którzy, każdy u siebie, przetrwali bunt pomyślnie nader skutecznie blokując poczynania „Solidarności”. O zwią-

ku milicjantów lepiej nie mówić, w urzędach centralnych i aparacie partyjnym, w wojsku i policji bunt oglądano z okien.

W listopadzie 1984 roku powinno być dobrze wiadomo, że komuniści też się czegoś nauczyli. Tego mianowicie, że nigdy i nigdzie nie wolno dopuścić do powstania niezależnej organizacji, która, jakkolwiek by się określała i nazywała, i cokolwiek głośiła — musi przerodzić się w każdym podbitym kraju w bunt poddanych. Na szczęście dla nich Kościół wręcz nie może być taką organizacją — każdą jednak inną próbą natychmiast zajmie się policja.

Może zatem mniej przejmować się inwazją, a bardziej własnymi panami i pankami?

Rosjanie wkroczą tylko w jednym wypadku: gdy naprawdę zacznie się walić polski, autonomiczny ustrój sowiecki; gdy załamają się „struktury” aparatu partyjnego, armii, policji, administracji i kłamstwa. Twierdzą, że nie było żadnych poważnych oznak nawet groźby takiego załamania. Jedyne, co było bliskie katastrofy — to komunistyczne „związki zawodowe”, element systemu sowieckiego drugorzędny i pomocniczy. Ale i on został jednak zachowany, choć w nędznym stanie, z którego do listopada 1984 roku nie może się podnieść. Niewielki sukces, od którego do inwazji jest tysiąc mil.

Bez porównania groźniejsze było żądanie wolnych wyborów, uderzające w podstawę totalnej władzy. Jednakże wolne wybory miały być osiągnięte drogą „nacisku”; w żaden sposób nie można się było dowiedzieć na czym ów „nacisk” miał polegać — zapewne na strajku.

I tu dochodzimy do czegoś jeszcze dziwniejszego niż lęk przed inwazją (warto zaznaczyć, że Czesi i Węgrzy jednak inwazję przetrwali, ale to już inny temat). Jest to głębokie przekonanie, że „nacisk społeczny” wymusi ustępstwa bez ofiar. Historia ludzkości jaskrawo temu zaprzecza, a już przymierzone do komunizmu przekonanie to wygląda humorystycznie. Kto i gdzie zyskał coś od nich inaczej niż siłą? Czy polscy ugodowcy cokolwiek zyskali od carskiej Rosji przez 150 lat? Czy w społeczeństwie coraz ostrzej podzielonym na panów i poddanych może być inny pokój społeczny niż pokorna zgoda tych drugich na wyzysk, przemoc, kłamstwo i poniżenie? Wystarczy przejrzeć niezwykle obfita twórczość prawną, którą kamaryla Jaruzelskiego uraczyła byłych zbuntowanych, by nie mieć złudzeń: do czasu toleruje się różne niegroźne zachowania, trzymane w karchach przez Kościół i zawsze z nimi związane: krzyże kwietne, pieśni itp. Ale niech no tylko spróbują rzeczywistego „nacisku”! Wtedy, w majestacie nowych „praw”, wkroczy terror.

Chlubimy się tym, że nie było ofiar. Świat to podziwia, wró-

cimy za chwilę do tego fenomenu. Modny stał się Gandhi, ponieważ ludzie, którzy nic o nim nie wiedzą i myślą Anglię z Rosją sowiecką, sądzą, iż cofał się on przed ryzykiem ofiar i kołowrotkiem wyrzucił srogich kolonizatorów. M. Poleski proponuje (na końcu rozsądnego tekstu) następujący „nacisk”: oto w śróde wszyscy przyjdziemy do pracy z zielonymi wstążeczkami. Nie ma na to przepisu, nie będzie ofiar. Ten dorosły zapewne człowiek udaje, że nie wie, iż warunkiem przyjscia „wszystkich” jest istnienie organizacji na miarę „Solidarności”. A żeby taka powstała — no to już bez ofiar się nie obejdzie na pewno. Bez niej przyjdzie co pięćdziesiąty, ubol go zapisze i w ten sposób „nacisk” naciśnie naciskającego.

Oto do czego prowadzi szlachetna ambicja, by nikt nie ucierpiał (tu wypada zacytować listę komitetu helsińskiego: 40 trupów, nie licząc ostatniego, szokującego zabójstwa). Prowadzi to do tego, że uniemożliwia jakiegokolwiek działanie. Nawet za zieloną wstążeczkę można by zresztą dostać pałą i oto cała rozmowa. Rozmyślnie nie piszę, że z zielonymi wstążeczkami i świecami w oknach (to był pierwszy pomysł z tej serii *pure nonsense*) komunizm polski, nie mówiąc o imperialnym, będzie kwitnął tysiąc lat. Rzeczywistość jest brutalna: bez ryzyka ofiar nie ma walki politycznej. Kto go nie umie lub nie chce podejmować — niczego nie osiągnie.

Dla tych, którzy czytają jedno, a chcą rozumieć drugie oświadczam, że nie namawiam do ataku ławą na KC, lecz piszę o czymś, co jest jedną z przyczyn klinczu listopada 1984: o lęku podejmowania ryzyka, które jest obowiązkiem każdego przywódców, każdego oporu przeciwko każdej tyranii. Jasne?

Są jeszcze inne upiory, które powodują, że rozbita i zepchnięta pod ziemię „Solidarność” wzywa do tego, by ją wepchnąć jeszcze głębiej.

Niepokoje w Polsce mogą mianowicie wywołać wojnę, nuklearną rzecz jasna. Dawano to nawet w 1981 roku do zrozumienia, straszac „napięciem” itp. Przydałoby się trochę skromności. Poprzednia wojna nie wybuchła o Gdańsk, choć to piękne miasto, lecz dlatego, że hitlerowska Rzesza chciała zagarnąć co najmniej Europę i jeszcze oczyścić ją z gorszych gatunków ludzi. Obecnie supermocarstwo sowieckie zagraża cywilizacji całego świata i — jeśli odważy się na atak — to właśnie będzie przyczyną wojny, nawet gdyby w kraju polskim panowała absolutna zapaść, niczym w mordobijskim powiecie.

Przeciwnie zaś, dopóki ten kraj, dość duży jednak, będzie niespokojny — trudniej będzie wyprawić się w kierunku Paryża.

Nie o Paryż jednak powinno nam chodzić, a o Warszawę. Tu zaś rzecz jest rozpaczliwie prosta: im Rosja sowiecka silniejsza,

tym niepodległość i wyzwolenie od komunizmu dalsze. A komu pomaga spokój? Rosji pomaga i właśnie dlatego, kiedy Bujak i Wałęsa mówią to samo co Jaruzelski, to coś nie jest w porządku.

Ulubionym straszakiem każdej kamaryli komunistycznej jest też straszak niemiecki. Niech tylko ustanie najjaśniejsza gwarancja nowych carów — momentalnie Niemcy odbiorą Ziemię Zachodnie, a może zechcą granicy z 1913 roku, a jeszcze lepiej z 1795. Tow. Wojna (*nomen omen*) zadziwił nawet wizją rozbioru (nie sprecyzował kto co dostanie).

Zapewne zmianę granic w obrębie imperium można sobie wyobrazić, choć dotąd nie było takiego wypadku; np. nasze Ziemię Zachodnie przyłączyć do Niemiec wschodnich. Są to kawiarniane spekulacje, bo jedno jest pewne: byłby to wstrząs, przesiedlenia itd. Imperium lubi martwość, zapaść, letarg, święty spokój właśnie!

Planując jakiegokolwiek akt czynnego oporu w Warszawie, martwić się wojną lub agresją podbitego i częściowo uciemżonego jak my narodu, toż to szukanie usprawiedliwienia, by nic nie robić.

„Solidarność” rozpałała opór na wiele lat, odrabiając w 16 miesięcy 30 lat indoktrynacji. W listopadzie 1984 roku czynny opór zamiera z wyjątkiem prasy i wydawnictw, co ma kapitalne znaczenie dla oporu biernego. Ten ma rozmiary niebywałe, prawie zniknęła obojętna masa poddanych, podstawa s p o k o j n e j eksploatacji. Sprzeciwiają się już nieliczni, ale nie pomoże i nie poprze też prawie nikt. Lokalni aktywiści i dolne warstwy nomenklatury przypominają ludzi miotających się w kopnym śniegu.

Kamaryla, zwycięska i zasłużona odkrywczyni nowej, nader oszczędnej i wydajnej metody interwencji wewnętrznej własnymi siłami, politycznie panuje nad sytuacją. Ale społecznie potrzebuje dziesiątków lat, by dojść do tego marazmu poddanych, jaki panował za rządów jej śp. patrona — Gomułki.

Dziesiątki lat spokoju w polskim kraju? W listopadzie 1984 wydaje się to niemożliwe.

A jednak jest możliwe, jeśli nie wyrośnie (skąd? oczywiście z „Solidarności”) pokolenie przywódców, które przestanie się obawiać inwazji, interwencji, koniecznych — niestety — ofiar (tu rozważa można się rzeczywiście uczyć od Mahatmy), wojny nuklearnej, rozbioru, pałek, pewnej i natychmiastowej akcji ZOMO i Bóg wie czego jeszcze. „Solidarność” nie była organizacją walki — i zdaje się być nie mogła, bo historia uczy, że opór i bunt nie zaczynają się od perswazji, adresów, postulatów i suplikacji szanujących despotyzm. „Solidarność” jako jednolita organizacja powoli zamiera — gorzka to prawda tego listopada. Ale z grup

i grupek, z efemeryd partii, z pisemek, pism i poważnych wydawnictw coś się powinno wyłonić.

Albo nie. Trudno przypuścić, żeby ruch wydawniczy o takich rozmiarach mógł być tolerowany wiele lat bez podjęcia próby zniszczenia. Wtedy wybije godzina prawdy, oby taka, że część jednak ocaleje. Bo jeśli nie — to przerwa może być długa, a spokój nastać z czasem zupełny.

Niemniej kamaryla panuje. Ma kłopoty, ale jej totalnej władzy nic nie zagraża. W końcu i tak nigdy o żadnej większości komuniści nawet myśleć nie mogli, większość zresztą z politycznego punktu widzenia nie jest im w ogóle potrzebna. Jeśli wśród 5 % panujących nad resztą jest prawdziwy, wojskowo-komunistyczny porządek (a jest), to pozostali mogą sobie śpiewać „Boże coś Polskę”, zostawimy im ten wentyl. Toteż główną troską tzw. ekipy nie jest walka polityczna ani znane kłopoty z odtworzeniem sprawności maszyny łgarstwa lub stawiającymi opór grupami inteligencji twórczej i naukowej. Główną troską jest, jak zawsze i wszędzie w imperium, gospodarka.

Tu nareszcie można być rzeczywiście spokojnym. Gospodarka komunistyczna jest wynalazkiem tak genialnym i niebywale nowym, że o naprawie mowy nie ma. Może zgrzytać, zapadać się w piach, trzeszczeć i plując krwią posuwać się, a raczej czołgać za normalnymi gospodarkami świata, ale żeby wstała i ruszyła za nimi, absolutnie niezbędna jest likwidacja komunizmu, a to jest problem XXI wieku, a nie listopada 1984.

Jaruzelski i jego towarzysze-ekonomiści mieli nadzieję, zdaje się, że jeśli zastosują metody wojskowe, to nareszcie będzie przynajmniej porządek, będzie wiadomo z ilu schodów się spadło, co umożliwi powolne, ale w armijnym orydyku włączenie z powrotem.

Taka sama chimera, jak wszystkie poprzednie od 1917 roku. Totalne wyłączenie i jego katastrofalny skutek, oderwanie produkcji od potrzeb, co się nigdy dotąd nie zdarzyło, postawiły materialną działalność człowieka w imperium na głowie i w tej pozycji wyrabia on nawet czołgi i rakiety, z pewnością gorsze, droższe i w mniejszej ilości, niżby mógł, a przecież przemysł zbrojeniowy to rajska wyspa normalności (bo produkuje, on jeden, na rzeczywiste potrzeby armii) w tym szpitalu obłąkanych, jakim jest planowa gospodarka cywilna.

Toteż, szczęśliwej drogi reformo! Urodzi się z niej jedynie liczne potomstwo kolejnych podwyżek cen równie dowolnych, jak wszystko w tej fantastyce. Naśladowanie Węgrów może doprowadzić do pewnej poprawy, ale jest to radość, że podczas gdy Nicolae wpadł już w malignę, Wojciechowi spadło o dwie kreski; a Janos to ma tylko 39,5. Ale wszyscy gorączkują i nigdy nie

wyzdrowieją, bo na raka komunizmu po prostu nie ma innego lekarstwa niż skalpel.

A jednak czekanie na to, że przewlekły kryzys i pauperyzacja doprowadzą do wybuchu, to czekanie na Godota. To że podwyżki cen były zapalnikiem w roku 1970 i 1976 nie znaczy, że były główną przyczyną. Gdyby poziom życia decydował o procesach społecznych — to w Związku Szczęśliwych Republik Rad byłaby od 60 lat nieustająca krwawa łaźnia. Tymczasem tam właśnie panuje *pax sovietica*, a na bogatym Zachodzie ciągle strajki i niepokoje.

Mechanika wybuchu społecznego jest dość tajemnicza i na pewno złożona. Obok utajonego, powszechnego i wszechobejmującego niezadowolenia przechodzącego w nienawiść do aktualnego stanu rzeczy, którego to niezadowolenia postępująca nędza jest zasadniczym składnikiem, ale nie jedynym (niechęć do narzuconej doktryny, przekonanie o amoralności panujących etc.), trzeba też chyba raz przyznać rację tow. Leninowi, tym bardziej, że nie on to wymyślił. Oto konieczna jest także jakaś zorganizowana siła, aby tę olbrzymią, ale bierną i nieświadomą swych pragnień masę poruszyć.

„Solidarność” była pierwszą taką siłą w historii komunizmu — i jeśli nawet jeszcze tysiąc razy napiszę o błędach i o tym, że się przeżyła — to przecież dramat będzie zawsze miał wymiar szekspirowski.

W listopadzie 1984 roku ta siła zamiera, jej przywództwo żąda dialogu licząc na to, że stan gospodarki zmusi do niego komunistyczny rząd; aby umożliwić ten dialog wzywa do spokoju, bo oprócz wszystkich lęków odznacza się też cechą właściwą dla pierwszych sprzeciwów: o wiele bardziej zajmuje się aktualnym humorem tyranów niż własnym. Przecież zrozumieją, u diabła, przecież to w ich interesie!

Tymczasem dialogu, proszę państwa, nigdy z nikim w Imperium nie było. Bywały tylko taktyczne, oszukańcze rozmowy, chwilowe ustępstwa, szalbiercze manewry, przewlekane dopóki nie nadbiegnie właściwy człowiek i nie strzeli w tył głowy zuchwałcowi, który ośmielił się dyskutować. Po śmierci fundatora imperium obyczaje złagodniały: funkcjonariusz zjawia się z kajdankami. Ostatnie takie rozmowy odbywały się całe 16 miesięcy w kraju polskim. Urban twierdzi, że następnych nie będzie.

I dotrzyma, niestety, słowa, bo doprawdy po co rozmawiać, skoro przeciwnicy, nie dość że pokonani, to jeszcze używają do tego argumentu tego samego, co władcy? „Solidarność” nie jest już tą poruszającą siłą. Przykre, jak przeważnie prawda.

Mleko zostało rozlane — w listopadzie 1984 czynny opór, przedłużenie buntu lat 1980-1981, powoli wygasa pod zgodną

presją ciemężycieli, pasterzy dusz i tych, co powinni prowadzić. Trudno mieć pretensję do pierwszych, że robią to, co dla nich korzystne. Do drugich, że działają we właściwy sobie sposób, oceniając za to wiele. Trudno nie mieć pretensji do ostatnich. Niech by chociaż nie mówili nic, niech by pozwolili, by powszechny sprzeciw, który wyraża głośno podziemna prasa i emigracja — krzepł i trwał do momentu, gdy będą warunki do następnego buntu. Niechże go nie tłumią, przecież nie po to zostali wybrani! Niechże próbują kierować tym, co jeszcze jest, a jeśli są bezsilni — niech powiedzą: jesteśmy bezsilni, możemy tylko drukować — na razie. Niech się nie boją, że tracą wtedy poparcie. Niech nie przewidują, co radośnie ogłosi Urban — nie warto.

Sądzę, że gdyby jednak przestali myśleć o rosyjskiej inwazji, próbowali wywołać wojnę światową, powiedzieli ludziom, że może i zginąć ktoś będzie musiał — to wtedy właśnie wyszkolony morderca zawahałby się, to wtedy, być może, nastąpiłby oszukańczy dialog, który jest zawsze świadectwem osłabienia panowania totalnego — i wtedy ci zapędzeni w kolejki, żywieni na kartki, czekający pokornie 15 lat na własny kąt, wiecznie reorganizowani, bezbronni wobec byle chama w mundurze i za biurkiem, szczęśliwi z nabycia rolki papieru toaletowego lub spartolonego łacha ludzkie listopada 1984 roku — znów by zaczęli podnosić głowę i odzyskali zdolność do walki o swoje niezbywalne ludzkie prawa.

Stefan DENFERT

NOWY ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH
— ODDZIAŁ WARSZAWSKI
(stan na połowę VI m. 1984)

Adamski Jerzy, Auderska Halina, Banaszczyk Eugeniusz, Bardijewska Sława, Bardijewski Henryk, Barszczewski Aleksander, Bartelski Lesław, Bartnikowski Bogdan, Bechlerowa Helena, Belis-Legis Salomon, Bidwell Anna, Bidwell George, Bielińska Izabela, Bieńkowska Danuta, Bińczek Józef, Bobruk Albin, Bocheński Aleksander, Boglar Krystyna, Bordowicz Maciej, Borski Lech, Boruński Włodzimierz, Brudnicki Jan, Bratny Roman, Brzostowska Janina, Buczkowski Leopold, Bukowska Anna, Centkiewiczowa Alina, Centkiewicz Czesław, Chmielewska Joanna, Ćirić Bronisław, Cis Kazimierz, Csorba Tibor, Chorążuk Bogdan, Chudy Tadeusz, Chylička Wanda, Czeszko Bohdan, Dobraczyński Jan, Dobrowolski St. Ryszard, Domagalik Janusz, Domański Marek Z., Drozdowski Bohdan, Drózd-Satanowska Zofia, Dručka Nadzieja, Durbajto Barbara, Dziarnowska Janina, Dunakanowicz Alija, Fanager Tadeusz, Filler Witold, Florans Rajmund, Fonkowiec Jerzy, Galis Adam,

Gała Henryk, Gałaj Julian, Gaworski Henryk, Gąsiorowski Krzysztof, Gerłowski Andrzej, Gero-Roźniewicz Maria, Gołębiowski Stefan, Gomulicki Juliusz W., Goszczurny Stanisław, Gozdawa Godlewski Zdzisław, Goździkiewicz Teodor, Grabowska Marcelina, Gronczewski Andrzej, Gruszczyńska-Dębska Helena, Grzeniewski Ludwik, Grzymkowski Jerzy, Helsztyński Stanisław, Huzik Władysław, Himilbach Jan, Janaszek-Ivaničkova Halina, Jabłoński Roman, Janicki Jerzy, Jaszucki Franciszek, Jerzyna Zbigniew, Jodełka-Burzecki Tomasz, Jesionowski Jerzy, Józefacka Maria, Justynowicz Bohdan, Kałużynski Zbigniew, Kann Maria, Karaś Romuald, Karpińska Hanna, Karpowicz Tytus (Suwałki), Kaska Adam, Kawałko M. Janusz, Kazimierzycz Barbara, Kędziarski Jerzy, Klimas Błahutowa Maria (Katowice), Kolińska-Sochaczewska Krystyna, Koliński Gustaw, Koprowski Jan, Kossak Jerzy, Kossobudzki Leszek, Korcelli Kazimierz, Korczakowska Jadwiga, Kosiński Ryszard, Koszutska Halina, Kowalik-Ciermińska Helena, Kozłowski Andrzej (pseudonim Jastrzębiec-Kozłowski Andrzej), Kozłowski Władysław, Koźniewski Kazimierz, Krajewski Michał, Król Wacław, Krukowska-Zielińska Maria, Krysa Sławomir, Krzyżagórski Klemens, Kuczyński Maciej, Kubas Tadeusz (Rzeszów), Kulicki Krzysztof, Kurowski Edward, Kuthan Zbigniew, Lam Andrzej, Lassota Ryszard, Lenart Józef, Leonowicz Halina, Lewandowska Zofia, Lewin Leopold, Lezeński Cezary, Lichniak Zygmunt, Liskowacki Ryszard (Szczecin), Loebel Bohdan, Łapicka Zofia, Łączkowski Zdzisław, Łochocka Hanna, Łochutko Marian, Łukasiewicz Stanisław, Łyskanowski Marcin, Machnicki Mieczysław, Macierzewska Janina, Majchrowski Stefan, Maliszewski Dionizy, Marszałek Jan, Matusiak Karol, Melanowicz Mikołaj, Meysztowicz Jan, Michalski Hieronim, Minkowski Aleksander, Mioduszewski Stanisław, Misiorny Michał, Mitznerowa Laryssa, Morton Józef, Muszyńska-Hoffmanowa Hanna, Moszczeński Janusz, Nasielski Adam, Natanson Jacek, Natanson Wojciech, Nawrocka-Dońska Barbara, Nawrocki Aleksander, Nieławicka Anna, Niemczuk Jerzy, Niziurski Edmund, Nowacka Ewa, Ochocki Mirosław (Łódź), Ofierski Jerzy, Okońska Alicja, Olbrychska Klementyna, Olszewski Józef St., Omiljanowicz Aleksander (Białystok), Osęka Janusz, Ozga-Michalski Józef, Ożogowska Hanna, Olszańska-Krotkiewicz Maria, Patey-Grabowska Alicja, Pauszer-Klonowska Gabriela, Piasecki Jan Dobrosław, Piotrowski Andrzej S., Piórkowski Jerzy, Podkowiński Marian, Preger Janina, Prusicka Irena, Przymanowski Janusz, Przyppkowski Andrzej, Putrament Jerzy, Pytlakowski Jerzy, Reniak-Strużyński Marian, Rogowski Wiesław, Rolicki Janusz, Roszewski Wojciech, Rowiński Aleksander, Ruciński Zbigniew, Rusinek Michał, Rustecki Wiesław, Rybarski Leopold, Rybicka Zofia, Sadkowski Wacław, Safian Zbigniew, Salaburska Krystyna, Samsel Roman, Sandauer Artur, Sidorski Dionizy (Białystok), Siesicka Krystyna, Siewierski Jerzy, Słobodnikowa Eleonora, Słobodnik Włodzimierz, Smólski Władysław, Sokorski Włodzimierz, Soliński Bolesław, Stefański Lech Emf., Stepien Wacław, Stepniewski Wacław, Stoberski Zygmunt, Stompor Józef, Strassburger Janusz, Strumpf Tadeusz, Strumph-Wojtkiewicz Stanisław, Stulgińska Zofia, Sumiński Michał, Stworzyński-Bieszczadowski Mikołaj, Szczawiński Józef, Szczepańska Maria, Szczepańska Nora, Szczepański Jan Alfred, Szelburg-Zarembina Ewa, Szemplińska-Sobolewska Elżbieta, Szenic Stanisław, Sznaper Adam, Szmaglewska Seweryna, Szulecka Maria, Szwed Wiktor, Szypowska Maria, Ślądewski Kazimierz, Sliwonik Roman, Średnicki Roman, Świeżawski Ludwik (Łódź), Termer Janusz, Tetter Jan, Tomaszewska Marta, Truchanowski Kazimierz, Trziszka Zygmunt, Tuwim Irena, Tywonik-Tuszewska Marta, Urgacz Tadeusz, Waczków Józef, Wadecka Saturnina, Warneńska Monika, Wasilewski Andrzej, Wasilewski Marek Antoni, Wasilewski Zbigniew, Wawilow Danuta, Wawrzekiewicz Marek, Wawrzykowska-Wierciochowa Dioniza, Wernic Wiesław, Wiernik Bronisław, Wilczek Jan, Wiśniewski-Snerg Adam, Wittlin Jerzy, Wojewódzki Michał, Wojna Ryszard,

Wójcik Ryszard, Wójcik Zygmunt, Wołczacka Maria, Wolniewicz Janusz, Wojtasiewicz Olgierd Adrian, Wrocławski Bohdan, Wróblewski Zbigniew, Wydrzyński Andrzej, Wyka Jan, Zaczykiewicz Izidor, Zagała Bolesław, Zalewski Zbigniew, Zaniewski Andrzej Marek, Zeydler-Zborowski Zygmunt, Zieliński Stanisław, Ziółkowska Maria, Ziółkowski Jan, Zych Gabriel, Żernicki Janusz (Ciechocinek), Żmij-Zielińska Danuta, Zółciński Tadeusz Jerzy, Zukrowski Wojciech, Żuliński Leszek.

Przyjęci w czerwcu 1984:

Borkowski Zenon, Cegiełka Janusz, Dohnalik Barbara (pseudonim Kmicie Barbara), Domański Piotr, Frelek Ryszard, Kopczewski Jan Stanisław, Kupiszewski Edward, Lewandowska Barbara, Lewandowski Jan, Marx Jan, Nieuważny Florian, Popiołek Marian, Prandota Mirosław, Słyk Marek, Terlecki Ryszard, Tomaszewicz Jerzy, Wójcicki Józef.

Przyjęci jako kandydaci:

Czajkowski Jerzy Stanisław, Grochowina Józef Andrzej.

Voice of America seeks candidates with fluency in Polish and English to work in Washington, D.C. as foreign language broadcasters. Positions requires a background in broadcast journalism or related experience, such as translating, interpreting, lecturing or acting in the Polish language, or teaching the Polish language above the high school level. Candidates must have a voice suitable for shortwave broadcasting. A translation and voice examination are required. Starting salary: U.S.Dols 21.804 to 26.381 per year. Interested candidates are requested to submit detailed resume or other background information, or standard government application SF-171, in English, to:

VOICE OF AMERICA,
Office of Personnel, Room 1192,
330 INDEPENDENCE AVENUE,
S.W. WASHINGTON, D.C. 20547.

V.O.A. is an equal opportunity employer.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Zachodnią prasą trzęsie kremlowska febra: nie ma takiej gazety czy tygodnika, które nie pisałyby w każdym wydaniu o stanie zdrowia generalnego sekretarza KC KPZS. A że jedyną informacją, na której mogą się oprzeć, jest płynąca z Moskwy dezinformacja, napięcie rośnie z godziny na godzinę: „Czernienko zmuszony do odejścia” — ogłasza prasa brytyjska; „Czernienko ma się doskonale i przebywa na urlopie” — powiadamia prasa francuska; „Czernienko nie domaga, ale nadal stoi u steru partii, państwa i narodu” — zapewnia prasa włoska.

Czernienko nie pokazał się publicznie od 27 grudnia. Aby podbić o kilka kresek wykres kremlowskiej temperatury, *Prawda* z 8 lutego zamieściła w cotygodniowym sprawozdaniu z posiedzenia Biura Politycznego zagadkowe zdanie: „... na posiedzeniu Biura Politycznego K. U. Czernienko podkreślił...”. Komentatorzy i publicyści zaczęli roztrząsać subtelności języka rosyjskiego: czy to znaczy, że Czernienko był obecny na posiedzeniu, czy może ktoś odczytał jego postanie?

Wątpliwości są uzasadnione, bo Czernienko pisze więcej niż kiedykolwiek. Może nawet więcej, niż pisał przed śmiercią Andropowa. Używam czasownika „pisze” w przenośni, mając na myśli teksty, opatrzone jego podpisem. Są wśród nich listy i rozmaite zalecenia: a to dla zachodnioniemieckich „Zielonych”, a to dla amerykańskich dzieci, to znowu dla sowieckich pisarzy itd. Poza tym pojawiają się bezustannie przedmowy Czernienki do jego własnych książek, które wciąż wychodzą w różnych językach. W samym tylko styczniu czytelnicy sowieccy mogli zapoznać się na łamach swoich gazet z przedmową do książki, wydanej po polsku pod urzekającym tytułem „Zagadnienia pracy aparatu partyjnego i państwowego”, a po francusku zatytułowanej bardziej romantycznie: „Naród i partia to jedność”.

Zachód niepokoi się o stan zdrowia generalnego sekretarza nie tyle z sympatii dla starego żołnierza służby pogranicza, ile

z tkliwej miłości dla jego następcy, którego wszyscy sowietolodzy już wybrali: M. S. Gorbaczowa. Tę miłość Gorbaczow zawdzięcza nie tyle swym męskim powabom, ile swemu stosunkowi młodemu wiekowi; sowietolodzy są przekonani, że „młody” Gorbaczew będzie otwarty na nowe idee i skłonny do reform ustrojowych.

Jerzy F. Hough, jeden z najświetniejszych amerykańskich sowietologów, którego małem okazję cytować na łamach *Kultury* jako głównego przedstawiciela koncepcji „nadziei na dobre generalnego sekretarza”, był najaktywniejszym propagandystą kultu Andropowa w Stanach Zjednoczonych. Obecnie przerzucił się na Gorbaczewa. Argumentacja jego jest prosta, arytmetyczna. Biuro Polityczne rozбивa on na dwie grupy socjologiczne: sześciu spośród jedenastu członków ma ponad 70 lat, pięciu ma średnio lat 60. „Młodzi” pracują w Moskwie od niedawna, a Gorbaczew najdłużej z nich — 6 lat. Wobec tego, wywodzi Hough, „jest mało prawdopodobne, by 'młodzi' pogodzili się z tym, co robią 'starzy', pracujący w Moskwie 30 lat” (*International Herald Tribune* z 17 stycznia 1985).

Amerykański ekonomista Marshall I. Goldman proponuje nowemu kierownictwu sowieckiemu konkretny program. Wychodząc z założenia, że pierwsze jaskółki nowego etapu odprężenia już się pojawiły, należy je poprzeć. Marshall Goldman ma poetycką wizję: „... Kłótnia między Związkiem Sowieckim i Stanami Zjednoczonymi w pewnym sensie przypomina kłótnię między mężem i żoną. Każda ze stron musi ustąpić”. Przede wszystkim jednak „my winniśmy ze swej strony dać Związkowi Sowieckiemu co nieco z tego, czego chce...”. Na dowód dobrej woli należałoby Związkowi Sowieckiemu przyznać klauzulę najwyższego uprzywilejowania. Związek Sowiecki z kolei (nowe kierownictwo) mógłby dać wyraz swej dobrej woli wypuszczając z więzienia Idę Nudel, zasądzoną za zamiar emigracji do Izraela (*International Herald Tribune* z 5 lutego 1985).

Amerykańscy specjaliści bronią dziś koncepcji, którą wypróbowano czterdzieści lat temu w Jałcie. William Bullitt, pierwszy poseł amerykański w Moskwie, późniejszy doradca Roosevelta, napisał w 1948 roku artykuł pod tytułem „Jak wygraliśmy wojnę a przegrali pokój”. Bullitt cytuje m.in. rozmyślenia Roosevelta o Stalinie. „Jeśli dam mu — powiada prezydent USA o Stalinie — wszystko, co mogę, niczego w zamian nie żądając, to *noblesse oblige*, on nie będzie myślał o żadnych aneksjach i zgodzi się współpracować ze mną w świecie, w którym zapanują demokracja i pokój”. Komentarz Bullita: ponieważ mowa nie o księciu Norfolk, a o gruzińskim bandycie, nie ma żadnej *noblesse oblige*, po prostu Stalin pomyśli: mój partner to osioł.

Wiadomo dziś dobrze, że Stalin tak właśnie myślał o Rooseveltcie: przydatny osioł. Nie przypadkiem sowieccy propagandyści uznali Roosevelta za ideał amerykańskiego prezydenta. Nie przypadkiem czterdziestolecie Jałty obchodzono na Zachodzie jako jubileusz przypadkowej pomyłki, lub jako przykład rokowań, w

których nie można było niczego uzyskać, bo wojska sowieckie stały w sercu Europy. Prasa sowiecka natomiast uczciła czterdziestolecie Jałty z należąną pompą — jako jubileusz wzorcowego modelu rokowań między ZSSR i światem nie-sowieckim. W *Prawdzie* ukazał się 6 lutego niepodpisany artykuł (co podkreśla jego dyrektywny charakter) pod tytułem „Jałta: lekcje i perspektywy”, który uprzedza: „Zamach na układ jałtański to zamach na pokój”. Artykuł kończy się poetyckim obrazem. Przygotowania do konferencji na Krymie nosiły kryptonim „Argonauty”. *Prawda* przypomina, że tak nazywali się bohaterowie, którzy na pokładzie „Argo” wybrali się na Kolchidę po złote runo. Zdaniem *Prawdy* na Krymie znaleziono „złotą formułę pokoju”. Polega ona na zaspokajaniu życzeń ZSSR.

Liczne artykuły o Jałcie, jakie ukazały się na Zachodzie z okazji czterdziestej rocznicy konferencji, zawierają najróżniejsze koncepcje, interpretacje, oceny pozytywne i negatywne. Wszystkie mają charakter spekulatywny, „teoretyczny”. Wystarczy spojrzeć na dokumenty konferencji — wystąpienia, oświadczenia, uwagi Wielkiej Trójki — aby zrozumieć, że Roosevelt i Churchill musieli się zgodzić na propozycje Stalina. Należy przypomnieć, że czterdzieści lat temu wódz ZSSR był zdrowszy, energiczniejszy i aktywniejszy od swych zachodnich partnerów. Przede wszystkim jednak nie tylko wiedział, czego chce, ale rozumiał swych rozmówców. A oni jego nie. Dlatego stenogram rozmów robi chwilami wrażenie przedstawienia, w którym gospodarz naigrawa się ze swych gości. Wrażenie to jest szczególnie silne w partiach dotyczących przyszłego losu Polski. Stalin wstaje i na stojąco wykłada stanowisko ZSSR wobec kwestii polskich granic. Dotychczas mówił siedząc. Kiedy Churchill oświadcza, że „nie ma zbyt wysokiego mniemania o Polakach”, Stalin ostro mu się sprzeciwia: „Są wśród Polaków znakomici ludzie”. Na propozycję nadzoru wyborów w Polsce przez posłów trzech stron Stalin ponownie staje w obronie bratniego narodu i oświadcza, że nadzór taki byłby dla Polaków obrazą. Kiedy Anglicy i Amerykanie skarżą się, że jakoś niezręcznie im będzie powiadomić, że nie uznają już polskiego rządu w Londynie, sowieccy dyplomaci natychmiast przychodzą im z pomocą i opracowując zręczną formułę, która pozwoli uniknąć przykrości. Churchill i Eden wyrażają im podziękowanie.

Zachodni eksperci jednomyślnie uznali, że kandydatem na przyszłego Stalina będzie Gorbaczew. Pewien dysonans stanowi jedynie wydana dopiero co w USA książka Arkadija Szewczenki „Zerwanie z Moskwą”. Arkadij Szewczenko, zastępca generalnego sekretarza ONZ, postanowił w 1978 roku „wybrać wolność”. W książce wyjaśnia, jak i dlaczego został na Zachodzie, rysując ponadto sylwetki swoich byłych przyjaciół, znajomych, naczelników i podwładnych. Portret Gromyki jest mocno podróżowiony: Gromyko opisany jest jako prawdziwy bojownik o *détente*, góraczy zwolennik bliskich stosunków między Ameryką a Związkiem

Sowieckim, obojętny na sprawy ideologii pragmatyk. Krótko mówiąc idealny kandydat na generalnego sekretarza.

Faworyt Gorbaczew przedstawił w ogólnych zarysach swój program „na wypadek, gdyby...” w referacie wygłoszonym na „Wszeczziwkowej konferencji naukowo-praktycznej” w grudniu 1984. Tematem konferencji było „udoskonalenie rozwiniętego socjalizmu i ideologiczna praca partii”. Gorbaczew oświadczył, że „należy zrealizować głębokie przeobrażenia w ekonomii i całym systemie stosunków społecznych...”. Streszczenie referatu (nie opublikowano go w całości) ukazuje główne kierunki „głębokich przeobrażeń”: intensyfikacja pracy ideologicznej, „przyspieszenie postępu naukowo-technicznego”. Materiały, jakie pojawiają się w prasie sowieckiej dowodzą, że Moskwa śledzi uważnie chiński eksperyment, niezwykle przypominający leninowski NEP z 1921 roku. Nową chińską politykę skrytykował sinolog S. G. Jurkow (*Problemy Dalniewo Wostoka*, październik 1984). Odejście od głównej zasady budownictwa socjalistycznego tj. planowania centralnego — pisze Jurkow — przerodziło się w Chinach w „deorganizację produkcji”. Autor ostro ocenia także odejście od komun ludowych i oddanie ziemi chłopom, popieranie rozwoju inicjatywy prywatnej itd. Sowiecki specjalista uprzedza, że Chiny „znajdą się w finansowej niewoli u imperialistów”.

Historyk E. A. Ambarcumow pisze o możliwościach NEP-u w artykule, zatytułowanym „Leninowska analiza przyczyn kryzysu 1921 roku i dróg wyjścia” (*Woprosy istorii* nr 4, 1984). Znaczenie artykułu polega na tym, że historyk nie ogranicza się do wydarzeń 1921 roku, ale rozważa przyczyny kryzysów w socjalizmie w ogóle. Obok Związku Sowieckiego wspomina wydarzenia na Węgrzech w 1956 roku, w Czechosłowacji 1968 roku i w Polsce w latach 1980-1981. Ambarcumow wychodzi z założenia, że podobnie jak w 1921 roku, którego punktem kulminacyjnym był bunt w Kronsztadzie, późniejsze wydarzenia w krajach socjalistycznych a także aktualna sytuacja w ZSSR są kryzysem władzy, wynikiem jej błędów a nawet świadomych działań, sprzecznych z interesem mas pracujących.

Artykuł Ambarcumowa wzbudził gniewną reakcję pisma *Kommunist* (nr 14, wrzesień 1984). Doktor nauk historycznych W. Bugajew w artykule „Dziwne stanowisko” szczegółowo wyliczył poważne błędy Ambarcumowa. Po pierwsze wszystkie kryzysy — zarówno 1921 rok jak i następne — były zawsze kontrrewolucją, wznieconą przez „elementy prawicowo-opportunisticzne”, popierane przez „międzynarodowy kapitał” i „imperialistyczne kręgi”. W. Bugajew nie widzi żadnej odpowiedzialności władzy sowieckiej za bunt kronsztadzki (co podkreśla Ambarcumow). Przede wszystkim jednak nie zgadza się na samo pojęcie „kryzysów w socjalizmie” i twierdzi, że ani w 1921 w republice sowieckiej, ani w 1956 na Węgrzech, ani w 1968 w Czechosłowacji, ani w 1980 w Polsce socjalizm „jako całość systemu społecznego jeszcze nie istniał”.

Logika marksisty-leninisty Bugajewa jest nie do odparcia:

tam, gdzie (jeszcze) nie ma socjalizmu, nie może istnieć kryzys w socjalizmie, ale tam gdzie (już) jest socjalizm — na przykład w dzisiejszym Związku Sowieckim — też nie może być kryzysu, ponieważ w socjalizmie wewnętrzne sprzeczności rozwiązywane są bezkonfliktowo.

Te argumenty okazały się tak przekonywujące, że w listopadowym numerze *Kommunisty* (nr 17, 1984) ukazał się list kajającego się redaktora *Woprosow istorii*, który przyznaje słuszność krytyce.

O ile dyskusje o kryzysie i reformach są surowo wzbronione, o tyle rozważania o „rewolucji naukowo-technicznej”, komputerach i „intensyfikacji ekonomii” cieszą się najwyższym poparciem. Prasa publikuje artykuły specjalistów, objaśnienia ekspertów, prognozy futurologów i — czasami — listy czytelników. „Komputeryzacja” ma się zacząć od szkoły. I tak np. we Francji — która nie należy do czołówek krajów rozwiniętych — ustalono, że do końca 1985 roku zainstaluje się w szkołach 100.000 mikro-komputerów. Dwa tygodnie temu (6 lutego 1985) *Prawda* ogłosiła artykuł akademika A. Jerszowa pt. „Komputer w szkole”. Akademik pisze o planie na najbliższe 3-4 pięcioletki. Zgodnie z planem za 15-20 lat pojawią się w szkołach większe ilości komputerów. W każdym razie już w przyszłym roku wprowadza się do dwu ostatnich klas nowy przedmiot, „podstawy informatyki i techniki elektronicznej”. Akademik pyta jednak: czy ma sens uczyć takiego przedmiotu bez zaplecza technicznego, bez komputerów?

A jeśli będą komputery? Na początku lutego w *New York Times*ie ukazała się wiadomość, że Związek Sowiecki gorączkowo zakupuje na Zachodzie komputery domowe, korzystając z liberalizacji (od 1 stycznia) zasad sprzedaży nowej technologii. Handlowcy marzą o tysiącach i dziesiątkach tysięcy maszyn, które zakupi ZSSR. Jakąś liczbę komputerów ZSSR zapewne kupi. Listy czytelników *Literaturnoj gazety* opisują możliwości nowej maszyny. Jeden z nich stawia kwestię zasadniczo: „Czy gra warta jest świeczki?”. Przeżył już okres urzeczenia modnymi „cudownymi” środkami NOT (naukowa organizacja pracy) i ASU (zautomatyzowany system zarządzania). Teraz przyszła kolej na komputery. Zdaniem czytelnika zastosowanie komputerów do ekonomii sowieckiej może dać tylko złe rezultaty. Nie wystarczy zmontowanie maszyny elektronicznej, trzeba jeszcze mieć specjalistów, trzeba przerobić całą technologię, trzeba mieć części zapasowe. Najważniejsze jednak jest to, że żaden dyrektor nie chce żadnych nowości, a system nie przewiduje żadnych bodźców dla podwyższenia wydajności. Inny czytelnik (w tym samym numerze *Literaturnoj gazety* z 30 stycznia 1985) zauważa, że nie wystarczy mieć komputer, trzeba do niego dodatkowych urządzeń, których się na razie nie produkuje. I znowu potrzeba części zapasowych. Charakterystyczne, że Zachód, cierpiący na permanenty kryzys, nie zna problemu części zapasowych. Jest to zagadnienie nierozzerwalnie związane ze scentralizowaną gos-

podarką planową, która nie jest zainteresowana produkcją części zapasowych i ich nie wyrabia.

W jednej dziedzinie sukcesy władzy sowieckiej są bezsporne i stałe: w dziedzinie represji. Nie ma dziś drugiego kraju na świecie, w którym od blisko siedemdziesięciu lat kwitłaby literatura obozowa. Wciąż wychodzą — naturalnie za granicą — książki byłych więźniów, opisujących wciąż ten sam łańcier, choć za każdym razem różny, bo różna jest reakcja człowieka na więzienie. Sowiecka literatura obozowa jest dlatego interesująca, że daje najprecyzyjniejszy i najwyraźniejszy obraz politycznych, ekonomicznych, społecznych i kulturalnych procesów zachodzących w Związku Sowieckim.

Nie ma nadziei na to, że potok książek obozowych wyschnie. Dzień w dzień nadchodzi wiadomości o nowych aresztowaniach i nowych wyrokach. Można się spodziewać, że po odsiedzeniu wyroku i wyjściu na dużą zonę byli więźniowie napiszą kolejne książki.

Do arsenału techniki dezinformacji należy metoda zwana przez sowieckich specjalistów „przeciążeniem informacyjnym”: daje się taką ilość informacji, że nie sposób z nich wyłuskać prawdy. Przykład elementarny: dziesiątki wersji o stanie zdrowia Czernienki albo o walce „gołębi” z „jastrzębiami” na Kremlu. Trudniejszym zadaniem jest przedstawienie aktualnych represji jako mało ważnych, dlatego że za Stalina siedziały miliony.

O rzeczywistym charakterze represji w Związku Sowieckim dość przekonująco świadczy przekrój aresztowanych za ostatnie dwa miesiące: uczestnicy nieoficjalnej chrześcijańskiej grupy *rock* Walerij Barinow i Siergiej Timochin skazani zostali na 2,5 i 2 lata więzienia; uczestnik niezależnego ruchu związkowego Władimir Skwirskej, odsiadujący w obozie trzeci wyrok, skazany został znowu na trzy lata za „rozpowszechnianie świadomości kłamliwych wymysłów, szkodliwych dla sowieckiego ustroju państwowego i społecznego”; aktywista ruchu żydowskiego Aleksander Chołmiański, oskarżony o to, że „deptał kwiaty” i „zniszczył skrzynkę pocztową”, został skazany za „chuligaństwo” na 1,5 roku łągu; aresztowany został pastor kongregacji pięciodziesiątników Wiktor Walter i prawosławny pisarz Feliks Swietow. Aresztuje się i sędzi we wszystkich zakątkach kraju: muzyków z orkiestry rockowej w Leningradzie, Władimira Skwirskiego w mieście Szewczenko (obłast’ Mangyszłakaska), Aleksandra Chołmiańskiego w Wyro (Estonia), Feliksa Swietowa w Moskwie, Wiktora Waltera w Czugujewkie nad brzegiem Morza Japońskiego.

Władza sowiecka nie przygląda się obojętnie przestępstwom, gdzie by nie zostały popełnione. W lutym *Prawda* zawiadomiła, że zakończył się proces w Toruniu, na którym „oskarżeni skazani zostali na różne kary” i oburzyła się na prawdziwych przestępców: zabitego księdza Popiełuszkę i polski Kościół.

Adam KRUCZEK

10 lutego 1985

Kronika niemiecka

Drógą pocztową wysłano do Polski z RFN w 1984 roku 1.418.947 paczek. Prawdopodobnie ponad milion dalszych przesyłek przewoził do PRL w ub. roku prywatne firmy spedycyjne. ■ W 1984 roku 17.500 osób narodowości niemieckiej opuściło Polskę i przesiedliło się do Republiki Federalnej (8,4 % mniej niż w roku poprzednim). ■ *Gazeta Lubuska* ubolewa nad brakiem akcentów „antgermanizmu” w działaniach polskiej opozycji, bo... „z RFN pochodzi znaczna część środków na cele podziemia”. ■ W *Kardinal-Doepfner-Haus* we Freisingu k/Monachium czynna była okazała wystawa Teresy Stankiewicz. Ekspozycja obejmowała 75 dzieł: obrazy, witraże i rysunki o charakterze sakralnym. ■ Kolońskie dzielnice Braunsfeld i Müngersdorf, dzięki inicjatywie miejscowych kół *SPD*, od dłuższego czasu zaopatrują *Zakład dla Ociemniałych* w Laskach k/Warszawy w lekarstwa, żywność, odzież i zabawki dla dzieci. ■ Przewodniczący *Związku Dziennikarzy NRD* Eberhard Heinrich i przewodniczący *Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL* Klemens Krzyżagórski podpisali protokół o „współpracy, udziale w imprezach międzynarodowych organizowanych przez oba związki oraz rozszerzeniu dwustronnej wymiany dziennikarskiej”. ■ Z dokumentacji opracowanej przez zachodniemiecką *Komisję Katolicką d/s Historii Najnowszej* wynika, że w okresie rządów Hitlera ok. 8 tys. księży i zakonników czyli jedna trzecia ogółu duszpasterzy, popadło w konflikt z reżymem nazistowskim. Z tego 418 księży trafiło do obozów koncentracyjnych, gdzie 110 zginęło, a 59 innych zostało straconych. ■ Przewodniczący frakcji *FDP (Wolni Demokraci)* w *Bundestagu*, Wolfgang Mischnick, przyjął w Bonn wicemarszałka *Sejmu PRL* Piotra Stefańskiego (*Stronictwo Demokratyczne*). Obaj politycy oświadczyli zgodnie, iż są zdania, że „mimo istniejących jeszcze trudności stosunki RFN-PRL uległy poprawie w ostatnich latach”. ■ W monachijskim *Haus der Begegnung* czynna była wystawa malarstwa olejnego, grafiki, akwareli, obrazów malowanych temperą i pasteli — Henryki Praxl i Alexandry Watin. Młode malarki są mieszkankami Monachium od kilku lat, ale obie urodziły się we Wrocławiu i tam ukończyły *Państwową Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych*. ■ Sztukę *Dante* Józefa Szajny wystawia *Opernhaus* w Essen. ■ Kilkusetosobowa grupa polskich pracowników budowlanych zatrudniona jest w miejscowości Lubmin (NRD) przy wznoszeniu elektrowni atomowej (*EA Nord*). Dziwnie to wygląda na tle udzielania przez PRL-owskich propagandystów poparcia przeciwnikom budowy siłowni atomowych w RFN i innych krajach zachodnich. ■ Nakładem *Państwowego Wydawnictwa Naukowego (PWN)* ukazała się praca Wojciecha Kotowskiego pt. *Teatry DEUTSCHE BÜHNE w Wielkopolsce i na Pomorzu w latach 1919-1939*. Książka została wydana w serii *Z badań nad kulturą mniejszości narodowych w Polsce międzywojennej*. ■ Alfred Dregger, szef frakcji *CDU/CSU* w *Bundestagu*: „Dzisiaj sprawa wolności jest ważniejsza niż sprawa granic. (...) Przesunięcie Polski na Zachód, to znaczy anektowanie przez Sowiety polskich ziem wschodnich, wysiedlenie Niemców z dawnych Niemiec Wschodnich i osiedlenie pochodzących ze Wschodu Polaków na dawnej ojcowiznie Niemców stanowi dzieło Stalina. Te przesiedlenia i wysiedlenia miały na celu zasianie wieczystej nienawiści pomiędzy Niemcami i Polakami. (...) Polityka rewanżyzmu nie leży ani

w interesie Niemców, ani Polaków. Leży ona wyłącznie w interesie imperia-
lizmu sowieckiego. Kiedy oba narody będą wolne i będą mogły decydować
o swych losach, nastąpi pojednanie między Polakami i Niemcami, jak to
miało miejsce pomiędzy Niemcami i Francuzami". ■ Axel Küstner, stu-
dent fotografii z Getyngi, został wyróżniony I nagrodą (10 tys. zł) na
Międzynarodowym Konkursie Fotograficznym Jazz Photo '84 we Wrocławiu.
Również II nagroda przypadła w udziale fotografikowi z RFN. Jest nim
Dietmar Matthias Kühne. Jury konkursu dokonało wyboru wśród 243 prac
przedstawionych przez 41 autorów z 14 krajów. ■ W trzecią rocznicę
wprowadzenia stanu wojennego w Polsce organizację polonijną — *Zjedno-
czenie Polskich Uchodźców* (bez uczestnictwa zbankrutowanej centrali w Vel-
bert), *Chrześcijańska Służba Wyzwolenia Narodów* i *Polska Partia Socjalis-
tyczna* — przeprowadziły w Dortmundzie już po raz trzeci demonstrację,
przypominającą niemieckiej opinii publicznej, że sytuacja w PRL ciągle
jeszcze daleka jest od normalizacji. W manifestacji wzięli także udział
przedstawiciele trzech partii reprezentowanych w *Radzie Miejskiej* Dortmun-
du: z *CDU* — Edgar Prochnow, z *SPD* — prof. Theodor Uhlmann, a
z *Zielonych* — Hans Huecking. Wszyscy oni, choć z różnych pozycji, wyra-
zili w swych przemówieniach solidarność z narodem polskim w jego usiło-
waniach wywalczenia w Polsce wolności i demokracji. ■ W *Ośrodku
Informacji i Kultury Polskiej* w Berlinie Wschodnim otwarto wystawę pla-
katów Franciszka Starowieyskiego. ■ Nakładem wydawnictwa *MON* uka-
zała się zbiorowa praca (red. J. Skibiński) pt. *Problemy normalizacji sto-
sunków PRL-RFN*. W książce omówiono m.in. reakcje władz RFN na
wydarzenia w Polsce w latach 1980-1982 oraz stosunek koalicji rządowej
CDU/CSU/FDP do PRL po zawieszeniu stanu wojennego. Aneks zawiera
fragmenty dokumentów dotyczących stosunków PRL-RFN. ■ W Polsce
odsetek pracujących w rolnictwie w stosunku do ogółu zawodowo czynnej
ludności wynosi 30,2 %; w NRD — 10,4 %; w RFN — 5,1 %. ■
Wychodzący w podziemi *Tygodnik Wojenny* (nr 99 z 5 grudnia 1984):
„Po odwołaniu wizyty min. Genschera w PRL ambasada RFN w Warszawie
otrzymała setki listów gratulacyjnych od obywateli polskich”. ■ W latach
1945-1984 Republika Federalna Niemiec importowała z Polski 37,3 mln ton
węgla. ■ W Düsseldorfie powstał *Instytut Kultury* — „*Tradycja i Współ-
czesność*”, który obok celów z dziedziny politycznej („walka o wolność, de-
mokrację i tolerancję”) i kulturalnej („polska emigracja polityczna, jej kul-
turowe tradycje i dorobek”) — zajmuje się również „udzielaniem pomocy
w zakresie zdrowia psychicznego w postaci poradnictwa i psychoterapii”...
Adres: Dr Henryk Olesiak, Geraer Weg 26, 4000 Düsseldorf 12. ■
Edmund Męclewski, autor ekspertyzy dla sejmowej *Komisji Spraw Zagranic-
znych (Rzeczpospolita)*: „W Polsce nie ukazuje się prasa w języku nie-
mieckim, nie istnieją szkoły niemieckie, nie odprawia się nabożeństw w ję-
zyku niemieckim — a to z bardzo prostego powodu, gdyż mniejszość ta
nie istnieje”. ■ W styczniu br. 1.585 (grudzień 1984 — 1.273) Niem-
ców opuściło Polskę i osiedliło się w RFN. Podobnie jest miesiąc w miesiąc
od wielu lat, a propagandyści reżymowi twierdzą z uporem, że Niemców w
Polsce nie ma. ■ Marek Ciesielczyk, młody filozof z *Uniwersytetu Ja-
giellońskiego*, doktoryzując się na *Uniwersytecie im. Ludwika Maksymili-
ana* w Monachium, opublikował w miesięczniku *OSTEUROPA* interesują-
jącą pracę pt. *Leszka Nowaka nie-marxistowski materializm*. Prof. Nowak
(internowany po wprowadzeniu stanu wojennego) został niedawno usunięty
ze swej katedry na *Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza* w Poznaniu. ■
Od jesieni 1984 roku działa przy *Polskim Duszpasterstwie* w Berlinie Za-
chodnim (Residenzstr. 90) szkółka dla polskich dzieci. Około 50-cioro
dzieci, objętych nauką religii — uczy się także języka polskiego. Nauka
odbywa się w czterech grupach wiekowych. Zajęcia prowadzi kwalifikowa-

ni nauczyciele. Ponadto otwarto przy *Duszpasterstwie Bibliotekę Polską*.
Tymczasem liczy ok. 1.800 tomów. Wypożyczających jest stale ok. 180
osób. ■ Nowy delegat *Wysokiego Komisarza ONZ d/s Uchodźców na
Niemcy* — René van Rooyen i jego przedstawiciel przy *Urzędzie Federal-
nym d/s Azylu* w Zirndorfie Robert Saaf, spotkali się w Monachium z czo-
łowymi przedstawicielami emigracyjnych organizacji politycznych. René van
Rooyen jest znawcą problematyki uchodźczej, pracuje w tej dziedzinie od
szeregu lat. ■ Znakomicie redagowany przez Cornelię Gerstenmaier i
Christofa Hyle kwartalnik *KONTINENT* (Bonn) obchodził jubileusz X-le-
cia. ■ Dr Ludwik Frendl, przewodniczący *Oddziału Polskiej Rady Naro-
dowej w Niemczech*, przeprowadził poufne rozmowy z dr. Herbertem Hupką,
szefem *Ziomkostwa Ślązaków*. W związku z tym *Klub PPS w Radzie Naro-
dowej* zamierza na najbliższym zebraniu odmówić dalszego poparcia dr. Frend-
lowi i będzie domagał się jego ustąpienia z przewodnictwa *Oddziału Rady*.
Frendl i Hupka uzgodnili, że nie będzie żadnych komunikatów do prasy
o spotkaniu. ■ W Opolu odbył się zjazd konstytucyjny *Stowarzyszenia
„Wisła—Odra”* („Nie możemy pozostać obojętni wobec podejmowanych
prób podważania jedności polskiego społeczeństwa w kwestii niemieck-
kiej”). Na czele *Zarządu Głównego Stowarzyszenia* stanął Edmund Męc-
lewski. ■ Według reprezentatywnej ankiety przeprowadzonej w RFN —
76 % obywateli tego kraju akceptuje granicę na Odrze i Nysie; 17 %
wypowiada się przeciwko jej uznaniu. Stosunek reszty do tego problemu
Instytut INFAS określa jako „obojętny”. ■ Dzięki inicjatywie Horsta
Sommerfelda — przewodniczącego *Zarządu Okręgowego Związków Zawo-
dowych (DGB)* w Recklinghausen zorganizowano w Starym Ratuszu w
Castrop-Rauxel (Zagłębie Ruhry) wystawę poświęconą dziejom opozycji de-
mokratycznej w Polsce. ■ *Instytut Badania Opinii Publicznej* w Allens-
bach opublikował wyniki ankiety na temat stosunku obywateli RFN do
problemu zjednoczenia Niemiec. 53 % respondentów „z radością” powita-
łoby zjednoczenie Niemiec. Tylko 26 % było przeciwnych zjednoczeniu.
W 1978 roku liczba zwolenników zjednoczenia wynosiła 38 %, a przeciwni-
ków 34 %. ■ *Nowe Drogi* skarżą się, że we Wrocławiu „nie ma pomni-
ków Mieszka I i Bolesława Chrobrego, którzy są wielkimi poprzednikami ra-
dzieckich wyzwolicieli (podkreślenie moje — A.J.Ch.) Wrocławia. W mieś-
cie tym jednak odrestaurowano pałacyk pruskiego pana Hatzfelda. Fakt
ten świadczy o nierespektowaniu przez pewne kategorie internacjonalistów
w naszym kraju polskich tytułów historycznych na przykład do Wrocławia”.
■ Zdaniem Heinricha Lummera, zachodniobermberskiego senatora odpowie-
dzialnego za sprawy wewnętrzne, Polacy („turyści po zapomogę socjalną”)
mają „nieuzasadnione przywileje w porównaniu z azylantami z innych kra-
jów”. Władze Berlina Zachodniego zamierzają zrewidować przepisy z 1966
roku, zabraniające odsyłania uchodźców z krajów wschodnioeuropejskich.
Również senator Hamburga, Rolf Lange, oświadczył, że uciekinierzy ze stat-
ków *Batory* i *Rogalin* w większości nie otrzymają azylu; „nie wiem, 80
a może 90 % nie będzie uznanych za uchodźców. Większość nie potrafi
udowodnić, iż pod względem rasowym, religijnym i politycznym jest przesła-
dowana”. *Frankfurter Allgemeine Zeitung* wyraźnie podkreśla, iż debata
nad zmianą liberalnych przepisów azylowych z 1966 roku została spowodowa-
na nieostrożną wypowiedzią kardynała Glempa, krytykującą „niskie mo-
wana” jakimi rzekomo kierują się polscy uchodźcy. ■ W Berlinie Za-
chodnim została otwarta wystawa poświęcona odbudowie i rewolucyjności pol-
skich miast na przykładzie Warszawy, Krakowa (?) i Zamościa. Organi-
zatorem wystawy jest *Comenius Club* — towarzystwo popierające rozwój
kontaktów z krajami Europy Wschodniej, *Techniczny Uniwersytet Berlina*
oraz polskie *Pracownie Konserwacji Zabytków*. ■ *Frankfurter Allgemeine
Zeitung* stwierdza w korespondencji z Bonn, iż coraz bardziej tonieją

nadzieje, że Zachód wysuła odpowiednią kwotę na tzw. kościelny fundusz dla potrzeb rolnictwa polskiego. Początkowo zapowiadane miliardowe sumy zostały ostatecznie zredukowane do 28 mln dolarów; *Europejska Wspólnota* nie wyraziła zgody na włączenie do budżetu na 1985 rok przewidywanej na ten cel kwoty 5 mln dolarów. *Konferencja Biskupów Niemiec* zamiast przewidywanych 5 mln może dostarczyć zaledwie 3 mln dolarów. ■ Na zaproszenie przewodniczącego *Fundacji Kruppa*, Bertholda Beitza, obradował w Essen *Komitet Koordynacyjny Forum PRL-RFN*. Druga tura rozmów odbyła się w Warszawie. Uczestnicy opowiedzieli się za zwołaniem *Forum PRL-RFN* przed końcem bieżącego roku w Krakowie. Ostateczne uzgodnienia zostaną podjęte w połowie roku. ■ Staraniem polskiej lekarki z Frankfurtu n/Menem — dr Krystyny Graef-Cieślak, wysłano do Polski 20-tonowy transport leków i sprzętu medycznego o wartości ok. 1 mld marek (wartość samych antybiotyków ok. 750 tys. marek). Lekarstwa są przeznaczone dla łódzkiego *Szpitala im. dr. Janusza Korczaka*, klinik dziecięcych w Warszawie i *Kurii Arcybiskupiej* w Krakowie do dalszego rozdziału. ■ Tuż przed śmiercią śp. Józef Mackiewicz został wyróżniony honorową nagrodą ukazującego się w Krakowie poza zasięgiem cenzury periodyku kulturalno-literackiego *ARKA* — „za twórczość prozatorską ze szczególnym uwzględnieniem powieści wydanych ostatnio w kraju (podziemne oficyny): *Droga do nikąd*, *Nie trzeba głośno mówić*, *Fakty*, *przyroda*, *ludzie*. ■ Na zaproszenie zwierzchnika *Kościła Ewangelickiego* Hesji, bp. Helmuta Hilda, z wizytą oficjalną w RFN przebywał kierownik *Urzędu d/s Wyznań*, minister Adam Łopatka. Towarzyszył mu ks. bp Janusz Narzyński, zwierzchnik *Kościła Ewangelicko-Augsburskiego* w PRL. *Frankfurter Allgemeine Zeitung* zwróciła uwagę na niewielkie zainteresowanie, jakie okazała dla wizyty min. Łopatki zachodniemiecka hierarchia katolicka. W rozmowach z dziennikarzami Adam Łopatka wypowiadał się niezwykle powściągliwie o stosunkach PRL-RFN i nie chciał się podzielić swoją oceną prawdopodobnych skutków toruńskiego procesu dla stosunków Kościoła z państwem. ■ Mgr Nina Kozłowska i Mamert Miż-Miszyn wydają w *Monachium Biuletyn Stalej Konferencji Muzeów i Bibliotek Polskich na Zachodzie*. ■ 1984: eksport polskich towarów do RFN — 2,8 mld marek; import — 2,4 mld marek. Oznacza to wzrost w porównaniu z 1983 roku o 27 %. ■ Prezydent RFN, Richard von Weizsaecker oświadczył, że jego kraj stoi bez zastrzeżeń na gruncie układu zawartego z Polską. Minister spraw zagranicznych RFN Hans-Dietrich Genscher: „Układy wschodnie są nienaruszalne”. Kanclerz RFN Helmut Kohl: „Zawarte układy mają moc obowiązującą; w układzie z 7 grudnia 1970 roku RFN i Polska stwierdziły, iż nienaruszalność granic i poszanowanie terytorialnej integralności i suwerenności wszystkich państw w Europie w ich obecnych granicach stanowią fundamentalny warunek pokoju”. Partie koalicji rządzącej *CDU/CSU/FDP* i opozycyjna *SPD* oświadczyły wspólnie w *Budestagu*, że układ RFN-PRL jest „wiązący również z racji politycznych, które nie mogą być ignorowane także w przyszłości przez zjednoczone Niemcy”. Odprawa udzielona ziomkostwom jest nad wyraz jednoznaczna (Hupec cofnięto natychmiast dotacje rządowe na jego organ *Der Schlesier*).

Andrzej J. CHILECKI

MNIEJSZOŚĆ NIEMIECKA W POLSCE

(ODPIS)

Norbert Gaida
Roszków 18
47-450 Krzyżanowice

Roszków, dn. 23. 10. 1984 r.

Wydział Społeczno-Administracyjny
Urzędu Wojewódzkiego
w Katowicach

PODANIE

Dot.: zarejestrowania etnicznej mniejszości Niemców w Polsce jako Stowarzyszenia Niemców.

My niżej podpisani opierając się o przepisy prawne dotyczące stowarzyszeń (rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 27. 10. 1932 „Prawo o Stowarzyszeniach” — Dz.U. nr 94, poz. 808 z późniejszymi zmianami) niniejszym zwracamy się z uprzejmą prośbą o zarejestrowanie związku etnicznej mniejszości Niemców w Polsce jako Stowarzyszenia Niemców motywując to następującymi przesłankami:

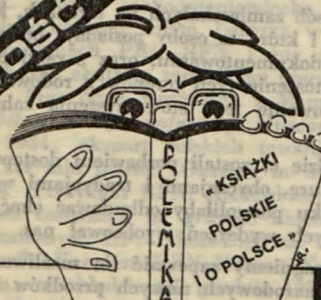
1. Z uwagi na liczne rzesze osób zamieszkałych na terenach, które stanowiły dawniej własność niemiecką i które to osoby posiadają bezsporną narodowość niemiecką — prostą w udokumentowaniu, oraz z racji ciągłej emigracji do RFN powodującej spustoszenie tych terenów z rodowitej ludności — mamy nadzieję, że funkcjonowanie tego stowarzyszenia zahamuje fale dalszych wyjazdów.
2. Przez minione 40-lecie ludzie ci zostali pozbawieni dostępu do bieżących kontaktów z językiem, kulturą, obyczajami i tradycjami własnego narodu, więc działalność tego związku pozwoliłaby odbudować choć część tych wartości, z których bieg minionych wydarzeń wyobcował nas.
3. W trosce o potomnych pragniemy zapewnić im możliwość kultywowania kultury, języka i tradycji narodowych naszych przodków i wierzymy, że działalność naszego stowarzyszenia sprosta tym celom.
4. Naszym pragnieniem jest włączenie niemieckiej etnicznej grupy narodowościowej do budownictwa socjalistycznego w Polsce oraz umacnianie braterskiej więzi i współzycia narodu niemieckiego z narodem polskim.
5. Związek ten stworzy członkom namiastkę własnej Ojczyzny, pozwoli zespolić ludzi narodowości niemieckiej i zaangażować ich do procesu normalizacji oraz spowoduje zmniejszenie grona chętnych na opuszczenie byłych terenów niemieckich celem przesiedlenia się do RFN.
6. Ponieważ zatwierdzony urzędowo statut Niemieckiego Towarzystwa Społeczno-kulturalnego w Wałbrzychu wystarcza nam na rozpoczęcie działalności, więc by nie przedłużać czasu urzędowego zatwierdzenia (jako że starania o założenie przedmiotowego Stowarzyszenia czynimy już od 1983 roku poprzez Radę Państwa, MSW i Urząd Gminy w Krzyżanowicach) więc projekt naszego statutu jest wierną kopią w/w statutu.

Zważywszy powyższą argumentację uprzejmie prosimy o zarejestrowanie Stowarzyszenia Niemców i zatwierdzenie zaprojektowanego statutu, na bazie

którego opierać się będzie działalność Stowarzyszenia tymczasem reprezentowanego przez poniższych obywateli:

l.p.	Nazwisko i imię	zamieszkały	podpis
1.	Gaida Norbert	Roszków	(podpis)
2.	Bańczyk Józef	Roszków	(podpis)
3.	Muszalik Halina	Wodzisław	(podpis)
5.	Materzok Józef	Wodzisław	(podpis)
6.	Materzok Jadwiga	Wodzisław	(podpis)
7.	Gaida Zofia	Wodzisław	(podpis)
8.	Katryniok Stefan	Roszków	(podpis)
9.	Dziedziuch Józef	Roszków	(podpis)
10.	Dziedziuch Józefa	Racibórz	(podpis)
11.	Tkotz Gabriela	Racibórz	(podpis)
12.	Kowalezyk Józef	Roszków	(podpis)
13.	Masny Piotr	Krzyżanowice	(podpis)
14.	Masny Krystyna	Krzyżanowice	(podpis)
15.	Rymer Ryszard	Roszków	(podpis)
16.	Kretek Maksymilian	Roszków	(podpis)
17.	Kupka Ottmar	Racibórz	(podpis)
18.	Kupka Ewa	Racibórz	(podpis)
19.	Studnio Lucjan	Chałupki	(podpis)
20.	Gajdeczka Konrad	Krzyżanowice	(podpis)

NOWOŚĆ



**KSIĘGARNIA
POLEMKA**
WYDAWNICTWA POLSKIE
I OBCOJĘZYCZNE NA TEMAT
POLSKI I EUROPY
WSCHODNIEJ
ANTYKWARIAT
49, RUE GAY LUSSAC
75005 PARIS
TÉLÉPHONE : 354.25.48
MÉTRO : LUXEMBOURG
AUTOBUS : 21-27 : FEUILLANTINES

**POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA**

1070 Wien, Burggasse 22
Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:
CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00
SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND
KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Sprawy i troski

INSTYTUT PIŁSUDSKIEGO POTRZEBUJE POMOCY

Zwracamy się z apelem do Polaków mieszkających w świecie, licząc na jeszcze jeden akt ich ofiarności. Chodzi o nowojorski Instytut Józefa Piłsudskiego, który dwa lata temu obchodził czterdziestolecie swego istnienia. Jego dorobek jest wielki, jak na warunki życia emigracyjnego wręcz ogromny. Dzięki bezinteresownej pracy garstki ludzi Instytut Piłsudskiego stał się drugim co do wielkości źródłem dokumentacji historii Polski za granicą, po Instytucie Hoovera w Kalifornii. Posiada, wciąż rozszerza i w miarę możliwości mikrofilmuje bogate i drogocenne zbiory archiwalne, żeby wymienić tylko archiwa samego marszałka Piłsudskiego, archiwum ministra Becka, archiwa ambasadorów Łukasiewicza i Lipskiego, archiwa marszałka Rydza Śmigłego oraz generałów Rozwadowskiego i Sosnkowskiego. Zgromadził bibliotekę liczącą dwanaście tysięcy tomów, stale powiększaną. Dysponuje kolekcjami prasy (około dwóch tysięcy tytułów gazet i periodyków przedwojennych, z okresu wojny i z lat powojennych), map, fotografii, filmów, odznaczeń wojskowych i cywilnych, znaczków pocztowych, dzieł malarstwa. Wszystko to udostępniane jest historykom i badaczom, zarówno cudzoziemskim, jak polskim z emigracji i z Kraju. Własna działalność wydawnicza Instytutu obejmuje, prócz wydawanych co roku tomów *Niepodległości*, szereg ważnych pozycji po polsku i po angielsku, takich dla przykładu jak *The Year 1920 Piłsudskiego*, *Poland in the British Parliament 1939-1945* w opracowaniu Wacława Jędrzejewicza, *Kronika życia Józefa Piłsudskiego 1867-1935*. I wreszcie w Instytucie odbywają się wykłady i odczyty, często wygłaszane przez żyjących jeszcze świadków historii.

W apelach odzywają się zazwyczaj tony uroczyste, my chcemy nasz apel sformułować najprościej. Kto w ciągu czterdziestu przeszło lat zrobił tak dużo, zasługuje by mu pomóc w trudnej chwili. A chwila jest dla Instytutu Piłsudskiego trudna. Boryka się on ostatnio z rosnącymi kłopotami finansowymi. Główną pozycję w jego budżecie stanowi koszt lokalu, koniecznego na pomieszczenie tak bogatych i wciąż rosnących zbiorów. Tego wydatku nie da się ograniczyć. Wszystkie inne zredukowane są do absolutnego minimum: wystarczy powiedzieć, że pracownicy Instytutu z prezesem na czele nie otrzymują za swą pracę wynagrodzenia (poza jedną niezbędną osobą). Jak pomóc Instytutowi? Bądź wpisując się na listę jego członków zwyczajnych ze składką 50 dolarów miesięcznie, bądź w drodze jednorazowych darów pieniężnych. Adres: Piłsudski Institute of America for Research in

the Modern History of Poland, Inc., 381 Park Avenue South, New York, N.Y. 10016.

Instytut Piłsudskiego potrzebuje pomocy. Nam, w imię szacunku dla własnej historii, w interesie jej obrony przed fałszami czy zniekształceniami, potrzebne jest dalsze, względnie spokojne i zabezpieczone, istnienie Instytutu.

DO WSZYSTKICH POLAKÓW ROZSIANYCH PO ŚWIECIE

Sytuacja medyczna w Polsce nie poprawia się. Wciąż brak leków, brak sprzętu, materiału chirurgicznego, strzykawek i igieł, brak nowoczesnej aparatury umożliwiającej diagnostykę i leczenie. Są sytuacje, wobec których polscy lekarze pozostają dziś bezradni. Są choroby, których nie można leczyć w Polsce, a które można leczyć za granicą. Są chorzy, których można uratować posyłając niedostępne w kraju lekarstwo.

Ludzie ciężko chorzy, ich lekarze, rodziny, matki chorych dzieci zwracają się do nas o pomoc. Konieczne są fundusze. Tworzymy więc Fundusz Ratunku. Nie pomożemy wszystkim, ale w niejednym wypadku może uda nam się uratować czyjeś zdrowie, czyjeś życie.

Otworzyliśmy specjalne konto i w imię solidarności ludzkiej, w imię polskiej solidarności zwracamy się do Was o pomoc.

Każdy przypadek zostanie skonsultowany i rozpatrzony przez odpowiednich lekarzy — specjalistów.

Pieniądze można wpłacać na konto zarządzane przez księdza E. Platera:

S.O.S. COORDINATION POLOGNE
39, RUE GAY-LUSSAC, 75005 PARIS.

K. Brandys, M. Chojecki, A. Holland, dr Kantor, dr T. Kołakowska, W. Kuczyński, dr J. L. Legay (Association Médicale du Soutien à Pologne), dr Ph. Magne (Médecins du Monde), dr A. Margolis-Edelman, T. Mazowiecki, ks. E. Plater, K. Prawdzic, dr P. Słonimski, K. Zachwatowicz-Wajda.

Zamieszczając te Apele Redakcja przekazuje z Funduszu Kultury sumę F. 5.000,00 na Instytut Józefa Piłsudskiego i sumę F. 10.000,00 na S.O.S. Coordination Pologne.

Kronika kulturalna

O Jugosławii, Jugosłowianach i literaturze polskiej

Wyobrażenia obywatela polskiego o Jugosławii są wyrwykowe i niespójne. Z jednej strony wie on, że Jugosławia to kraj, który przed 35 laty, jeszcze za życia Stalina, przeciwstawił się supremacji ZSSR, wystąpił z Układu Warszawskiego i usiłuje realizować własny model socjalizmu oparty na samorządzie pracowniczym. Wiadomo mu także, iż Jugosłowianie mogą swobodnie jeździć po całym świecie, wyjeżdżać na Zachód na tzw. „dorobek” i mieć paszporty na stałe w swej dyspozycji.

Z drugiej strony z krajowych i emigracyjnych mass-mediów obywatel polski dowiaduje się o nasilającym się w Jugosławii kryzysie ekonomicznym, o tocącym się obecnie procesie jugosłowiańskich intelektualistów-dysydentów, oskarżonych o usiłowanie obalenia ustroju, o starciach na tle narodowościowym.

Z sumy tych cząstkowych informacji obywatel polski odnosi wrażenie, że okres względnej wolności i dobrobytu Jugosławia ma już za sobą i niewiele już różni ją obecnie od krajów Układu Warszawskiego.

Wrażenie to jest mylne. Mimo istnienia wszystkich zarysowanych wyżej problemów Jugosławia nadal bardzo istotnie różni się od krajów realnego socjalizmu. Różnicę tę wyznacza przede wszystkim klimat jawności w życiu społeczno-politycznym, swobodny przepływ informacji i otwarta polityka kulturalno-wydawnicza.

Obywatel polski przybywający do Jugosławii jest zaskoczony, że w kiosku może kupić prasę z całego świata, że w witrynie państwowej księgarni widzi fotografię A. Sołżenicyna lub M. Kundery i może nabyć interesujące go przekłady tzw. literatury dysydenckiej. Wybór jest bardzo duży i bynajmniej nie spod lady. W Polsce nawet w okresie zielonego światła po Układach Gdańskich z literaturą tą polski czytelnik mógł zapoznać się tylko w wydaniach samizdatowych, jakże nielicznych i spóźnionych w

zestawieniu z jugosłowiańską obfitością i aktualnością, nie mówiąc już nawet o walorach technicznych.

Ten klimat jawności nie ogranicza się rzecz jasna do prasy i przekładów literatury dysydenckiej, lecz cechuje rdzenne, jugosłowiańskie penetracje, studia, dociekania i analizy, zarówno w dziedzinie ekonomii i literatury, jak też historii, filozofii bądź nauk społeczno-politycznych.

Jednak właśnie ta strona jugosłowiańskiej rzeczywistości niemal nie dociera do polskiego obywatela i czytelnika. Literatura jugosłowiańska (lub ściślej: literatury jugosłowiańskie czyli serbska, chorwacka, słoweńska, bośniacka, macedońska, czarnogórska i mniejszości narodowych) jest oczywiście w PRL przekładana i ma wielu wiernych czytelników. Nad jej uprzystępnieniem pracuje wielu znakomitych tłumaczy, którzy — gdyby to od nich zależało — ukazałoby czytelnikowi polskiemu zarówno pełny obraz literatury jugosłowiańskich, jak i klimat życia intelektualnego w Jugosławii. Ograniczenia cenzury sprawiają, iż czytelnik polski widzi obraz niepełny i wypaczony, przycięty na miarę wymogów realnego socjalizmu.

By nie być gołosłowną, sięgnę po przykłady. Czytelnik polski może zapoznać się z przekładami prozy jugosłowiańskiej, zarówno klasycznej jak i współczesnej, z bogatą tradycją serbskiego nadrealizmu, z poezją dawną i nowszą, liryczną i intelektualną, z eseistyką o problematyce humanistycznej. Może poznać to, co mieści się w kryteriach cenzury.

Natomiast wszystko co było terenem bardziej kontrowersyjnych penetracji Jugosłowian w ciągu ostatnich 35 lat — pozostaje czytelnikowi polskiemu nieznaną. A właśnie to jest najciekawsze, bo wynika ze specyfiki jugosłowiańskiej, zarówno powojennej, jak i wywodzącej się z tradycji historycznej!

Niemal wszystkie kraje Europy środkowo-wschodniej, które w wyniku Umowy Jałtańskiej znalazły się w orbicie wpływów ZSSR, związane są (z wyjątkiem Bułgarii) z tradycją Kościoła rzymsko-katolickiego bądź luteranckiego. Inaczej to wygląda w Jugosławii. Chorwaci, Słoweńcy, część Bośni związana jest z tradycją Kościoła rzymsko-katolickiego. Część Jugosłowian związana jest wtórnie (po wiekach niewoli tureckiej) z tradycją muzułmańską, najsilniejszą w Bośni i Hercegowinie. Jednak największa liczebnie część Jugosłowian (przede wszystkim Serbów, Macedończyków i Czarnogórców) wywodzi się z tradycji Bizancjum i cesaropapizmu. Znają więc tę tradycję z własnego wielowiekowego doświadczenia równie dobrze jak Rosjanie czy Bułgary, ale dzięki specyfice sytuacji jugosłowiańskiej tylko oni mogą tę tradycję jawnie penetrować. A ponieważ z tej właśnie tradycji sami się wywodzą, mają głębszą od nas świadomość, czym są bizantyzm i cesaropapizm i jaki mogą mieć wpływ na społeczeństwo i kształtowanie historii.

Zwrócił mi na to uwagę jeden z moich mądrych jugosłowiańskich kolegów, pisząc w swoim liście: „To my wiemy najlepiej, czym jest bizantyzm, bo to my mieliśmy swoich despotów”.

Na łamach prasy emigracyjnej toczy się zażarty spór o korzenie komunizmu w wydaniu bolszewickim. Zdania są podzielone. Jedni uważają, że korzeni tych należy szukać głęboko w tradycji kulturowej i religijnej Rosji (na przykład M. Kundera, gdy za Cioranem podkreśla, iż Rosja nie miała Renesansu i dlatego inaczej widzi ludzką osobę), inni natomiast związek stalinizmu z dawną Rosją kategorię negują (na przykład A. Besançon w wywiadzie z W. Karpińskim).

Głos Jugosłowian (zwłaszcza wywodzących się z tradycji bizantyńskiej) byłby w tym sporze głosem ważkim, tym bardziej, że są wśród nich badacze, którzy od wielu lat ten właśnie problem badają. Najwyższą rangę tych badań wyznacza dorobek Nikoli Miloševicia.

Ten wybitny krytyk literacki, historyk i filozof, profesor Uniwersytetu Belgradzkiego, od wielu lat zajmuje się zgłębianiem korzeni komunizmu w wydaniu bolszewickim. To jego zasadniczy temat: historia i teoria stalinizmu, wszystko co łączy się z historią i teorią władzy autokratycznej. Nieprzypadkowo jego dwutomowa praca *Co Lukács zawdzięcza Nietzschemu* ma znamienity podtytuł *Przyczynek do historii i teorii stalinizmu*. Analizuje on pod tym kątem także literaturę i filozofię, zarówno serbską jak rosyjską. Wiele studiów poświęcił filozofii rosyjskiej XIX wieku, kontrowersyjnej sylwetce N. Bierdiajewa i jego poprzednikom, słowianofilstwu, Dostojewskiemu, obłomowszczyźnie, nihilizmowi i anarchii w dziejach Rosji i ich mistycznym uwarunkowaniom, osobie Lwa Tołstoja i innym. Część tych studiów została opublikowana łącznie jako *Eseje antropologiczne*, niektóre zaś jako osobne studia, monografie lub posłowania do znaczących książek. Istotnym przyczynkiem do toczącego się sporu o korzenie komunizmu w wydaniu bolszewickim byłoby studium tego badacza, zatytułowane *Nikołaj Bierdiajew i zasada bizantyzmu*. W studium tym Nikola Milošević, śledząc rozwój poglądów filozoficznych N. Bierdiajewa, cofa się w głąb wieku XIX do Konstantego Leontiewa — poprzednika i ojca duchowego omawianego filozofa, zwłaszcza w okresie początkowym. Jako filozof K. Leontiew był tzw. „organicystą”, bardzo silnie osadzonym w tradycji bizantyzmu i cesaropapizmu. Podkreślał „cnoty” dyscypliny, bojaźni i posłuszeństwa. Zalecał przymus. Wychwalał społeczeństwo jako całościowy organizm, ściśle zhierarchizowany, w którym jednostce wyznaczał rolę „trybiku” i „śrubki”.

Jednak z całokształtu studium N. Miloševicia, mimo iż kończy się ono słowami „Pamiętaj o Bizancjum”, bynajmniej nie wynika, że korzenie stalinizmu tkwią wyłącznie w tradycji bizantyńskiej, ku czemu skłaniają się niektórzy uczestnicy toczącego się obecnie sporu. Próby takich uogólnień budzą gorący sprzeciw właśnie Serbów. By nie być gołosłowną, przytoczę cytat z otrzymanego właśnie listu od jednego z serbskich intelektualistów: „Zna Pani tekst Kundery o problemach Europy Środkowej, częściowo trafny, krzywdzący jednak Serbów przede wszystkim, gdy

mówi o narodach wyznania prawostawnego jako mniej czytanych na sprawy Europy. Otóż Jugosławia pierwsza wyrwała się z obozu Stalina, co byłoby niemożliwe bez Serbów, niekatolików przecież". Jeśli pamiętamy o prawdzie historycznej, musimy ten sprzeciw uwzględnić.

Nie jest też kwestią przypadku, że właśnie N. Milošević zainteresował się *Zniewolonym umysłem* Czesława Miłosza. Jugosłowiańskie wydanie *Zniewolonego umysłu* ukaże się niebawem w przekładzie Petara Vujičića. Posłowiem do tego wydania będzie 117-stronicowe studium N. Miloševicia, zatytułowane *Společna psychologia stalinizmu*. Studium częściowo polemiczne, gdyż zdaniem autora Czesław Miłosz przecenia rolę manipulacji w bolszewickim wydaniu komunizmu, nie doceniając jednocześnie wagi przemocy i terroru.

Aby bodaj wycinkowo przybliżyć klimat życia intelektualnego Jugosławii, chciałabym przedstawić pierwszy numer nowego jugosłowiańskiego miesięcznika *Književni Glasnik* (Kurier Literacki) z listopada 1984, gdzie został opublikowany też wywiad z Czesławem Miłoszem, który latem bież. roku był w Jugosławii.

W artykule od redakcji czytamy: „Kultura jugosłowiańska, różnorodna i bogata, stanowi część kultury europejskiej i światowej. *Književni Glasnik* zamierza prezentować zjawiska literackie o znaczeniu światowym, zamieszczać analizy literackie i społeczne, podkreślające łączność Jugosławii z tym wszystkim, co Goethe właśnie w nawiązaniu do czasopisma, określił mianem „jasnej kultury”.

W omówieniu tym ograniczę się do jednego tylko działu nowego miesięcznika, a mianowicie działu poświęconego tzw. literaturom dysydenckim. W dziale tym prezentowani są: Czesław Miłosz, Aleksander Sołżenicyn, Milan Kundera, Pavel Kohout, Andriej Siniawskij. Pisarze są przedstawieni poprzez wywiady, porównania, zestawienia porównawcze. Przykładem takiej analizy porównawczej jest szkic pod tytułem *Sołżenicyn i Kundera w Ameryce* (podtytuł: *Amerykanie czytali i stawili Sołżenicyna, póki był w swoim kraju, Kunderę zaś dopiero wówczas, gdy kraj swój opuścił*). Szkic ten napisał specjalnie dla nowego miesięcznika M. Henry Heim, profesor Wydziału Sławistyki Uniwersytetu w Los Angeles. Wiele miejsca i uwagi poświęcono także osobie Jarosława Seiferta, tegorocznego laureata literackiej nagrody Nobla, drukując m.in. wzruszający wywiad z sędziwym poetą i przekłady jego wierszy.

Ponadto redakcja nowego miesięcznika przeprowadziła interesującą ankietę, zwracając się do 20 wybitnych twórców jugosłowiańskich z pytaniem: „Co Pan(i) obecnie czyta?”. Opublikowane są odpowiedzi dwudziestu ankietowanych wraz z ich fotografiami. Podsumowanie ankiety brzmi następująco: „Uzyskane przez nas odpowiedzi wykazują, że najpoczytniejszym pisarzem w Jugosławii jest Czesław Miłosz, z którym wywiad zamieszczamy w tym numerze” (listopad 1984, nr 1).

A oto przykładowo kilka odpowiedzi:

Blaže Koneski (Macedonia) — „W ostatnim czasie czytałem z wielkim zainteresowaniem Czesława Miłosza. Przeczytałem z wielką uwagą jego *Rodzinną Europę*, *Widzenia nad Zatoką San Francisco*, *Ziemię Ulro*, powieść *Zdobycie władzy* i zbiór wierszy *Gdzie słońce wschodzi i kędy zapada*. Pisarz ten wywarł na mnie głębokie wrażenie, zarówno jako poeta, jako prozaik, jak i jako myśliciel. Jest mi bliski. Toteż czytając jego teksty, mogłem lepiej uporać się z nurtującymi mnie problemami”.

Matija Matevski (Macedonia) — „Czytam kilka książek jednocześnie, lecz wyróżniłbym spośród nich prozę Czesława Miłosza *Ziemia Ulro*. To wyjątkowo zajmująca książka, w której to, co autobiograficzne i pamiętnikarskie, wiąże się doskonale i imponująco z uwagami i analizami o charakterze eseistycznym i filozoficznym”.

Žika Pavlović (Serbia) — „Czytam *Rodzinną Europę* Czesława Miłosza. Po *Widzeniach nad Zatoką San Francisco* i *Ziemi Ulro* jest to trzecia książka prozatorska wielkiego poety, z którego dorobkiem mogłem się zapoznać. Nie ulega wątpliwości: już pierwsze strony, pozornie autobiograficzne, podsuwają odpowiedzi poprzez stawianie pytań dotyczących sensu istnienia na styku cywilizacji, relatywizując zarazem swym współczesnym sposobem myślenia problemy postawione przez Ivo Andrića w jego *Konsulach ich cesarskich mości*”.

Prezentując poszczególnych twórców z kręgu tzw. literatur dysydenckich, redakcja *Književnogo Glasnika* zamieszcza wykazy bibliograficzne ich książek przełożonych na języki jugosłowiańskie. Przy tej sposobności, w oparciu o wykaz dzieł Czesława Miłosza przełożonych w Jugosławii, chciałabym zatrzymać się nad przekładami literatury polskiej, bodaj w zarysie, choć wymaga to specjalistycznego studium.

Na osiem książek Czesława Miłosza przełożonych w Jugosławii, cztery przełożył wybitny tłumacz literatury polskiej Petar Vujičić. Są to: *Ziemia Ulro*, *Rodzinną Europę*, *Gdzie słońce wschodzi i kędy zapada*, *Ocalenie* (wybór wierszy). Pozostałe cztery pozycje przełożyli inni tłumacze, w tym każdy z nich po jednej książce. Są to: *Dolina Issy*, *Widzenia nad Zatoką San Francisco*, *Zdobycie władzy* oraz wybór wierszy w języku słoweńskim. Niebawem, także w przekładzie Petara Vujičića, ukażą się ponadto: *Zniewolony umysł* i *Hymn o Perle*. Proporcja będzie już 6 : 4 (6 pozycji — Petar Vujičić, 4 pozycje — pozostali tłumacze). Jest to proporcja symptomatyczna.

Literatura polska w Jugosławii ma długą i bogatą tradycję. W okresie przed drugą wojną światową ośrodkiem kulturyującym tę tradycję był przede wszystkim Zagrzeb. Pisarz zagrzebski Julie Benešić, doktor h.c. Uniwersytetu Jagiellońskiego, był bardzo ambitnym i płodnym tłumaczem literatury polskiej. Przełożył kilkadziesiąt pozycji prozatorskich polskiej klasyki oraz antologię poezji polskiej *Od Reja do Tuwima*. Ponadto podczas swego ośmioletniego pobytu w Warszawie w latach 1931-1938

zainicjował Bibliotekę Jugosłowiańską, prezentującą w przekładzie polskim najwybitniejsze dzieła literatury jugosłowiańskich.

Istotne, choć bez porównania mniejsze zasługi miała w tej dziedzinie także zagrzebianka, Zdenka Marković, tłumaczka m.in. Marii Konopnickiej, autorka pracy doktorskiej o Stanisławie Wyspiańskim. (Poznałam ją osobiście w Zagrzebiu, w 1972 roku, 90-letnią wówczas staruszkę o młodzieńczych, iskrzących się oczach. W jej sztambuchu, oprawionym jeszcze w Krakowie w lniane płótno z krakowską krajką, znalazłam m.in. wpisy Włodzimierza Przerwy-Tetmajera, Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego, Vlastimila Hoffmana, prof. Mariana Zdziechowskiego, Marii Dąbrowskiej i Zofii Nałkowskiej).

Po drugiej wojnie światowej w Zagrzebiu utrzymuje się to tradycyjne, sięgające czasów monarchii austro-węgierskiej zainteresowanie literaturą polską, koordynowane przez Milivoja Słavička. Istnieje ono także w Lublanie, Skopje i innych republikach, jednak centrum tego zainteresowania, promieniujące na całą Jugosławię, przeniosło się bezsprzecznie do Belgradu. Jugosławia ma wielu tłumaczy literatury polskiej, tłumaczy tej miary co na przykład Biserka Rajčić, tłumaczka *Widzeń nad Zatoką San Francisco* Czesława Miłosza, a ponadto Sławomira Mrożka, Marka Nowakowskiego, Leszka Kołakowskiego i innych, autorka ciekawych omówień i wywiadów. (W dwutygodniku *Književna Reč* z listopada 1984 ukazał się jej duży wywiad z Wiktorem Woroszyłskim, przeprowadzony z poetą w Warszawie w październiku 1984, omawiający całą drogę życiową pisarza i jego obecne poglądy).

Jednak nieprzypadkowo wspomniałam uprzednio o symptomatycznej proporcji 6:4 (Petar Vujičić — pozostali tłumacze łącznie). Wielu tłumaczy jugosłowiańskich ma bezsporne zasługi w uprzystępnieniu Jugosłowianom literatury polskiej. Jednak mimo tych zasług zarówno rzetelność jak i wymiary tego artykułu każą mi szczególnie wyróżnić i zatrzymać się dłużej przy osobie jednego spośród nich — Petara Vujičića. I to nie tylko dla ogromu jego dorobku jako tłumacza naszej literatury, lecz także dla pewnych cech, godnych nie tylko odnotowania, ale osobnej monografii. Monografia taka, którą napisze zapewne w przyszłości ktoś ze sławistów, ukaże wyraźnie i udokumentuje, w jaki sposób dzieło przekładowe i postawa jednego tłumacza potrafią wpłynąć na percepcję literatury i kształtowanie postaw intelektualnych w danym kraju, na formowanie się młodej generacji poetów, eseistów, prozaików i tłumaczy. Tak właśnie stało się w Jugosławii.

Tłumacz ten od wielu lat konsekwentnie i uparcie odmawia przyjmowania jakichkolwiek nagród i wyróżnień w uznaniu jego zasług. Zarówno krajowych jak i zagranicznych. Z odmową spotkał się zarówno warszawski PEN-Club jak i paryski Instytut Literacki, który wysoko ocenia pracę przekładową tego tłumacza i wielokrotnie usiłował wysunąć jego kandydaturę do liczących się nagród.

Dorobek Petara Vujičića jest zaiste nie lada. Od 1958 roku przełożył ponad 100 pozycji książkowych, w tym ponad 70 pozycji z literatury polskiej. Jeśli uwzględnimy, że są to pozycje takie jak *Dziennik* W. Gombrowicza (całość), *Summa technologiae* S. Lema, uprzednio wymienione dzieła Czesława Miłosza, cała niemal twórczość J. Andrzejewskiego (niektóre książki J. Andrzejewskiego ukazały się w przekładzie w Jugosławii wcześniej niż oryginały w Polsce), kilka dużych pozycji J. Iwaszkiewicza, *Faraon* B. Prusa, *Dzieje sześciu pojęć* W. Tatarkiewicza (by wymienić tylko niektóre pozycje prozatorskie), ponadto antologie, wybory i tomiki wybitnych poetów — to zdumienie ogarnia, kiedy i w jaki sposób zdołał zmieścić się w czasie.

Jednak najwyższy szacunek budzi nie tylko ilość i jakość tych pozycji przekładowych. Najgłębsze bodaj uznanie budzi postawa tego tłumacza, jego niezależność, intuicja i wiedza, które łącznie sprawiły, że żadne istotne zjawisko literackie nie umknęło jego uwadze i czytelnik jugosłowiański przez te wszystkie lata mógł śledzić życie intelektualne Polski niemal równocześnie z czytelnikiem polskim.

Poza tym książkowe pozycje przekładowe stanowią tylko część dzieła tłumacza. Na drugą, równie imponującą i ważką połowę składają się jego systematyczne (ukazujące się na łamach dwutygodnika *Književna Reč*) prezentacje najciekawszych zjawisk w literaturze polskiej, zarówno krajowej, jak i emigracyjnej. Prezentacje te mają także miejsce na łamach innych pism oraz w radio. Istotne jest także to, iż Petar Vujičić prezentuje zarówno poetów i pisarzy wybitnych i uznanych, jak również początkujących, bez wyrobionego nazwiska, jeśli wyczuwa w nich autentyczne wartości. Zdarzało się, że prezentował wybranych i wyłotwionych z polskiego czasopiśmiennictwa młodych i nieznanych poetów, odmawiając kategorycznie przełożenia wierszy poetów o wyrobionym nazwisku (przyjeżdżających nieraz na imprezy kulturalne), pomimo próśb i nacisków.

W ostatnich miesiącach Petar Vujičić zaprezentował czytelnikowi jugosłowiańskiemu zarówno esej Adama Michnika *Nienawidzę totalizmu* (poświęcony postaci Bolesława Micińskiego, opublikowany w paryskich *Zeszytach Literackich*) jak też wiersze młodego poety z Krakowa, Jana Polkowskiego, zarówno cały nowy tom wierszy Zbigniewa Herberta *Raport z obłożonego miasta* (na łamach dwutygodnika *Književna Reč*), jak też nowe wiersze młodego poety z Krakowa, Bronisława Maja (obydwu młodych poetów krakowskich zaprezentował Petar Vujičić zanim zostali laureatami Nagrody Kościelskich).

Petar Vujičić nie pomija nadarzających się sposobności, by możliwie najgłębiej wprowadzić czytelnika jugosłowiańskiego w literaturę polską. W grudniowym numerze znakomitego miesięcznika *Delo* (12, 1984), publikując esej Adama Michnika poświęcony sylwetce Bolesława Micińskiego, uważał za wskazane zaprezentowanie go łącznie z przekładem szkicu samego Boles-

ława Micińskiego *O nienawiści, okrucieństwie i abstrakcji*, co niewątpliwie pogłębi odbiór eseju Adama Michnika.

Niezależnej postawie Petara Vujičića zawdzięczamy ponadto jeszcze coś niezmiernie ważnego. Od początku swej pracy przekładowej w latach pięćdziesiątych, gdy „Kraj” i „Emigracja” były znacznie bardziej niż obecnie spolaryzowane w sensie podziału na „literaturę krajową i emigracyjną”. Petar Vujičić był tym Sprawiedliwym, który tego podziału nigdy nie uznawał i nie uwzględniał. Niepojęte to choć wzruszające, że Wielka Ambada Niepodzielnej Literatury Polskiej od tylu lat mieściła się w Belgradzie, w małym mieszkaniu tłumacza.

Zastanawiające jest także i to, w jaki sposób zdołał pogodzić w sobie pozorne sprzeczności i przeciwieństwa, przekładać i cenić poetów tak różnych jak Czesław Miłosz i Julian Przyboś, Aleksander Wat i Miron Białoszewski, Tymoteusz Karpowicz i Konstanty Gałczyński, Zbigniew Herbert i Tadeusz Różewicz, Julian Tuwim i Wisława Szymborska, Adam Ważyk i Jan Polkowski. Wyliczenie to ma charakter wywoławczy, bo przekładał też Marka Hłaske, Jana Kotta, Jana Parandowskiego, Andrzeja Kijowskiego, Elżbę Orzeszkową, Wiktora Woroszylskiego, Kornela Filipowicza, Zbigniewa Bieńkowskiego, Henryka Sienkiewicza, Sławomira Mrożka, Mieczysława Porębskiego, Aleksandra Ścibora-Ryńskiego (*Człowiek z żelaza*), Stanisława Jerzego Leca, Juliana Strykowski, by wymienić tylko niektóre z całego mnóstwa nazwisk.

Trwająca już ponad ćwierć wieku praca przekładowa Petara Vujičića i innych tłumaczy wydaje swoje owoce. Literatura polska funkcjonuje w krwioobiegu życia intelektualnego Jugosławii, wyraźnie przyczyniając się do jego kształtowania.

Joanna SALAMON

Co czytają Amerykanie?

„DOBRA WOJNA” I GRZECH OBOJĘTNOŚCI

Literatura faktu (w braku bardziej precyzyjnego określenia) dominuje w ostatnich latach na amerykańskim rynku wydawniczym i pisma specjalizujące się w recenzjach książkowych poświęcają jej coraz więcej miejsca, z ubytkiem dla beletrystyki i poezji. Nie oznacza to zmięszczenia powieści — przynajmniej w sensie kasowym. Według danych za 1984 rok, wpływy z 15 *best-seller'ów* powieściowych były wyższe o ponad 30% od wpływów z *best-seller'ów* zaliczanych do gatunku *non-fiction*. Ale próżno

na tej liście szukać pozycji stanowiącej wydarzenie artystyczne. Rekordy powodzenia pobiła sensacyjno-szpiegowska powieść Roberta Ludluma *The Aquitaine Progression* (600 tys. nakładu w twardej okładce). Niewyjaśnionym zjawiskiem była masowa popularność historycznego *thriller'a* Umberto Eco *The Name of the Rose*. Rynek księgarski w Ameryce cierpi na ksenofobię, choć co prawda mniej dotkliwą niż przed laty. Przekłady z literatury obcej bardzo rzadko osiągają znaczne nakłady.

Jedną z najpoczytniejszych książek ubiegłego roku okazał się — zupełnie niespodziewanie dla wydawców — *Rok 1984* George'a Orwella (ósme miejsce wśród powieści w miękkich okładkach). Nie potrzebował żadnej reklamy. Sama data wystarczała. Rozważania na temat jego ciemnej przepowiedni stale powtarzały się w telewizji i w pismach. Był to rok pod znakiem Orwella. Nowa adaptacja filmowa tej powieści właśnie weszła na ekrany kin w Nowym Jorku. Na seanse trzeba czekać w długiej kolejce na ulicy. Film jest tak werystycznym obrazem ostatecznego upodlenia człowieka w systemie totalitarnym, że jego wizja przysłania jeszcze bardziej, niż lektura samej książki.

Amerykański rynek wydawniczy faworyzuje biografie i autobiografie, i to zarówno wielkich artystów czy pisarzy, jak i lokalnych sław różnego autoramentu. Sukces w dowolnej dziedzinie życia publicznego automatycznie prowadzi do wydania autobiografii. Pod tym względem nie obowiązuje żadna hierarchia. Erudytę zainteresują świetne biografie T. S. Eliota, Augusta Strindberga czy Rainera Marii Rilkego, które niedawno ukazały się na półkach księgarskich. Drugi tom doskonałej i wnikliwej biografii Dostojewskiego *The Years of Upheaval, 1850-1859*, pióra Josepha Franka, profesora komparatystyki z Princeton University, otrzymał prestiżową nagrodę krytyki, National Book Circle Award, za najwybitniejszą biografię literacką wydaną w 1984 roku. Masowy czytelnik amerykański również czyta biografie. Interesuje go jednak — jak się wydaje — inny rodzaj sukcesu: historia życia, która uczy, jak zrobić karierę. Chyba tym należy tłumaczyć, że wśród 15 *best-seller'ów* księgarskich w kategorii *non-fiction* znajdują się aż cztery autobiografie współczesnych *self-made-man'ów* — w tym burmistrza Nowego Jorku i prezesa koncernu Chryslera.

Na odnotowanie zasługuje niesłabnąca popularność książki Jamesa A. Michenera *Poland*, nadal znajdująca się na liście *best-seller'ów*. W kategorii powieściowych *paperbacks* roku 1984 uplasowała się na jedenastej pozycji. Nie należy tego faktu przypisywać aż tak żywemu zainteresowaniu tematyką polską w Stanach Zjednoczonych. Michener jest jednym z najlubieńszych pisarzy tutejszego masowego odbiorcy. Produkuje jak maszyna pseudohistoryczne freski, szlachetne i ekliwosentymentalne. Dowlone wybrane fakty miesza z fikcją. Dla polskiego odbiorcy jego uproszczenia i zniekształcenia historii w *Poland* są niedopuszczalne. Wypada raczej ubolewać, że ta książka stała się dla przeciętnego czytelnika kompendium wiedzy o Polsce.

W pojęciu Europejczyka świadomość historyczna jest obca społeczeństwu amerykańskiemu. To prawda, Ameryka jest przede wszystkim zafascynowana przyszłością. Pisarzem polskim, który osiągnął tu masowe nakłady jest Stanisław Lem. Jego nazwisko jest dobrze znane miłośnikom literatury fantastyczno-naukowej. A jednak historia, i to niekoniecznie podana w formie naiwnej opowiadki, coraz bardziej pociąga masowego czytelnika. Ostatnio można zaobserwować wzmożone zainteresowanie tematyką drugiej wojny światowej. Z licznych tego typu publikacji na szersze omówienie zasługują dwie książki, wydane pod koniec ubiegłego roku: *The Good War; An Oral History of World War II* Studsa Terkla i *The Abandonment of the Jews; America and the Holocaust* Davisa S. Wymana. Obie ukazały się nakładem Pantheon Books. Pierwsza z nich, autorstwa znanego w Ameryce dziennikarza radiowego, jest adresowana do szerokiej publiczności. Druga jest szczegółowo udokumentowaną pracą naukową profesora historii, pochodzącego z rodziny protestanckich pastarów.

Terkel, chicagoski dziennikarz, od wielu lat specjalizuje się w książkach-wywiadach. Jego żywiołem są zwykli ludzie. Ich losy sumują się w doświadczenie całego pokolenia. Tytuł „Dobra wojna” nie jest ironicznym komentarzem autora. To określenie było często używane przez propagandę i przez środki informacji w Ameryce. Terkel pisze we wstępie, że wiele lat zbierał rozmowy z ludźmi, którzy przeżyli drugą wojnę światową, a postanowił je wydać, żeby utrwalić te wydarzenia w świadomości społecznej. Okazuje się bowiem, że Ameryka szybko zapomina o traumatycznych doświadczeniach, które nie tylko zmieniły losy świata, ale i jej własne oblicze. Dla młodszego pokolenia są czysto abstrakcyjną cezurą, należącą do podręczników historii. Nawet wojna wietnamska została wymazana z pamięci. Weterani obu mają swoje pomniki, ale prócz świąt narodowych rzadko się o nich wspomina.

Relacje spisane przez Terkla z taśmy magnetofonowej złożyli zarówno żołnierze jak i cywile, szeregowcy i dowódcy, inwalidzi wojenni i sanitariuszki, korespondenci z frontu i robotnicy z zakładów zbrojeniowych. Do głosów Amerykanów autor dołączył wspomnienia Japończyków, Anglików, Rosjan, Polaków, a nawet kilku Niemców. Te monologi, z rzadka tylko przerywane krótkimi pytaniami, czyta się jak dramat z udziałem kilkuset postaci. Terkel odnotowuje w nawiasach reakcje emocjonalne swoich rozmówców. Nie upiększa stylu ich wypowiedzi. Ten pamiętnik mówiony czasów wojny jest pozbawiony wszelkich ozdóbek.

Nie dla wszystkich wojna wiąże się w pamięci z tragedią i nieszczęściem. Byt najuboższych mieszkańców często uległ poprawie. Bezrobotni z lat Wielkiej Depresji znaleźli zatrudnienie w przemyśle wojennym. Kobiety usamodzielniały się i uzyskały niedostępną przedtem pozycję społeczną. Dzięki ustawie o bezpłatnych studiach dla weteranów wojennych nastąpił nie notowany awans społeczny. Towarzyszyła mu rewolucja obyczajowa.

W czasie drugiej wojny społeczeństwo amerykańskie nie zaznało głodu. Racje żywnościowe były wysokie. Jeśli czegoś brakowało, to na ogół nie mięsa czy benzyny, ale jedwabnych pończoch. Pensje poszły w górę, a państwowa kontrola cen nie dopuściła do inflacji. Spożycie artykułów konsumpcyjnych wzrosło dwukrotnie. „Nigdy jeszcze w historii konfliktów ludzkich na taką skalę nie było tyle mowy o wyrzeczeniach i tak mało autentycznych wyrzeczeń” — wspomina ekonomista John Kenneth Galbraith. To jedna strona „dobrej wojny”. Druga — to wstrząs, chaos, kalectwo i śmierć. Mieszkańców Kalifornii po ataku na Pearl Harbor ogarnęła masowa panika. W każdej chwili spodziewano się japońskich nalotów bombowych. Słowo „Jap” stało się największą obelgą. Japońscy imigranci, traktowani z ostracyzmem przez społeczeństwo, znaleźli się za drutami obozów. O ich wojennych losach społeczeństwo do niedawna prawie nie wiedziało. Japończycy amerykańscy z największą niechęcią wspominają te lata pogardy.

Młodzi chłopcy z głębokiej prowincji masowo zgłaszali się na ochotnika. O Europie mieli mgliste pojęcie. Przyspieszony kurs zabijania nie zdołał ich przygotować do spotkania z rozmiarami zniszczenia krajów okupowanych i rzezi na froncie. Dziewczęta, szybko przysposobione do roli pielęgniarek, mdlały na widok transportu rannych żołnierzy. Tym, co wyzwalali Dachau, po czterdziestu latach braknie słów na opisanie widoku ofiar.

Bohaterski patos rzadko pojawia się w opowieściach weteranów. Wielu mówi, że to nie patriotyczna gorączka, która opłamała cały kraj decydowała o morale armii, lecz przeświadczenie, że nie można zawieść kolegi. Śmierć towarzysza broni zapamiętuje się na zawsze. Lęk i zmęczenie — o tym najczęściej wspominają uczestnicy drugiej wojny. Strach czasem tak paraliżujący, że objawiał się brakiem kontroli nad czynnościami fizjologicznymi. Takie bywały okoliczności brawurowych aktów odwagi. Uczestnik desantu na plażę Normandii mówi, że niektórym żołnierzom nie wytrzymały pęcherze. Inni sztywnieli ze strachu. Odmawiano głośne modlitwy.

Jednych ciągle we snach prześladowają ich niewinne ofiary — postrzelona Japonka z dzieckiem przywiązanym na plecach, niemiecki nastolatek, a nawet pierwszy zabity żołnierz wrogiej armii. Wielu otwarcie opowiada o aktach okrucieństwa — własnych i cudzych, niepojętych, świadczących jak cienka jest warstewka cywilizacji. Żołnierze amerykańscy wydłubujący złote zęby rannym japońskim żołnierzom... Jeden z weteranów mówi, że najprzykrzejszym wspomnieniem jest dłoń trupi odór. „Kto tego nie przeżył, nie wie, czym jest wojna”.

Topniejąca grupa uczestników drugiej wojny światowej trzyma się ze sobą. Strzeże swoich pamiętek, spotyka się na rocznicowych zjazdach. Czuje się odosobniona i zapomniana przez społeczeństwo. Ale ci, co tę straszną wojnę przeżyli, nie przejawiają żadnych tendencji pacyfistycznych. Najbardziej wstrząsa-

jąca w całej książce Studsa Terkla jest relacja prostego żołnierza, który — nieświadom złowrogich skutków — brał udział w próbnym wybuchach bomby atomowej na Bikini i przez wiele lat powoli umierał na chorobę popromienną. I choć spotkał się z oburzającą znieczulicą ze strony lekarzy wojskowych, a na starość pozostał bez środków do życia, nie oskarża nikogo. Wyraża tylko zdumienie, że w końcu usiłowali go uratować japońscy specjaliści i że właśnie w Japonii zagnał troskliwej opieki.

Nawet najgorsze doświadczenia z czasów drugiej wojny nie zmieniły rozmówców Terkla w pacyfistów. Większość, świadoma i ofiary, i ceny, gotowa byłaby walczyć jeszcze raz. Bo to była „dobra wojna”, wojna sprawiedliwa, przeciw siłom Zła.

The Good War jest w tej chwili jedną z najpoczytniejszych książek na rynku wydawniczym. Natomiast *The Abandonment of Jews* — jedną z najbardziej dyskutowanych. Obojętność Ameryki i jej głównego sojusznika — Wielkiej Brytanii — na masakrę milionów Żydów w Europie nie jest gołosłownym oskarżeniem moralnym. Odpowiedzialność za *Holocaust*, jak udowadnia David Wyman, profesor historii w Amherst University, obciąża również sumienie Stanów Zjednoczonych.

Ameryka w latach 1941-1945 była krajem praktycznie niedostępnym dla uchodźców z okupowanej Europy. Departament Stanu wydał w tym czasie wizy 21 tysiącom obcokrajowców, co stanowiło zaledwie 10 % normalnie stosowanych kwot imigracyjnych. Ojczyzna imigrantów od 1938 roku stopniowo wprowadzała w życie coraz większy izolacjonizm, spowodowany między innymi krachem lat trzydziestych. Szczegółowe i wiarygodne raporty dotyczące masowej eksterminacji Żydów dotarły do Waszyngtonu już w 1942 roku (Wyman kilkakrotnie powołuje się na relacje, apele i świadectwa rządu polskiego w Londynie oraz kurierów polskich, w tym Jana Karskiego), a jednak tragiczne wieści nie zgalwanizowały rządu do działania. Prezydent Roosevelt unikał publicznych wystąpień w obronie Żydów. Jak pisze Wyman, nastroje antysemickie w latach 1941-1943 były powszechne, a w Nowym Jorku i w Bostonie doszło nawet do brutalnych ekscesów. Nienawiść do obywateli żydowskiego pochodzenia podsycał zalew antysemickiej literatury. I choć tę kampanię wrogości prowadziły nieliczne ugrupowania ekstremistyczne, to ich akcje nie spotkały się z masowym potępieniem, ponieważ, jak twierdzi Wyman, „bierny antysemityzm” był zjawiskiem masowym, uprawianym przez miliony skądinąd porządnymi obywateli. Z tego powodu opinia publiczna rzadko zabierała głos w obronie ofiar zagłady. Była zresztą niedoinformowana.

Historyk amerykański przeprowadził szczególną analizę dzienników i pism z tego okresu. Wynika z niej, że doniesienia o tragedii Żydów rzadko znajdowały się na eksponowanych miejscach. Walter Lippman, czołowy publicysta ery Roosevelta i jeden z najbardziej wpływowych dziennikarzy, nie napisał ani jednego artykułu na temat *Holocaustu*. Amerykańscy intelektualni, z nielicznymi wyjątkami, zachowali milczenie. Wstrząsający raport pol-

skiego Bundu, który dotarł do rządu amerykańskiego i brytyjskiego w maju 1942 roku, został pobieżnie omówiony na łamach dzienników w USA dopiero miesiąc później. Wiele doniesień o rozmiarach zbrodni, szczególnie z krajów Europy wschodniej, brzmiało nawet dla doświadczonych dziennikarzy zbyt niewiarygodnie. Relacja trzech więźniów zbiegłych z obozu w Chełmie z tego właśnie powodu nie została zamieszczona w żadnym piśmie amerykańskim. Nawet syjonistyczny miesięcznik wyraził wątpliwość co do prawdziwości tego świadectwa. Zagazowywanie tysięcy ludzi dziennie w ciężarówkach nie mieściło się w głowie.

Departamentowi Stanu plan systematycznej eksterminacji Żydów, opisany w raporcie, który dotarł z Genewy w sierpniu 1942 roku, wydawał się „zgoła fantastyczny”. Minęło kilka miesięcy, zanim zdołano potwierdzić przez niezależne źródła zawarte w nim fakty. Przywódca środowiska Żydów amerykańskich Stephen Wise uzyskał od wiceprezydenta Wellesa zgodę na publiczne ogłoszenie raportu dopiero pod koniec listopada. Poinformował on na konferencji prasowej, że ofiarą „kampanii eksterminacji” padło ponad dwa miliony Żydów w Europie.

Ta szokująca wieść stanowiła niewątpliwie moment zwrotny w podejściu Ameryki do tragedii Żydów europejskich. Jednak wbrew oczekiwaniom, pisze Wyman, wszelkie plany konkretnej pomocy były przedmiotem niekończących się debat. Projekt ustawy kongresowej o udzieleniu schronienia Żydom francuskim przepadł. Organizacje żydowskie w Stanach Zjednoczonych działały zrazu w odosobnieniu i nie zdołały utworzyć jednolitego frontu. Zasadniczym powodem wewnętrznych rozłamów — twierdzi autor — był konflikt wokół kwestii syjonizmu. Dopiero pod koniec 1942 roku powstał projekt powołania *Joint Emergency Committee on European Jewish Affairs*. W czasie całej wojny prezydent Roosevelt przyjął jeden jedyny raz w Białym Domu delegację przywódców Żydów amerykańskich.

W lutym 1943 roku wyłoniła się możliwość ewakuacji 70 tysięcy Żydów z Rumunii. Welles, który w imieniu Białego Domu skontaktował się w tej sprawie z brytyjskim Foreign Office, usłyszał w odpowiedzi, że oferta stanowi szantaż ze strony Bukaresztu. W rezultacie nie podjęto żadnych starań.

Organizacje żydowskie w USA nasiliły w 1943 roku kampanię na rzecz pomocy mordowanym braciom. W demonstracji „*Stop Hitler Now*” wzięło udział ponad 75 tysięcy mieszkańców Nowego Jorku. Kilka dni później żałobna akademie „*We Will Never Die*” ku czci ofiar zagłady zrobiła głębokie wrażenie na 40 tysiącach widzów. Powtórzono ją następnie w kilkunastu innych miastach. Była to — jak pisze David Wyman — jedna z najskuteczniejszych form obudzenia sumień Amerykanów. Jednakże nieliczne tylko ugrupowania żydowskie poparły tę akcję.

Naciski na Kongres nie przynosiły rezultatów. Gorkim komentarzem do tych bezowocnych najczęściej wysiłków są słowa

rabina Meyera Berlina, który w lutym 1943 roku przyjechał z Palestyny i został przyjęty na Kapitolu: „Gdyby konie były tak mordowane jak Żydzi w Polsce, już dawno rozległyby się żądania zorganizowanych akcji przeciwko takiemu bestialstwu wobec zwierząt”.

Konferencja Bermudzka, zorganizowana pod auspicjami Narodów Zjednoczonych pod presją przywódców religijnych w Wielkiej Brytanii, miała zdecydować o konkretnych akcjach ratunkowych z udziałem sojuszników i państw neutralnych. Przygotowania do niej trwały trzy miesiące. Z cytowanych przez Wymana dokumentów wynika niezbicie, że zarówno Stany Zjednoczone jak i Wielka Brytania odżegnywały się od udzielenia azylu uchodźcom. Na wniosek delegacji brytyjskiej usunięto z agendy jakiegokolwiek dyskusje dotyczące polityki Londynu wobec Palestyny. W ciągu dwunastu dni uzgodniono jedynie, że należy przeprowadzić ewakuację 5 tysięcy uchodźców żydowskich z Hiszpanii do Libii. Jedynie ok. dwa tysiące z nich doczekało się spełnienia tej obietnicy — rok później. W dniu rozpoczęcia konferencji, 19 kwietnia 1943 roku, wybuchło powstanie w getcie warszawskim. Przejmujący apel radiowy urwany na słowach „Ratujcie nas...” obiegł cały świat.

W drugiej połowie 1943 roku ugrupowania syjonistyczne w USA coraz silniej zaczęły naciskać na prezydenta Roosevelta, aby domagał się od rządu brytyjskiego nieograniczonej emigracji Żydów europejskich do Palestyny. Odpowiedzi udzielane przez Foreign Office nie pozostawiły jednak złudzeń: „Masowa ewakuacja jest wykluczona”. W krajach Bliskiego Wschodu Londyn przewidywał azyl „dla bardzo małej liczby uchodźców żydowskich”.

Dla grona urzędników amerykańskiego Departamentu Skarbu, który — jak podkreśla Wyman — miał najlepszą kartę spośród agencji rządowych w programie pomocy — takie stanowisko rządu brytyjskiego równało się z *para-delicto*, współodpowiedzialnością w winie.

Dopiero gdy zwycięstwo aliantów było już przesądzone, prezydent Roosevelt powołał 22 stycznia 1944 roku *War Refugee Board*. Wojenna Rada d/s Uchodźców działała w sumie 16 miesięcy. Zatrudniła na etatach maksimum 30 osób. Z rządowych funduszy wydała niewiele ponad pół miliona dolarów. Była finansowana głównie przez organizacje żydowskie. Jednym z jej współpracowników był Raoul Wallenberg, który uratował na Węgrzech ok. 20 tysięcy Żydów.

Pierwsza grupa uchodźców, złożona z około tysiąca osób, głównie byłych więźniów obozów koncentracyjnych, dotarła do Ameryki dopiero w sierpniu 1944 roku. Ewakuowano ich z południowych Włoch i udzielono tylko tymczasowego schronienia. Umieszczono ich w Fort Ontario na północy stanu New York i traktowano ze zdumiewającą bezwzględnością. Do końca wojny — podaje Wyman — WRB odegrała kluczową rolę w uratowaniu ok. 200 tysięcy Żydów. Ok. 15 tysięcy ewakuowano z obszaru

państw Osi. Wielu planów nigdy jednak nie urzeczywistniono, bo na przeszkodzie stanął brak współpracy z innymi agencjami rządowymi.

Historyk amerykański podejmuje w swojej książce jedną z najbardziej kontrowersyjnych kwestii: dlaczego USA odrzuciły żądania nalotów bombowych na krematoria i komory gazowe w Oświęcimiu. Apele o zbombardowanie tych instalacji — przypomina autor — ponawiał wielokrotnie rząd RP w Londynie. Ostatnia próba przekonania Departamentu Wojny miała miejsce w listopadzie 1944 roku. Do WRB dotarł wtedy pełny tekst raportu więźniów, którzy zdołali zbiec z obozu zagłady. Plan Oświęcimia, sporządzony przez innych uciekinierów, został przekazany do Waszyngtonu w lipcu 1944 roku, a fotografie Auschwitz-Birkenau, wykonane podczas lotów rekonesansowych, znajdowały się w dowództwie lotnictwa amerykańskiego we Włoszech. Wyman zbija po kolei wszystkie argumenty, na które powoływał się Departament Wojny odrzucając ten plan, a szczególnie ten, który nie zezwalał rzekomo na używanie „środków militarnych” w zniszczeniu „celów cywilnych”. W rezultacie odmowa zbombardowania największej w historii ludzkości fabryki śmierci nie znajduje w jego oczach żadnego logicznego ani wojskowego uzasadnienia.

The Abandonment of Jews zmusza do bolesnych refleksji moralnych nad skutkami inercji rządów, instytucji i jednostek. Autor powołuje się na fakty, dowody, dokumenty. Rzadko pozwala sobie na komentarz. Kończy książkę listą akcji, które można było przedsięwziąć. Jego praca stanowi wielki szok dla opinii publicznej. „Nie byliśmy stróżami naszych braci i musimy ponieść brzemień wstydu za naszą obojętność” — pisze historyk Frank Freidel.

David S. Wyman nie występuje jednak w roli oskarżyciela własnego kraju. Jego dzieło jest próbą głębokiej, naukowo udokumentowanej odpowiedzi na pytanie, jak mogło dojść do tragedii zagłady nie ze strony bezpośrednich jej sprawców, lecz bezczynnych świadków. Obojętność świata grozi stale powtórzeniem historii. Kogo dziś wzruszają losy mordowanych milionów mieszkańców Kambodży? Książka *The Abandonment of Jews* domaga się pamięci, wbrew coraz powszechniejszej amnezji, w której znikają losy państw i narodów.

Renata GORCZYŃSKA

NAGRODY FUNDACJI JURZYKOWSKICH

Nagrody Jurzykowskich za rok 1984 otrzymali: dr Henryk Urich — Anglia (z dziedziny medycyny), prof. Andrzej K. Tarkowski — Polska (biologia), prof. Dawid Shugar — Polska (biochemia — biofizyka), prof. Jerzy Łoś — Polska (matematyka), prof. Andrzej Mariusz Trautman — Polska (fizyka), prof. Adam Ulam — Stany Zjednoczone (historia), Marek Nowakowski — Polska (literatura), Henryk Tomaszewski — Polska (plastyka), Teresa Chylińska — Polska (muzyka), Andrzej Wajda — Polska (osiągnięcia kulturalne).

Nagrody Fundacji wynoszą \$ 5.000,00 każda.

WYRÓŻNIENIA POL-CUL FOUNDATION

KOMUNIKAT

W roku 1984 — czwartym roku działalności — wyróżnienia POLCUL FOUNDATION otrzymały łącznie 62 osoby, z czego:

Aktorzy	7
Dziennikarze i publicyści	7
Filmowcy	2
Poeci i pisarze	4
Pracownicy naukowcy	10
Pracownicy prasy i wydawnictw	17
Pracownicy społeczni i oświatowi	14
Prawnicy	1

Ogólna liczba osób dotychczas wyróżnionych sięga powyżej 150-ciu. Fundacja apeluje o większe dotacje i zapisy testamentowe. Umożliwią one zwiększenie ilości wyróżnień w latach następnych.

Adres Fundacji:

POLCUL FOUNDATION
P.O. Box 193,
ROSE BAY, N.S.W. 2029
Australia.

Doroczne Nagrody «Kultury»***za r. 1984***NAGRODA LITERACKA
IM. ZYGMUNTA HERTZA:
WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI

O randze pisarskiej Włodzimierza Odojewskiego decyduje język jego utworów i swoisty ich klimat. Polszczyzna autora „cyklu powieści podolskich” odcina się wyraźnie zarówno od gładkiego języka literackiego, jak i od typowej dla współczesnej literatury inwazji kolokwializmów. Według niezmiernie trafnego określenia prof. Marii Janion Odojewski przekłada romantyczną poezję XIX wieku na oryginalną prozę epicką XX wieku. Mówi się i pisze o analogiach z Faulknerem, Pasternakiem, Hemingwayem, zapominając o tym, że Odojewski, urodzony w roku 1930 i to w Poznaniu, debiutował jako zaledwie pełnoletni w 1951 roku „Wyspą ocalenia”, na szczęście dostrzeżoną i odznaczoną nagrodą im. Tadeusza Borowskiego. Już wtedy, w pierwszym rzucie powieści występuje rozkołysana, podszyta dramatem polszczyzna kresowa z wyraźnymi wpływami poetów szkoły ukraińskiej i Słowackiego. „Z powszechnej zagłady, ze 'zmierschu bogów' i świata, i z upadku ludzi — pisze Tomasz Burek — wyłania się w prozie Odojewskiego jedna wartość niezaprzeczona. Jest nią sztuka”.

Większość utworów tego pisarza mieści się, jak wykazał prof. Jerzy R. Krzyżanowski, w określonym czasie historycznym na przełomie 1943/1944 roku. Jeśli wybiega wstecz — cezura będzie wrzesień i Katyń, którego cień pada na myśli i uczynki bohaterów powieści; jeśli nawet akcja przenosi się w jakieś daty bliskie dzisiejszości, jak to się dzieje w opowiadaniu „Zapomniane, nieuśmierzone...”, pointą będą przeżycia z Podola, z owej zimy wojennej, gdy walki niemiecko-sowieckie wsparte XX-wieczną hajdamaczną przetaczały się po przestrzeni powieściowej.

Na tzw. „cykl podolski” składają się trzy wydane już książki: „Wyspa ocalenia”, „Zmierch świata” (opowiadania) i „Zasypie wszystko, zawieje...” oraz znana dotąd tylko z fragmentów powieść „Odejsć, zapomnieć, żyć”, złączona z poprzednimi ogniwa-

mi osobą Katarzyny. Losy młodej wdowy wojennej po zamordowanym w Katyniu Aleksym powracają na kartach kolejnych powieści, widziane coraz innymi oczyma, i układają się w kształty tragedii greckiej. Literatura polska nie obfituje w powieściowe kreacje kobiece. Katarzyna wybija się ponad słodkie, papierowe, ziemiańskie i wiejskie heroiny polskiego Parnasu. Dostrzegł to entuzjasta Odojewskiego — J. R. Krzyżanowski, w zestawieniu z bohaterką „The March” W. Kuniczaka w szkicu pt. „Dwie Katarzyny” (*Pamiętnik Literacki*, tom VIII, 1984).

Bibliografia Odojewskiego wylicza dwadzieścia kilka tytułów powieści, książek dla młodzieży, opowiadań i słuchowisk, wydanych w większości w kraju w latach 1950-1971. Na emigracji ukazały się dotąd zaledwie dwie książki Odojewskiego: trzecie ogniwo „cyklu podolskiego” powieść „Zasypie wszystko, zawieje...” (IL, 1973) i zbiór opowiadań pt. „Zabezpieczanie śladów” (IL, 1984). W berlińskim *Archipelagu* (1984, nr 6, str. 11) ukazało się wspomniane wyżej opowiadanie pt. „Zapomniane, nie-śmierzone”, osadzone w latach 1980-tych na Sycylii, podejmujące jednak w innej scenerii i obsadzie jeden z głównych wątków powieści podolskich. (Interesującą interpretację tego utworu dał Witold Wirpsza w post-scriptum pt. „Poczta butelkowa” w tymże numerze *Archipelagu*).

Skromnej ilości wydań emigracyjnych przeciwstawia się nie tylko wcześniejszy dorobek Odojewskiego ogłoszony w kraju przed rokiem 1971, ale także imponująca lista przekładów na języki obce. Prym wiedzie „Wyspa ocalenia” (5 przekładów), „Zmierch świata” (3), zbiór opowiadań „Kwarantanna” (3), „Miejsca nawiedzone” (3) i „Zasypie wszystko, zawieje...” (2).

Ponieważ na emigrację dotarły nieliczne egzemplarze krajowych wydań, twórczość Odojewskiego znana jest nielicznym czytelnikom. Nie uszła jednak uwagi, czego dowodem jest nagroda Fundacji im. Kościelskich, przyznana już w roku 1966 za „Zmierch świata” oraz nagroda Fundacji im. A. Jurzykowskiego z roku 1974 (za powieść „Zasypie wszystko, zawieje...”). Odojewski jest ponadto laureatem nagród *Wiadomości* i Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie przyznanych za tę samą powieść oraz nagrody Szwedzkiego Komitetu Katyńskiego (1976).

Ważnym odłamem twórczości Odojewskiego jest praca radiowa. W kraju był przez jedenaście lat czynny w Polskim Radio; śladem tego jest m.in. szereg ogłoszonych drukiem słuchowisk. Obecnie jest kierownikiem literackim Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Jego ogromną zasługą jest to, że mimo trudności postawił ten dział na doskonałym poziomie. Mieszka w Monachium.

M. Z.

NAGRODA PUBLICYSTYCZNA IM. JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO: LEOPOLD UNGER

Od przeszło piętnastu lat ukazują się w *Kulturze* artykuły na tematy polityczne i pokrewne sygnowane przez „Brukselczyka”. Od samego początku pseudonim ten był nader przejrzysty, gdyż w jednym z pierwszych swych artykułów autor wspomniał o poległym pod Monte Cassino bracie i wymienił jego nazwisko: Unger. Nieco później pewne pozycje stałej już rubryki pt. „Widziane z Brukseli” zaczęły być podpisywane imieniem i nazwiskiem autora, czyli Leopolda Ungera. Zorientowani w sprawach polskich czytelnicy wiedzieli więc prawie od razu, że chodzi tu o znanego dziennikarza, który opuścił Polskę w następstwie zorganizowanej w tzw. okresie marcowym przez Partię nagonki „antysyjonistycznej”, a osoby czytujące prasę międzynarodową wiedziały ponadto, że rezydujący od 1969 roku w Belgii Leopold Unger jest równocześnie publicystą politycznym belgijskiego *Le Soir*, francuskiego *l'Express* i amerykańskiego *International Herald Tribune*. Przy tak rozległej działalności trudno się dziwić, że „Brukselczyk” nie zawsze potrafi znaleźć czas, by swój tekst nadesłać do każdego numeru *Kultury* — przeciwnie, należy raczej podziwiać jego pracowitość i sumienność, które sprawiły, że owocem jego dotychczasowej współpracy z tym pismem jest ok. osiemdziesięciu pozycji, czyli dobrze ponad tysiąc stron druku.

W publicystyce, czy też szerzej: w pisaniu, ilość bynajmniej nie przechodzi automatycznie w jakość, więc jeśli wspominam na pierwszym miejscu o ilości, to po to, by podkreślić wspólny mianownik zarówno ilości jak i jakości tego dokonania, a mianowicie niezwykłą *pracowitość*, a także chłonność umysłową, odczytanie i „opodrózowanie” Brukselczyka, widoczne we wszystkim co pisze. Wydaje się, że wie on o wszystkim co dzieje się — i co dane zdarzenie poprzedziło — w dzisiejszym świecie, że był wszędzie i zna wszystkich. „Wszystko” i „wszędzie” jest zawsze oczywiście przesadą, ale faktem jest, że Brukselczyk poznał mnóstwo krajów i ludzi i że umie z tego zrobić dobry użytek: jego wywiady ze Zbigniewem Brzezińskim, Dżilasem, Bukowskim i innymi luminarzami współczesnej sceny politycznej, jego artykuły o Stanach Zjednoczonych, Europie — „zjednoczonej” i rozbitej na lokalne partykularze — Bliskim Wschodzie, no i *last but not least* Polsce były zawsze i są oryginalne, aktualne i przenika je to, co można by nazwać światłem zdrowego rozsądku. Chcę również powiedzieć, że zawarta w publicystyce Brukselczyka kombinacja informacji, oceny i humoru ma dobre proporcje i

działa na czytelnika odświeżająco i krzepiąco w tym sensie, że ten komentarz do raczej smutnego i niepokojącego piętnastolecia zapobiega zrezygnowanej konkluzji „cały świat zwariował!”. A ma to pierwszorzędne znaczenie dla zachowania duchowej równowagi świata, a przynajmniej tej jego części, jaką stanowią legalni i „nielegalni” czytelnicy *Kultury* — i tę funkcję publicystyka Ungeru świetnie spełniała dotychczas i — miejmy nadzieję! — będzie jeszcze spełniała długo. Gdyby nie barokowe konotacje tej formuły, zaproponowałbym jako motto ogólne dla twórczości Brukselczyka słowa pewnego figlarnego plebana z Firlejowa: „melancholikom dla rozrywki, politykom dla praktyki, idiotom dla nauki, a mądrym dla memoriału”.

M. BRŃSKI

NAGRODA PRZYJAŹNI I WSPÓŁPRACY: MIROŚLAW CHOJECKI

Mirosław Chojecki należy do tych Polaków, którzy w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych położyli największe zasługi nie tylko dla kultury, ale szerzej — dla sprawy polskiej w kraju i za granicą.

Był jednym z inicjatorów pomocy prześladowanym robotnikom natychmiast po czerwcu 1976 i członkiem założycielem KOR-u oraz jednym z założycieli i czołowym organizatorem niezależnego ruchu wydawniczego. Kierował niezależną oficyną NOWA, która wydawała niedopuszczanych przez cenzurę pisarzy krajowych i emigracyjnych. Wielokrotnie zatrzymywany przez SB, w maju 1980 aresztowany i sądzony, w grudniu tegoż roku znalazł się w Sztokholmie jako jeden z gości z kraju, zaproszonych na uroczystość wręczenia Nagrody Nobla Czesławowi Miłoszowi. Po sierpniu 1980 Mirosław Chojecki organizuje ruch wydawniczy „Solidarności”. Jesienią 1981 zostało podpisane między NOW-ą i Instytutem Literackim w Paryżu porozumienie dotyczące wydawania książek w kraju i za granicą.

Grudzień 1981 zastał Chojeckiego w Stanach Zjednoczonych, gdzie zajął się od razu pomocą uwięzionym i internowanym oraz informowaniem opinii zachodniej o sytuacji w Polsce. Chojecki odgrywa czołową rolę w organizowaniu pomocy niezależnym strukturom związkowym i wydawniczym w kraju. Jest współzałożycielem i sekretarzem Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej.

Charakter tej nagrody pozwala nam podkreślić ujmującą skromność i prostotę Mirka Chojeckiego, które zyskały mu nie tylko zasłużony szacunek, ale również serdeczną przyjaźń tylu ludzi w kraju i za granicą.

Książki

„1985”: inny zmierzch Zachodu

W 1978 roku ukazała się w Anglii książka Anthony Burgessa (autora m.in. „Mechanicznej pomarańczy” i „Mocy ciemności”), zatytułowana „1985”*. Zarówno tytuł jak i treść tego dziełka wiążą się ze sławną powieścią Orwella. Pierwsza część książki Burgessa jest polemiczną analizą orwellowskiej wizji, a część druga satyryczną utopią usytuowaną w Anglii „niedalekiej przyszłości”, czyli w roku 1985. Postacie i zdarzenia książki Burgessa stanowią rodzaj ironicznego *pendant* „1984”; nie brak tu nawet lingwistycznego aneksu („A note on Worker's English”) na temat „języka przyszłości”. W przeciwieństwie do orwellowskiej noweli, narzuconej społeczeństwu odgórnie, Burgess sugeruje inny wariant: upowszechnienie wulgarnego *small talk*’u, naszpikowanego tautologiami i gwarowymi skrótami, rozpuszczającymi każde zagadnienie w bezmyślnym banale typu „heca heca”. Jest to zgodne z całością książki, Burgess upatruje bowiem główne niebezpieczeństwo dla przyszłości Zachodu nie w tendencji totalitarnej typu mafijnego, jak w powieści Orwella, lecz w rozpętanym populizmie, niwelującym i redukującym świat do poziomu zadowolonej z siebie wegetacji, usymbolizowanej przez telewizję, piłkę nożną, piwo i muzyczkę rozrywkową. Świat — a przynajmniej Anglia — zmierza, zdaniem Burgessa, nie w kierunku sztywnego „ład”u Oceanii, lecz stacza się w anarchię i chaos; zagraża jej nie Ingsoc i Wielki Brat, lecz absurdalny syndykalizm i „Bill — Symboliczny Robotnik” z afiszów, domagający się coraz to nowych podwyżek od upaństwowionego pracodawcy, paraliżujący cały kraj strajkami i nie zważający na rosnącą inflację, bałagan i rozprzężenie ogólne. „1985” usytuowane jest nie w Strefie Powietrznej Nr 1, lecz w „TUClanii” (od decydującego o wszystkim TUC’u: *The Trade Union Congress*), której klimat charakte-

* Hutchinson Publishing Group 1978; Arrow 1980 & reprinted 1980, 1981, 1983 and 1984.

ryzuje od razu pierwsza scena burgessowej utopii — świadomy pastisz sławnego początku *Nineteen Eighty-Four*:

« Był to ostatni tydzień przed Bożym Narodzeniem, poniedziałek w południe, ciepły i deszczowy, i muzycy Zachodniego Londynu wyspiewywali, że nie ma Boga prócz Allaha: „*La illaha illa'lah. La illaha illa'lah*”.

Bev Jones przecisnął się przez wielonarodowy tłum kupujących koło ryczącego Diskobutiku, obok obwieszonych świecidełkami supermarketu i dawnego pub'u, w którym obecnie mieściło się biuro podróży specjalizujące się w wycieczkach do Mekki, ale wciąż jeszcze znane jako Al-Bulnbush, na rogu Tolpuddle Road skręcił w ulicę Męczenników Za Wiarę i znalazł się przed Wieżowcem Hogarth'a. Tutaj mieszkał, chociaż, jak myślał ponuro i z sercem podchodzącym do gardła, trudno było w to uwierzyć, patrząc na bandę wyrostków blokujących bramę. Nazywano ten postrach ulic bandami *kumina*, od przedrostka *kumi* oznaczającego w Suahili „naście” i rozszerzonego na określenie kilkunastolatków. Normalnie o tej porze powinni terroryzować swoje stołówki szkolne, ale trwał właśnie strajk nauczycieli. Z tego też powodu Bev Jones nie jadł dziś obiadu w swej kantynie. Jego córka Bessie została sama w domu; żona, Ellen, była w szpitalu. Musiał odryglować kuchnię i przyrządzić Bessie jedzenie. Trzynastoletnia i fizycznie przedwcześnie rozwinięta, była pod innymi względami nader młoda na swój wiek. Lekarze Kasy Chorych składali to na karb Yenethlii, środka zapisywanego na ułatwienie porodu i którego działanie uboczne nie zostało przewidziane. „Nie ma w tym niczyjej winy”, powiedział Dr Zazibu. „Medycyna musi się rozwijać, bracie” ».

Bev (skrót od socjalistycznego idola jego ojca, Bevina czy Bevana, sam Jones już tego nie pamięta) zostaje oczywiście pobity i obrabowany, ale w końcu dociera do swego mieszkania, bo nikt w 1985 nie jest tak szalony, by nosić przy sobie klucze: zamyka się je w małej kasie pancерnej, umieszczonej w hallu i opatrzonej zamkiem cyfrowo-literowym. Bessie oddaje się swemu ulubionemu i właściwie jedynemu zajęciu: oglądaniu „tele”. Z krótkich wiadomości, podanych w TV pomiędzy transmisją meczu futbolowego a kreskówką pt. „Spiro i Spero” Bev dowiadyduje się, że w szpitalu, w którym leży jego żona wybuchł pożar. Straż pożarna nie interweniuje, ponieważ strajkuje. „Tele” też w tym momencie gaśnie, jako że pracownicy elektrowni przyłączają się do słusznych żądań strażaków. Gdy Bev dostaje się do szpitala, ten jest już tylko stosem zgłiszcz, a jego ciężko poparzona małżonka umiera na ulicy; jej ostatnie słowa to zwrócony do męża apel: „Nie pozwól, by im to uszło na sucho!”. „Oni” — jak Bev wkrótce się przekonuje — to już właściwie cały kraj naokoło: stuprocentowo zsyndykalizowane przedsiębiorstwa państwowe (prywatny przemysł dawno już plajtnął pod ciężarem podatków i został przejęty przez rząd, którego jedynym zajęciem jest drukowanie pieniędzy na wymuszane strajkami ciągłe podwyżki płac), szkoły, których jedynym jeszcze zajęciem jest wdrażanie WE (*Worker's English*, o którym już była mowa), oraz upacyfistycznione wojsko, stanowiące twór pośredni pomiędzy

klubem dyskusyjnym a Armią Zbawienia. Policja jeszcze istnieje, ale też jest po stronie „uciskanych pracowników” i w decydujących momentach również strajkuje. Kraj trzyma się na powierzchni dzięki dolarom Arabów, którzy powoli stają się częścią pejzażu, a równocześnie załóżkiem „nowego”: pewne obszary życia „TUClanii” zaczynają *de facto* stanowić „dziedzinę Islamu”, w której nie toleruje się strajków, alkoholu i wszechrozprężenia. To „nowe” zarysowuje się wyraźnie pod koniec książki, kiedy to w toku zamieszek wokół budowy Wielkiego Meczetu naprzeciwko Westminster Abbey — jedyne miejsce, nie tkniętego Strajkiem Generalnym — jako jedyna sprawna siła w Anglii występuje paramilitarna organizacja „Wolnych Brytyjczyków”, czyli kryptomuzułmańskie bojówki, finansowane i uzbrojone (któżby jeszcze kontrolował ładunek samolotów, lądujących w Heathrow?!) przez naftowych sejków. W tym samym czasie wokół wybrzeży angielskich pojawiają się jakieś lotniskowce — również ze Wschodu, ale bardziej północnego.

Jak to się wszystko skończyło na płaszczyźnie historycznej, trudno powiedzieć, ponieważ autor powraca pod koniec książki do indywidualnych losów Bev Jones'a i przerywa opowiadanie w momencie śmierci tegoż. Losy te wyglądają mniej więcej tak: wierny wezwaniu żony bohater postanawia przeciwstawić się Systemowi i odmawia dalszego strajkowania, a ściślej: domaga się swego prawa do pracy. Gdy pomimo perswazji, namów i pogroźek upiera się przy swoim, zostaje wyrzucony ze Związku Zawodowego, a tym samym z pracy, mieszkania i w ogóle życia; córka zostaje oddana do państwowego przytułku, a Bev daje nura w londyńskie podziemie socjalne. Składa się ono z podobnych do niego wykołajeńców: artystów, nonkonformistycznych intelektualistów i w ogóle ludzi, niezdolnych do przystosowania się. Żyją oni głównie dzięki lekcjom trudnych, a całkowicie wygnanych ze szkół kunsztów, takich jak greka, łacina, matematyka *nie-stosowana*, historia, etc. Pilnymi studentami odwdzięczającymi się dobrami materialnymi i protekcją, są groźni członkowie band *kumina* — tym groźniejsi, że inteligentni i wykształceni (ich kult elitarnych wartości jest jeszcze jedną cechą ich asocjalnej, marginalnej postawy społecznej!). Bev, jako ex-nauczyciel historii (dawno już zredukowany i przeniesiony do fabryki czekoladek), daje sobie niezłe radę w tym środowisku, ale schwytany na kradzieży butelki ginu (*kumina* nie pili — zbyt wulgarnie!) dostaje się do obozu reedukacyjnego syndykalistów. Mimo dialektycznego kunsztu „wychowawcy” — odpowiednika orwellowskiego O'Brien'a w Ministerstwie Miłości — i mimo tortur fizycznych Bev trwa przy swoim postanowieniu przeciwstawiania się teorii i praktyce TUClanii. Prowizorycznie zwolniony — tak niemal, jak Winston Smith pod koniec „1984” — dostaje się ponownie w ręce przedstawicieli „woli większości” i jako niepoprawna mniejszość zostaje zamknięty bezterminowo w dobrze strzeżonym azylu psychiatrycznym. Uświadamiając sobie, że pomimo jego wysiłków „im wszystkim” wszystko uszło na sucho, burgessowy

„ostatni człowiek w Europie” rozrywa sobie na piersiach syndykalistyczną piżamę i rzuca się na otaczające zakład druty kolczaste, przez które płynie prąd wysokiego napięcia.

Przypowieść Burgessa nie jest skonstruowana zbyt starannie i jej wartość satyryczna uderza bardziej w szczegółach niż w całości, ale nie jest to rzecz błaha, gdyż stanowi ilustrację przemysłanej i nie pozbawionej argumentów polemiki z poglądem na świat Orwella. Stanowisko Burgessa streścić można następująco: wizja orwellowska jest w pewnym sensie nadmiernie optymistyczna, gdyż przypisuje ona światu zachodniemu takie zdolności do organizacji, hierarchizacji i samodyscypliny — choćby w złym! — jakich trudno się w nim dopatrzeć; chaos i *Wille zur Ohnmacht* są łatwiejsze, a zatem groźniejsze.

Podobnie jak powieść Orwella, książka Burgessa nie jest odpowiednią, tylko ostrzeżeniem w formie tragigroteski. Problem, jaki stawiają obie to pytanie, czy cywilizacja zachodnia jest zagrożona przez totalitarną centralizację władzy, czy też raczej przez populistyczną dezintegrację. Osobiście sędzę, że oba niebezpieczeństwa są realne i że w istocie są to zjawiska komplementarne: anarchia jest najprostszą drogą do totalitarnej dyktatury, ta zaś — w wypadku nagłego załamania — ma jako jedyną alternatywę chaos. Chaos i tyrania — oba zjawiska będące z natury rzeczy zaprzeczeniem cywilizacji — mogą zresztą współistnieć ze sobą w czasie: przykładem literackim może być tu „*Mała Apokalipsa*” Tadeusza Konwickiego, a przykładem nieliterackim obecna Rosja i rzeczywistość narzucona przez nią krajom ościennym.

M. BRŃSKI

Czytam (3)

Nad „*Miesiącami*” Kazimierza Brandysa

W miarę upływu czasu *Miesiące* układają się w lata, rosną w siłę, przeobrażają w *journal-fleuve* zasilany dopływami wydażeń, przecinany przerywnikami jak powieść odcinkowa albo cykl felietonów radiowych.

Czytelnicy, po szybkim przełknięciu nowego tomu, wracają do poprzednich, podejmując dyskusję, czym są właściwie *Miesiące*: zbeletryzowaną kroniką wydarzeń? autobiografią? melancholijnym filmem o dwudziestolecu? obrazem warszawskiego środowiska literackiego z aneksem w Oborach? niezaplanowanym dokumentem przejścia z Nowowiejskiej na François-Miron? Wątki rwą się, wybiegają naprzód, wracają — i w tym wahadkowym ruchu tematów *Miesiące* nasuwają analogie z *Dziennikiem* Lechonia.

Zarówno daty dzienne jak owe tytułowe *miesiące* są symbolicznymi podzielnikami. Ważne są daty kluczowe, takie jak np. ujęta w lakonicznym zdaniu: „Wiadomość o ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce. Wszystkie połączenia odcięte”, zamykająca tom drugi.

Problem różnic w recepcji tej samej książki przez poszczególnych czytelników (a nawet w zależności od okoliczności lektury przez tę samą osobę) jest od dawna przedmiotem zainteresowania teoretyków i socjologów literatury. *Miesiące* mogą być dla nich gratką, wymarzoną królikiem doświadczalnym. Czytać je można jako ciąg dalszy *Listów do pani Z.*, *Dżokera* i *Rynku* — słowem *wspomnień z teraźniejszości*, — jako obraz ewolucji z gatunku *Apologia pro vita sua* — drogi od *Kuźnicy* do *Zapisu* — wreszcie jako terapię stosowaną w niesprzyjającym „poważnej” twórczości czasie — jako pierwsze rzuty pomysłów do utworów fabularnych i scenariuszy filmowych — jako wypełnienie trzech godzin porannych wyznaczonych samemu sobie na pracę twórczą czy wreszcie jako uleganie modzie pisania dzienników intelektualnych. Od tego ostatniego powodu Brandys oddegnuje się zresztą najgorliwiej. Przeciwstawia jej własną koncepcję:

Z kilku stron doszła mnie już wiadomość, że piszę dziennik. Tak się przeważnie mówi o osobistych zapiskach, prowadzonych z dnia na dzień. Nie esej — bo temat i zasięg myślowy nie są wyznaczone. Nie fikcja, bo jakaż to fikcja bez warstwy imaginacyjnej, z autentycznymi sytuacjami i nazwiskami osób rzeczywistych. I przecież nie wspomnienie — bo opisuję tu wypadki bieżące (I, 164-165).

Nie godząc się na „dziennik”, Brandys określa *Miesiące* jako „kompozycję tworzoną z doświadczeń”. „Piszę ją... jak co? Jak powieść”. Lektura nie potwierdza tego wyznania. Jeśli nawet rozszerzonym pojęcie prozy epickiej fabularnej na „powieść” autobiograficzną opartą o własny życiorys autora — to źle się mieszczą w jej ramach partie o charakterze reportażowym, opisy miast itp. Bliżej, znacznie bliżej jesteśmy *autokreacji* — i tu warto przytoczyć wypowiedź Brandysa o Tomaszu Mannie, dotyczącą fragmentów dziennika tego pisarza ogłoszonych we *Frankfurter Allgemeine*:

Cały Tomasz Mann, od początku, wszystko czego tknął piórem jest bezprzykładnym i szczytowym osiągnięciem w dziedzinie *autokreacji*. Świadomie opracowywał i przekazywał swoją osobowość nie tylko w dziełach, ale — z niebywałą konsekwencją i skrupulatnością — również w listach, odczytach, wywiadach etc. (I, 128).

i nieco później:

Życie, literatura, sny mieszają się ze sobą i zająbiają jedno o drugie. Nie ma wielu fabuł, wszystkie istnieją od dawna, my tylko je reprodukujemy, i może nasze słowa i majaczenia, zarówno jak nasze losy, są odtwarzane z pamięci.

Męcząca w moim pisaniu jest świadomość, że przekazuję tylko część prawdy o sobie. Ale najlepszą. (I, 147).

Analogicznie oceniał swój stosunek do prawdy o sobie Lechoń. W ujętych w paragrafy członach codziennych zapisków stale figuruje „życie” — a więc bieżące zatrudnienia i wydarzenia — „literatura” — prace własne i wrażenia z lektury, „sny”, także miłe Brandysowi jako temat rozważań. Warto przytoczyć wyznanie Lechonia z 6 maja 1950:

Wcale nie trzeba ze wszystkiego spowiadać się w dzienniku — są rzeczy, które nie istnieją — nie wypowiedziane, które można gubić milczeniem... Nie ma to oczywiście nic wspólnego z kłamstwem, z okłamywaniem siebie i innych. Chodzi tu o walkę z sobą, w której bronią jest również — nie habrać się w tym, co się chce odrzucić. (*Dziennik Lechonia*, I, 233).

Najistotniejsze są jednak refleksje samego Brandysa:

Z początku sądziłem, że *Miesiące* wypełnią mi pusty okres przerwy w pisaniu. Miały być czymś w rodzaju pływającej tratwy. Nie okrętu, którym się steruje, lecz deski niesionej prądem, której można się uchwycić przed pójściem na dno (...). Nie chciałem tworzyć z siebie egzotycznego centrum, czułem, że moje przeżycia osobiste powinny być tylko jedną z warstw materiału (...). Prócz tego dała o sobie znać moja skłonność do konstruowania. Mniej więcej w połowie tekstu [z lat 1978-1979] musiałem się zastanowić, czy jednak nie piszę znowu powieści (I, 248-249).

I jeszcze — to ważne:

Pisząc *Miesiące* dowiedziałem się o granicach własnej szczerości — o tym, jak daleko sięga moja prawdomówność, a odkąd postanowiam milczeć (I, 249).

Tu już dokładnie występuje współbrzmienie z Lechońem. Problem „powieść”, „nie-powieść”, „nowy etap” czy „śmierć powieści” powraca wielokrotnie w *Miesiącach*. Najistotniejsza jest polemika Brandysa z „Odpowiedzią na ankietę” — krótkim wierszem Ważyka:

Nie czytuję powieści
powieści są nieczytelne
Wszystkie zmyślenia zubożniały
pisarze odchodzą
pozostają po nich tylko pamiętniki
na wpół zmyślone

(*Twórczość*, 1979, nr 9)

W Brandysie zagotowało się:

Ocho, to jest wyrok (...). Ja bym się mocno zastanowił nad tym, czy powieści istotnie stały się nieczytelne i czy po pisarzach zostaną tylko pamiętniki. Może to być złudzeniem krótkiego dystansu, su-

gestią formy, jaką dzisiaj chętnie przybiera proza literacka. Wszystkie zmyślenia zubożniały? Szybko powiedziane. A jeśli zmyślenia zmieniły jedynie swoje sposoby i środki, jeśli pisarze odchodząc zostawiają nadal powieści, tak, powieści, tylko o przesuniętej perspektywie narracji, powieści z autorem w miejscu bohatera (...). (II, 216).

O tym, że troska o zdefiniowanie gatunku literackiego *Miesiący* nie opuszcza Brandysa, świadczy zakończenie trzeciego tomu (1982-1984) i zawarte w nim sądy autora:

Jakkolwiek by określić gatunek literacki *Miesiący*, (ani to dziennik osobisty, ani narracja epicka, trochę jednego i trochę drugiego) podział na części jest w nich koniecznością roboczą, nieczym więcej (...). Nic się nie kończy, wszystko będzie miało swój dalszy ciąg po zakończeniu trzeciego tomu.

Journal-fleuve płynąć będzie dalej.

Dokoła Barańczaka

„Antologia poezji świadectwa i sprzeciwu 1944-1984”, wydana pod tytułem *Poeta pamięta* w Bibliotece „Pulsu” (Londyn 1984, str. 362) w opracowaniu Stanisława Barańczaka, nasuwa dalekie tylko analogie z *Pejzażem poetyckim*, o którym pisałam w części 1-iej „Czytam” (*Kultura* nr 12/447). To, co otrzymaliśmy obecnie obejmuje okres czterdziestolecia i czerpie materiały z dorobku 59 twórców (w tym 18 zmarłych). O włączeniu do antologii decydowało to, w jakim stopniu autor wiersza, nie odrywając się od ziemi, przemawia z indywidualnego punktu widzenia, wykazując „opór wobec stereotypu pojęciowego czy językowego automatyzmu”. Tym tłumaczy się dlaczego do antologii weszły wiersze, których wymowa ujawnia się dopiero w ramach ich „historycznego i biograficznego kontekstu”, a tych, jak wiadomo, nie brak. O włączeniu do antologii decydowały więc nie tylko kryteria „świadectwa i sprzeciwu”, ale także, w niektórych wypadkach, podteksty wierszy — a nadto ich poziom artystyczny. Ze względów, które tylko częściowo uznać mogą za słuszne, twórca antologii (bo taki tytuł mu przysługuje) nie uwzględnił wierszy autorów ukrytych pod pseudonimami lub anonimowych, co odbija się niekorzystnie na selekcji stanu posiadania z okresu stanu wojennego. Brak także „poezji śpiewanej”: Hemara (tak! Hemara), Jacka Kaczmarskiego i anonimów, których tak poważnie traktuje Maria Janion. Barańczak przyznaje zresztą, że jest to materiał do innej, równoległej antologii. W *Pejzażu poetyckim*, bliższym gustom czytelnika masowego, te kategorie utworów wybijają się na plan pierwszy. Autor *Czytelnika ubezwłasnowolnionego* dostrzegają przecież (co prawda nieliczne) „przykłady piosenkarskiej twórczości, które dążą do artystycznej emancypacji i potrafią wyzwolić się z pęt komercjalizmu”.

„Układ (antologii) oparty jest na chronologicznym następstwie dat urodzin autorów”, co — jak przekonałam się, maczając palce w przygotowanej przez Mieczysława Grydzewskiego antologii

Wierszy polskich wybranych — ma wiele minusów, a jeden zasadniczej wartości plus — że tak to się robi od dawna i na całym świecie. Nie jest chyba tylko kwestią przypadku, że antologię otwiera obszerny wybór wierszy Kazimierza Wierzyńskiego, szeroko uwzględniający przerażająco wprost aktualne ogniwa „Czarnego poloneza” („Moralitet o czystej grze”, „Uciekają” i in., powstałe przecież przed rokiem 1968). Pozostali skamandrycy reprezentowani są znacznie skromniej; gdyby — jak w wypadku Broniewskiego — wyłamać się z ram chronologii, znalazłyby się poetyckie dokumenty sprzeciwu takie jak „Stabat Mater” Wittlina, „Barwy narodowe” Pawlikowskiej czy „Inter arma” Wierzyńskiego (... Jeśli pieśń przetrwa, będzie niedosięga / Nad wiekiem kłeski). U Balińskiego brak mi „Sonetu do zabląkanego idealisty” zwróconego — o czym powszechnie było wiadomo — do Słonimskiego z „okresu błędów i wypaczeń” a kończącego się strofą:

*Pieśń musiał przemilczeć i przeżyć,
Żeby zdławić buntowniczy śpiew
I na śniegach swej wiary uwierzyć,
Że krata nie ma, że wolne są światy,
A te czarne w twoim oknie kraty,
To są tylko dekoracje drzew.*

W antologii ukryte są mini-antologie Wata, Ważyka, Miłosza, Herberta, Woroszyńskiego, Zagajewskiego, Krynickiego. Dla wielu korzystających z wyboru dokonanego przez Barańczaka będą to albo spotkania z niedostępnymi w warunkach emigracyjnych wierszami, albo odkrycia nowych nazwisk. Z radością stwierdziłam, że antologię kończą wiersze Antoniego Pawlaka, Bronisława Maja (to nazwisko trzeba zapamiętać) i Jana Polkowskiego, trzech najnowszych laureatów nagród Fundacji Kościelskich w Genewie, których, jak widać, nie przeoczono i nie przemilczano.

Minusem układu chronologicznego jest trudność ustalenia kolejnych etapów sprzeciwu. Tak np. z racji daty urodzenia autora „Poemat dla dorosłych” Ważyka błędnie po uprzednim zapoznaniu się z „Czarnym polonezem” Wierzyńskiego, londyńscy „młodzi” nikną w rozproszeniu, arcyskąpo zresztą pokazani. „Tren” Bogdana Czaykowskiego ma podtytuł „Na śmierć Jana Palacha”; był drukowany w *Kulturze* obok wiersza Wierzyńskiego, nasuwa interesujące porównania.

Jednak im dalej, tym lepiej. Kolejne generacje same układają się w „bloki” rówieśników: 1943-1946: Krynicki, Lipska, Zagajewski, Barańczak, Kornhauser, Szaruga i, niestety, już na tamtym świecie Wojacek; 1980-1983: Tomasz Jastrun, Pawlak, Polkowski, Maj. Tu etapy sprzeciwu rysują się wyraźnie.

Antologia jest przedsięwzięciem udanym. Jest świadectwem, że poezja stała się istotną częścią ruchu oporu.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

„Widnowa” — nowe czasopismo ukraińskie

Ukraińska publicystyka na emigracji wzbogaciła się o nowe czasopismo. Jest nim kwartalnik polityczno-społeczny *Widnowa*, czyli „Odnowa”. W pierwszym numerze czasopisma zespół redakcyjny uzasadnia potrzebę niezależnej trybuny publicystycznej przede wszystkim krańcowym kryzysem, w jakim się znalazła współczesna Ukraina. Redaktorzy *Widnowy* twierdzą, że jest to najpoważniejszy kryzys polityczno-społeczny i kulturowy od czasów stalinowskiego terroru i wielkiego głodu lat 30-tych. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat Ukraina nie ma żadnych rzeczników swych interesów narodowych. Od czasu rozbitcia ruchu praw obywatelskich przestały też istnieć niezależne ośrodki twórczej myśli politycznej. Odpowiednikiem tego stanu jest kryzys wśród Ukraińców w diasporze.

W credo redakcyjnym *Widnowy* czytamy m.in.:

„Ukraińcy przywykli do rozumowania, według którego, po każdym historycznym kryzysie, sytuacja ulegała polepszeniu i następowała epoka nowego odrodzenia. Obecnie też żyjemy nadzieją, że odrodzenie nastąpi, niezależnie od tego czy będziemy o nie walczyć czy nie. Ale taka postawa może być tragiczną pomyłką. Oczekiwany powrót mechanizmu historycznych cykli może się tym razem nie powtórzyć. Zresztą każde odrodzenie narodowe wymaga wylaniania się nowych sił społecznych i nowych elit, będących w stanie wysunąć nowe koncepcje. Koncepcje te winny opierać się na realnym pojmowaniu dziejów i krytycznym stosunku do współczesności. Winny zawierać prognozy w sensie rozmaitych wariantów rozwoju wydarzeń w przyszłości. Muszą być rezultatem analiz istniejącej rzeczywistości na Ukrainie, w ZSSR i na świecie, a także wniosków z racjonalnego i konstruktywnego dialogu z sąsiadami i ich polityczną elitą oraz owocem swobodnej i otwartej dyskusji wolnej od jakichkolwiek patriotycznych tabu. Miarą współczesnego patriotyzmu jest zdolność patrzenia prawdzie w oczy”.

Redakcja *Widnowy* widzi swą misję w dążeniu do odrodzenia ukraińskiej kultury i bogatego niegdyś politycznego myślenia. Przywracając utracone spojrzenie na konserwatywne, demokratyczne, liberalne i socjalistyczne tradycje, należy to czynić jednak z myślą twórczego rozwoju, „gdyż nawet najbardziej światłe tradycje przestają odgrywać swoją społeczną funkcję, jeśli nie wytrzymują konfrontacji ze współczesnością i tracą perspektywę przyciągającej mocy na przyszłość”.

Numer pierwszy *Widnowy* poświęcony jest nieomal wyłącznie sprawom ruchu kobiecego, a to z uwagi na stulecie Kongresu Ukrainek, odbytego w Stanisławowie z inicjatywy prekursorki emancypacji kobiet, Natalii Kobryńskiej. *Widnowa* zamieszcza wiele nieznanych już dziś artykułów Kobryńskiej, wspomina nie-

zwykłą rolę Mileny Rudnyckiej, posłanki do Sejmu Rzeczypospolitej przed drugą wojną światową. Raisa Moroz, która uczestniczyła w ruchu opozycyjnym na Ukrainie w latach 70-tych, analizuje położenie kobiet w społeczeństwie sowieckim. Numer zawiera ponadto uwagi politologa Petro Potocznyja, po jego podróży do Chin, o tamtejszych przekładach Szewczenki; esej B. Osadcuka pt. „Od tronu do wyboru” na temat udziału wybitnych kobiet w ruchach społecznych i w życiu politycznym, w którym autor zwraca uwagę na ich znikomą rolę w systemach faszystowsko-nacjonalistycznych i totalitarnych — a więc w hitleryzmie i komunizmie. W końcu numeru znajdują się materiały na temat stosunków polsko-ukraińskich. Są to tłumaczenia z polskiej prasy podziemnej, m.in. pełny tekst programu grupy „Niepodległość”.

Redaktorem naczelnym *Widnowy* jest historyk Pełeński, zastępcami: Jarosław Biliński, Bohdan Osadcuk i Petro Potocznyj. W skład zespołu redakcyjnego wchodzi zarówno przedstawiciele starszego pokolenia, jak np. Jewhen Zyblikiewicz, jak i młodszego jak np. Marta Bohaczewska-Chomiak, Dmytro Złepko czy Roksolana Sajuk. W odróżnieniu od wszystkich innych pism ukraińskich, *Widnowa* posiada wśród członków redakcji również przedstawicieli innych narodowości. Polskich pisarzy i publicystów reprezentują obecnie: Jakub Karpiński i Włodzimierz Odowski, żydowskich Borys Sznajder.

Nadane nowe wydawnicze

- ZUBERBIER (Andrzej, ks.). *Więź. Podstawowe prawdy wiary*. Str. 372 i 4 nlb. (Editions du Dialogue, Paryż 1983).
- ABLEWICZ (Jerzy, bp). *Będziecie moimi świadkami. Rekolekcje Wartykańskie 8-14. III. 1981 r.* Str. 315 i 1 nlb. (Editions du Dialogue, Paryż 1983).
- Pokój tobie, Polsko, ojczyzno moja*. Album. Str. 294 i 2 nlb. (Wyd. Nasza Rodzina, Paryż 1985).
- ŚW. TOMASZ Z AKWINU. *Suma teologiczna*, tom 27. *Sakramenty w ogóle. Chrzest. Bierzmowanie*. (3. 60 - 72). Przeł. Pius Bełch O.P. Str. 343 i 1 nlb. (Katolicki Ośrodek Wyd. „Veritas”, Londyn 1984).
- MILEWSKI (Józef). *Jak zachować zdrowie i żyć dłużej*. Str. 160 i 4 nlb. (Wyd. „Veritas”, Londyn 1984).
- BOHUN-DĄBROWSKI (Antoni). *Byłem dowódcą Brygady Świętokrzyskiej Narodowych Sił Zbrojnych. (Pamiętnik dowódcy. Świadectwa żołnierzy. Dokumenty)*. Str. 287 i 1 nlb. (Wyd. „Veritas”, Londyn 1984).
- KORABIEWICZ (Wacław). *Serce w dłoniach. Opowieść biograficzna o Walerii Sikorzynie*. Str. 146 i 2 nlb. (Wyd. „Veritas”, Londyn 1984).
- SOBOTA (Stefan M.). *Na czterech kontynentach. Opowieść o drogach życia. Rozważania lekarza*. Str. 305 i 3 nlb. (Katolicki Ośrodek Wyd. „Veritas”, Londyn 1984).

- JAN PAWEŁ II. *List apostolski SALVIFICI DOLORIS. O chrześcijańskim sensie ludzkiego cierpienia*. Str. 40. (Katolicki Ośrodek Wyd. „Veritas”, Londyn 1984).
- ŁOPIŃSKI (Maciej), MOSKWIT (Marcin), WILK (Mariusz). *Konspira. Rzecz o podziemnej Solidarności*. Str. 202 i 6 nlb. Ilustracje. (Editions Spotkania, Paryż 1984).
- POPIELUSZKO (Jerzy, ks.). *Cena miłości ojczyzny*. Str. 77 i 3 nlb. (Wyd. nie podany, Rzym, listopad 1984).
- Krytyka — kwartalnik polityczny*, nr 15. Str. 328. (Wyd. „Aneks”, Londyn 1984).
- KOZIK (Edward). *Grań*. Str. 396 i 4 nlb. (Polski Ośrodek Wydawniczy, Paryż 1984).
- WIRPSZA (Witold). *Liturgia*. Str. 89 i 3 nlb. (Wyd. „Archipelag”, Berlin 1985).
- FIKUS (Dariusz). *Foksal 81*. Str. 203 i 5 nlb. (Wyd. „Aneks”, Londyn 1984).
- WOROSZYLSKI (Wiktor). *Lustro. Dziennik internowania. Tutaj*. Str. 64. (Wyd. „Aneks”, Londyn 1984).
- ZAMOYSKI (Jan). *Powrót na mapę. Polski Komitet Narodowy w Paryżu 1914-1919*. Str. 152. (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1984).
- JABŁOŃSKI (Zygmunt). *Kwartet*. Str. 165 i 3 nlb. (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1984).
- BIENIASZ (Stanisław). *Ostry dyżur*. Str. 157 i 3 nlb. (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1984).
- ŻOCHOWSKA (Maria), ŻOCHOWSKI (Stanisław). *Nasz pamiętnik (1914-1984)*. Str. 399 i 1 nlb. (Wyd. „Brisbane”, Londyn 1984).
- Pamiętnik Literacki*, tom VIII. Str. 152. (Wyd. Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Londyn 1984).
- SZCZEPAŃSKI (Jan Józef). *Nasze nasze*. Str. 111 i 1 nlb. Ilustracje. (Wyd. „Znak”, Kraków 1984).
- ALEXANDER (W. M.). *Agentura. Państwo policyjne*. Str. 187 i 5 nlb. (Wyd. „Pogład”, Berlin 1984).
- MARCINKOWSKI (Karol). *Przedłożenia Stefana Czarnieckiego 1661/1662*. Str. 202 i 2 nlb. (Wyd. Tow. im. Romana Dmowskiego, Nr 28, Filadelfia 1984).
- Zawiedzeni — rozczarowani — zadowoleni. Pamiętniki imigrantów 1958-1981*. Str. 156. Opr. i wstęp Benedykt Heydenkorn. (Wyd. Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy, Toronto 1984).
- ZIÓŁKOWSKA (Aleksandra). *Senator Haidasz*. Str. 160. (Wyd. Century Publ. Co. Ltd., Toronto 1983).
- NOWAK (Leszek). *Ani rewolucja ani ewolucja*. Str. 230. (Wyd. „Slovo — La Parole”, Paryż, cena F. 50).
- BOLECKI (Włodzimierz). *Proza Miłozza*. (Nadbitka z „Pamiętnik Literacki” LXXV, 1984, zeszyt 2, str. 133-164).
- PELLERIN (Marc-Alfred). *Un sabre dans les nuages*. Str. 334 i 14 nlb. (Wyd. „Plon”, Paryż 1985).
- DAOUDAL (Yves). *Le rempart de la chrétienté. Brève histoire de Pologne*. Str. 134 i 2 nlb. (Wyd. Dominique Martin Morin, Grez-en-Bouère, Francja, 1984).
- DEMBIŃSKI (Paweł H.). *L'endettement de la Pologne ou les limites d'un système*. Str. 343 i 9 nlb. (Wyd. „Anthropos”, Paryż 1984, cena F. 140).
- BLUMSZTAJN (Seweryn). *Je rentre au pays*. Str. 206 i 10 nlb. (Wyd. Calmann Lévy, Paryż 1985, cena F. 70).
- BAŁUKA (Edmund). *Lettres de prison*. Str. 381 i 3 nlb. (Wyd. ACIE, Paris 1984).
- FAUTRE (Willy), DE LATTE (Guido). *Nos prisonniers du Goulag. Témoignages de victimes de l'enfer du nazisme et du Goulag*. Str. 152. (Wyd. ACES, Belgia 1980).

- PACHOLCZYK (A. G.). *The Catastrophic Universe. An Essay in the Pilosophy of Cosmology*. Str. 126 i 2 nlb. (Wyd. Pachart Publishing House, Tucson 1984).
- KOTT (Jan). *The Theater of Essence*. Str. 218 i 4 nlb. (Wyd. Northwestern University Press, Evanston 1984).
- SIMONOW (Michael). *Unofficial War Artist*. Str. 112. Z. Ruszkowski. (Wyd. „Mechanick Exercises”, Londyn 1985).
- KOWALIK (Jan). *Sources on Polish American History in Northern California*. Str. 16. (Wyd. American-Polish Documentation Studio, San Jose, Kalifornia 1984).
- GŁOWACKI (Janusz). *Give Us this Day*. Przekład Konrad Brodziński. Str. 121 i 1 nlb. (Wyd. St. Martin's/Marek, Nowy Jork 1984).
- Cross Currents — A Yearbook of Central European Culture. Nr 3. Edit. by Ladislav Matejka and Benjamin Stolz. (Wyd. University of Michigan, Ann Arbor 1984).
- PODGORECKI (Adam). *The Conundrums of Si-Tien*. Str. 31 i 1 nlb. (Wyd. Poets' and Painters' Press, Londyn 1984).
- PODGORECKI (Adam). *The Cameos of Si-Tien*. Str. 32. (Wyd. nie podany, Ottawa 1984).
- Poetry Wales*. Vol. 20 nr 2. (Wyd. Poetry Wales Press, 1984).
- New Soil — Old Roots. The Ukrainian Experience in Canada*. Str. 334 i 4 nlb. Edited by Jaroslav Rozumnyj. (Wyd. Ukrainian Academy of Arts and Sciences in Canada, Winnipeg 1983).
- ZIOLKOWSKA (Aleksandra). *Dreams and Reality — Polish Canadian Identities*. Przekład Wojtek Stelmaszyński. Str. 338. (Wyd. Adam Mickiewicz Foundation in Canada, Toronto 1984).
- KOWALIK (Jan). *World Index of Polish Periodicals Published Outside of Poland Since September 1939*. Vol. 5, part 1. Str. 161 i 3 nlb. (Wyd. American-Polish Documentation Studio, San Jose, Kalifornia 1984).
- KOWALIK (Jan). *World Index of Polish Periodicals Published Outside of Poland Since September 1939*. Vol. 5, part 2. Str. 274 i 3 nlb. (Wyd. American-Polish Documentation Studio, San Jose, Kalifornia 1984).
- MORAWSKI (Dominik). *La questione afgana vista dall'opinione indipendente est-europea*. Str. 6. (Nadbitka z „Affari Esteri”, nr 65/1985, Rzym).
- HENCKE (Andor). *Erinnerungen als deutscher Konsul in Kiew in den Jahren 1933-1936*. (Varia nr 12, str. 72, wyd. Ukrainische Freie Universität, Monachium 1979).
- SONEWYCKYJ (Ihor). *Artem Wedel i joho muzyczna spadszczyna*. Str. 177 i 3 nlb. (Wyd. Ukrajinska Wilna Akademia Nauk w USA, Nowy Jork 1966).
- SONEWYCKYJ (Leonid). *Studii z istoriji Ukrainy*. (Zapysky Naukoho Towarystwa im. Szewczenka, T. 202). Str. 311 i 1 nlb. (Wyd. Naukowe Towarystwo im. Szewczenka, Nowy Jork 1982).
- KACZUROWSKYJ (Ihor). *Fonika*. (Seria: *Pidrucznyky* cz. 7). Str. 207 i 1 nlb. (Wyd. Ukrajinskyj Wilnyj Uniwersytet, Monachium 1984).
- DEM KOWY CZ - DOBRJANSKYJ (Mychajło). *Ukrajinsko-polski stosunki u XIX storoczzi*. (Seria: *Monohrafii*, cz. 13). Str. 114 i 6 nlb. (Wyd. Ukrajinskyj Wilnyj Uniwersytet, Monachium 1969).
- PREISNER (Rio). *Czeska existence*. Str. 287 i 9 nlb. (Wyd. „Rozmuvy”, Londyn 1984).
- Hryhorij Savycz Skovoroda (1722-1794). Seria: *Monohrafii*, cz. 22. (Wyd. Ukrainische Freie Universität, Monachium 1975).
- DOMINIKA (Ewa). *Testimonio de Solidaridad*. Str. nlb. (Wyd. „EWART”, Buenos Aires).
- CHREPTOWICZ-BUTENEWA (O. A.). *Perełom (1939-1942)*. (Wsiarossijskaja Memuarnaja Biblioteka, seria *Nasze Niedawnieje*, 3). Str. 228 i 4 nlb. (Wyd. YMCA-PRESS, Paryż 1984).

Reportaże

Bałkański "tour d'horizon"

„Żaden Europejczyk spoza 'kurtyny' nie uważa się wszakże za członka jakiegos tam paktu warszawskiego, lecz za mimowolnego poddanego Wschodniego Imperium”.

Stefan Kisielewski: *Życie na niby czyli opcja obojętna**.

Już dawno planowałem ponowną podróż na Bałkany. Byłem tu przed laty, gdy Jugosławia, Bułgaria i Rumunia były monarchiami, a nie całkiem bałkańskimi Węgrami rządził regent-admirał bez morza, bez floty i bez ugruntowanej polityki. Teraz chciałem przyjrzeć się obecnym demokracjom ludowym.

Z doświadczenia wiem, że w państwach komunistycznych pokazują przybyszowi z Zachodu tylko to, co uważają za stosowne do wywarcia na nim jak najlepszego wrażenia. Jednak nie można każdego mieć na oku. Tym razem więc zorganizowałem sobie listownie i przez przyjaciół pewne kontakty z ludźmi, z którymi miałem nadzieję spotkać się dyskretnie, aby uzyskać swego rodzaju potwierdzenie wniosków wyciągniętych z moich obserwacji. Zdawałem sobie sprawę, że będę w społeczeństwach zamkniętych, że nie wszystko będę mógł oglądać ani każdego wciągnąć w rozmowę.

Z wyłączeniem Jugosławii niektóre obserwacje można sprowadzić do wspólnych mianowników. I tak: miejscami subtelne lecz często też brutalne podkreślanie przez Związek Sowiecki, że to on jest tu suwerenem i niech o tym nie zapominają mieszkańcy podbitych krajów — niedawni wrogowie Rosji i aktywni

* *Kultura* nr 4/427, 1983.

sprzymierzeńcy Hitlera w czasie Wielkiej Patriotycznej Wojny. Ten efekt osiąga się przez wypróbowany w ZSSR system permanentnych sloganów politycznych jak: „przyjaźń”, „braterstwo”, „wyzwolenie” i inne komunały oraz publikowane w prasie artykuły i wzmianki, mające na celu podkreślenie, że zarówno ekonomia jak i polityka wewnętrzna czy zagraniczna są funkcją interesów „obozu socjalistycznego”.

Kamienne i metalowe pomniki sowieckiej dominacji są — chyba nikt nie wątpi że z rozmysłem — rozmieszczone w strategicznych punktach miast i arterii drogowych, aby przypominać podbitym, kto tu jest panem.

Następnym wspólnym mianownikiem — i tu można włączyć Jugosławię — są prawie puste kościoły. Może ludzie modlą się potajemnie, jak pierwsi chrześcijanie w Rzymie — ale faktem jest, że zwiedziłem kilkanaście cerkwi, katolickich kościołów i meczetów, także w niedziele, i nawet w katolickich Węgrzech stwierdziłem obecność zaledwie kilku, rzadziej kilkunastu wierznych, przeważnie starszych kobiet z chustkami na głowie lub w czarnych sukniach. Ponadto na drzwiach wielu świątyń widziałem afisze zapowiadające koncert jakiejś orkiestry kameralnej, gościnnego chóru ze stolicy czy finału konkursu szachowego.

W jednym mieście, w Macedonii, widziałem skrzydło meczetu przerobione na trzy sklepy. Pytałem o to moich rozmówców, indagowałem ludzi w samych świątyniach, aby otrzymać odpowiedź wymijającą lub smutne potwierdzenie, że religijność wśród młodzieży zanika zarówno w miastach jak i po wsiach.

Rzecz jasna, półwysep Bałkański nie uniknął szpetnej choroby urbanistycznej drugiej połowy XX wieku: wielopiętrowców mieszkaniowych, prefabrykowanych „apartamentów” dla niezamierzonych, jakie można obecnie oglądać od Malagi do Mukdenu, od Tokio do Taszkientu.

Jugosławia

Jakiś mędrzek w ministerstwie turystyki wymyślił takie *dictum*: Jugosławia to siedem narodów, sześć republik, trzy religie, dwa alfabety i jeden szef (i.e. Tito). Odtąd ta banalna formułka reklamowa jest na ustach każdego Jugosłowianina w rozmowie z cudzoziemcem. O odrębnych drogach do swego socjalizmu niechętnie rozmawiają, bo wiedzą najlepiej, jak sprawy stoją — czy leżą. Faktem jest, że w żadnej z republik demokratycznych na Bałkanach, ani nawet w samej Moskwie, nie widziałem tyłu czerwonych gwiazd co właśnie w tej byłej *królestwie*: na każdym numerze samochodowym, na tramwajach, na czapkach

policjantów i przed wejściem do urzędów. Jednak mimo — czy wbrew — tym czerwonym gwiazdom ustrój tutejszy jest daleki od doskonałości przypisywanej mu przez centralę, która obecnie co sześć miesięcy zmienia prezydenta w nadziei, że w końcu natrafi na drugiego Titę lub kogoś o zbliżonym kalibrze.

Jednak na razie nie jest tak różowo. Chwilowy czy chroniczny kryzys w budownictwie mieszkaniowym szczególnie daje się we znaki: powoduje zatłoczenie, bywa że i siedem osób gnieździ się w dwóch izbach i długie lata czeka na przydzielone lub już zadatkowane mieszkanie. Za łapówkę można to załatwić prędzej. To samo z kupnem dobrego, zagranicznego samochodu, z przyspieszoną licencją na prywatny warsztat usługowy, z pozwoleniem na samodzielną budowę domu. Kto smaruje, ten jedzie.

I z tą federacją też nie jest idealnie. Kroat uważa się za intelektualistę w zestawieniu z „Serbem-prostakiem”, zaś Serb pogardza Kroatami i przyrównuje ich do tchórzliwych kombinatorów. A Słowenia, najbardziej uprzemysłowiona republika w federacji, po cichu marzy o samodzielności.

Jednak odmienna droga do socjalizmu okazała się realna po buncie albańskim w Kosowie w 1981. Około dwa tysiące zabitych, siedem miesięcy krwawych walk. Ale po stłumieniu rebelii warunki dla zbuntowanych poprawiły się — więcej domów, język albański w szkołach i inne ulgi. Czy można sobie wyobrazić taki bunt mniejszości i taki rezultat np. w ZSSR?

Potrzeby konsumpcyjne zachodniego stylu trudno jakoś pogodzić z kiepskim standardem każdego tutejszego hotelu turystycznego i prymitywnych *autocamp*’ów. Owszem, taniej niż w Paryżu lub we Wiedniu — ale też usługi są proporcjonalne do cen. Costa Adriatica to wciąż jeszcze nie Costa del Sol.

Wyliczyłem sporo wad tego kraju. Są też wielkie zalety. Niezależność polityczna odbija się w otwartości poglądów szarego człowieka, w jego odważnym, acz czasem przesadnym krytykowaniu tych, którzy nim rządzą; w czytaniu przez inteligencję publikacji zachodnich dostępnych tu bez trudności; w swobodzie wyjazdów zagranicznych (za kaucją pieniężną). Nawet w popularnym obecnie dążeniu do nauki języków obcych — przede wszystkim angielskiego i niemieckiego.

Bułgaria

Pierwsze wrażenia są ważne.

Po przekroczeniu granicy turecko-bułgarskiej wita mnie wielka tablica na betonowym postumencie z napisem cyrylicą. *Družba*

NRB - ZSSR: podmurowana przyjaźń między Bułgarską Republiką Ludową i Związkiem Sowieckim.

Biurokracja graniczna jest sprawna, acz powolna. Spojrzenia uzbrojonych, przysadzistych osobników w mundurach — obojętne. Wyraźna rezerwa, prawdopodobnie wystudiowana. Bułgaria otworzyła swe granice dla turystów stosunkowo niedawno. Jednak *Balkanturist* już zdążył nauczyć się od pobratymczego *Inturista*, jak doić twardą walutę z podróżnika zachodniego.

Dojeżdżamy do Płowdiwu, jednego z najstarszych miast w Europie; przypisuje sobie sześć tysięcy lat historii i miejscami tak też wygląda: jak lekko doprawiony eksponat archeologiczny. Nie widać objawów życia w tym pseudoromantycznym „bułgarskim baroku”, w zaułkach z kocimi łbami, z wystającymi jak balkony górnymi piętrami, ze schodami-uliczkami tak wąskimi, że niemal uwierają pod pachami i krzyżują się pod niemożliwymi kątami. Oczywiście o ruchu kołowym nie można tu myśleć, a wąskie trotuary są prawie puste. Z jednego z okien nagle rozlega się niezłe wykonany marsz Szopena. Po sprawdzeniu widzę, że w tej podgipsowanej pół-ruderze mieści się jeden z wydziałów konserwatorium muzycznego. Drobiazg — lecz przecież wypada zanotować „polonik”, jedyny na jaki się tu natknąłem.

Natomiast tak zwane nowe dzielnice Płowdiwu to wspomniane już kompleksy monotonnych, przygnębiających bloków mieszkalnych, wiele jeszcze w trakcie wykańczania a już zamieszkałych.

Nie lepiej wyglądają ulice w tych „nowoczesnych” dzielnicach. Jezdnie brukowane lub asfaltowane, miejscami wymagające nagłej naprawy. Szyby wystawowe niemyte od tygodni: sklepy, magazyny mebli, biura i banki — bez ambicji architektury wnętrza. To już nawet nie funkcjonalizm, ale po prostu bałagan, nieład, w najlepszym wypadku apatyczne niedbalstwo.

Nic dziwnego, że w takim otoczeniu ludzie tak mało się uśmiechają, choć i to się zdarza. Pamiętam Bułgarów jako ospałych lecz pogodnych ludzi łagodnego charakteru, bez skłonności do zasepienia, jakie widzę teraz na wielu obliczach. Spojrzenia mniej zaciekawione i bardziej podejrzliwe. Ale to prowincja. Jutro wyruszam w kierunku stolicy.



Droga jest dobrze utrzymana, gładka, może dlatego że ruch samochodowy niewielki. Bułgaria jest słabo zmotoryzowana i w przeciwieństwie do Węgier, Rumunii i Jugosławii nie produkuje samochodów. (Szyszki partyjne paradują w czarnych Wołgach z tymi osobliwymi firankami w oknach). Po obu stronach

szosy widać wzorowo zagospodarowane państwowe farmy — jedna z podstaw dobrobytu tego kraju, którego standard życia jest drugi po Węgierskiej Republice Ludowej. Z grubsza, tylko połowa ludności Bułgarii żyje w miastach. Z daleka widać irygacyjne wieże ciśnień, dziesiątki szklanych dachów inspektów i małe, schludnie wyglądające domki. Tam chyba będą te skromne działki indywidualne, dozwolone dla pracowników sowchozów we wszystkich bałkańskich demokracjach ludowych pod warunkiem ścisłej kontroli cen i specjalnego podatku dochodowego.

Widziałem już dwa *Korekomy*, odpowiedniki sowieckich *Bieriozek* czyli punktów sprzedaży dobrego towaru, także zagranicznego, lecz tylko za twardą walutę, najchętniej za dolary. Szesnaście *Korekomów* wlicza oficjalny przewodnik po Sofii — dużo jak na jednomilionowe miasto. Tenże przewodnik pod nagłówkiem: pomniki kultury i historii wymienia Monument Sowieckiej Armii oraz pomnik W. I. Lenina na placu jego imienia, skąd ciągnie się długa aleja też pod jego wezwaniem — jak mówią Anglicy: *clear and loud*. Obejrzałem sobie te pomniki: są typowo socrealistyczne, czyli przygniatają ponadnaturalną wielkością. Jakby to nie wystarczało, jest też aleja Bułgarsko-Sowieckiej Przyjaźni i szeroka ulica Marszałka Tołbuchina oraz szereg arterii i placów z nazwiskami generałów, co do których nie jestem pewny, że wszystkie są bułgarskie. Dodajmy do tego Narodowe Muzeum Bułgarsko-Sowieckiej Przyjaźni pod numerem czwartym — żeby było trudniej zgadnąć — alei Klementa Gottwalda.

Stoję przed wejściem do neobizantyńskiej pamiątkowej bazyliki Aleksandra Newskiego i czytam na tablicy wejściowej, że katedra ta została postawiona dla „uczczenia 200 tysięcy Rosjan, którzy zginęli w walce o uwolnienie Bułgarii z tureckiego jarzma w 1877-1878”. Tzw. szary człowiek pojmuje tę dedykację dosłownie; nie interesuje go historia rosyjskiego imperializmu.

Jednak najpiękniejszy pomnik stołeczny obejrzałem trochę później. Lakoniczny napis: „przyjaciołom i oswobodzicielom — wdzięczna Bułgaria”. W pierwszej chwili myślę, że ten na koniu na wysokim postumencie to właśnie Tołbuchin. Po bliższym sprawdzeniu widzę, że to Car Aleksander II.

Nie ograniczyłem się do pomników. Zajrzałem do sklepów spożywczych, warzywnych i delikatesów. I do restauracji — w restauracjach można sporo zaobserwować. Towarów nie brak i ceny są przystępne. Ale to co Madison Avenue określa jako *display* — zachęcający pokaz — tu nie istnieje; wszystko leży w kartonach i w skrzynkach, bo półki są tylko symboliczne. Próbowiałem pod pozorem wyjaśnienia nawiązać rozmowę z jednym czy drugim kierownikiem — nie udało się. Niektóre odpowiedzi były wręcz opryskliwe, inne obojętne.

W *lounge'u* hotelowym widzę oko *scanner'a* telewizji obserwacyjnej, której soczewka przez minutę zatrzymuje się na mojej głowie — gdy notuję. Także naprzeciwko hotelu, przed wejściem można oglądać i być oglądanym przez kamerę obserwacyjną. Oczywiście znam tego rodzaju urządzenie z banków czy z muzeum w Luwrze. Ale tu, teraz i w tym roku nasuwa się nieuniknione skojarzenie: *Big Brother is watching*.

Dlatego z moim kontaktem umówiłem się przed muzeum Ruchu Rewolucyjnego w Bułgarii. Każde bułgarskie miasto ma takie muzeum. W sofijskim można obejrzieć różne osobiste pamiątki po zmarłych członkach partii i rewolucji, włącznie z takimi drobiazgami jak szczotka do zębów, kubek do herbaty, pistolety, powielacze i odbiorniki radiowe. Coś podobnego do muzeum Gandhiego w Bombaju.

Ze spotkania nic nie wyszło. Owszem, przyszedł, bo się umówił. I z punktu oświadczył, że musimy się pożegnać zaraz, tu. Nie może powiedzieć, ani wyjaśnić dlaczego. W pierwszej chwili myślę, że może nie podoba mu się moja twarz lub niepokoi go, że już coś stenografuję, choć uprzedziłem go telefonicznie, że będę notował. Nie, facet jest wyraźnie przestraszony i wcale nie próbuje tego ukryć. Musiało go kosztować dużo odwagi stawienie się na spotkanie.

Nie próbuję nalegać. Kto wie, może z tej jednej obserwacji dowiedziałem się więcej niż z rozmowy. Podziękowałem mu za to że przyszedł.

Rumunia

Tu miałem więcej szczęścia z moimi kontaktami informacyjnymi. Zorganizowałem je sobie, albo ściślej mówiąc: zorganizowano mi aż trzy, w tym jednego człowieka mówiącego prawie płynnie po francusku. Nie są już młodzi i po jakiejś pół godzinie czuję, że mogę im ufać. Tym razem to ja jestem ostrożny, bo przed wyjazdem z Australii ostrzegano mnie przed tutejszym ostrym systemem policyjnym, bodaj najsurowszym w Europie. Uprowadzono mnie o dużej ilości szpiclów, donosicieli i prowokatorów. Wprawdzie dokuczanie turystom jest minimalne, ale obserwacja należy do rutyny, jak w Związku Sowieckim. Dlatego nie dziwiłem się krążeniu po pustych ulicach, gdy moi przyjaciele zawozili mnie do domu, w którym moglibyśmy swobodnie rozmawiać.

W pierwszej chwili myślałem, że to rudera. Posesja rażąco zaniedbana i klatka schodowa miejscami wręcz niebezpieczna, z

chwiejącą się poręczą. Przyczyna okazuje się prosta: w Rumunii tylko pierwsze pokolenie dziedziczy po rodzicach. Wnuki nie mają już prawa do spadku. Rezultatem, po czterdziestu latach, jest skrajne zaniedbanie, bo nikt nie inwestuje w inne niż naprawdę niezbędne naprawy, o konserwacji nawet nie myśląc. Nietrudno sobie wyobrazić, jak takie prawo wpływa na wygląd prywatnych domów.

Kraj przechodzi w tej chwili przez ostry kryzys ekonomiczny, czasami widoczny gołym okiem. Przejeżdżając przed nocą w okolicach głównego dworca w stolicy mogłem dostrzec ludzi wyraźnie żyjących na ulicy; z okna samochodu dojrzałem w jednym z zaułków starego półfachmianarza przetrząsającego uliczny śmietnik. Widziałem wyraźne oznaki biedy w wielu ubiorach, na wielu twarzach i bodaj w sposobie chodzenia. Potem mogłem też zobaczyć elegancję i objawy dostatku — nie wątpię więc, że na ulice biedoty zostałem zawieszony celowo, abym mógł zobaczyć coś, czego nie pokazuje się turystom. Innym dowodem kiepskiego stanu ekonomicznego Rumunii może być fakt, że ani jeden z wielkich koncernów hotelowych — Hyatt, Sheraton, Hilton — nie ma hotelu w Bukareszcie. Inaczej jest na Węgrzech i w Bułgarii.

Chyba ta bieda panująca w kraju skłania kelnerów do „uzupełniania” rachunków za posiłki, na które trzeba czekać długo, by często nie otrzymać tego, co się zamówiło. Na ulicach mało samochodów. Przed wieloma sklepami ogonki, sprzedawcy pracują apatycznie, bez śladu choćby minimum energii. Ta uwaga nie odnosi się do 14 sklepów *Comturist'a*, sprzedających za twarzą walutę i uśmiechających się za dolary od ucha do ucha.

Hotel, w którym się zatrzymałem jest typowy: cieknięce kurki, w umywalce brak zatyczki, a w wannie kapiąca woda przeżarła emalię aż do rdzy (ten hotel określony jest przez Ministerstwo Turystyki jako *de luxe*).

Inicjatywa prywatna, nawet gdy okazjnie dozwolona — poważnie po zaplaceniu grubej łapówki, lub na podstawie nepotyzmu — jest pod ostrą kontrolą rządu i nie jest mile widziana. A o wyjeździe, nawet do „bratnich” republik, dobry rzemieślnik nie marzy — bo wie, że nie dostanie paszportu. Także niewykwalifikowany robotnik nie ma szans na emigrację zarobkową, choć coraz wyraźniej daje się odczuwać pełgające bezrobocie, oczywiście stanowczo negowane przez propagandę oficjalną.

Ploesti, osławione przez alianckie bombardowania w czasie drugiej wojny światowej, dostarcza obecnie około połowy potrzebnej ropy i kraj jest, po upadku szacha perskiego, całkowicie uzależniony od dostaw sowieckich przez rurociąg w Ruse na bułgarskiej granicy. Rezultatem jest między innymi ograniczenie

używania samochodów prywatnych — tylko co drugi *weekend* — oraz eksperymentowanie w używaniu metanu do gazowego napędu autobusów, które ze zbiornikami umocowanymi na dachach, poruszają się niezbyt zgrabnie.

Rumunia jest ciężko zadłużona i kryzysu już nie daje się ukryć. Wygląda na to, że Sowiety zastosowały wobec p. Ceausescu angielską zasadę: *give him enough rope and he will hang himself*. Co nie przeszkadza szefowi Rumunii naśladować stylu Hitlera. Oglądałem go w telewizji, w jakimś chyba specjalnie dla niego zaprojektowanym mundurze, wygłaszającego z pełnym gestykulacją patosem jeszcze jedno przemówienie pod akompaniament skandującej jego nazwisko klaki.

Poza tym rumuńskie wysiłki „unieależnienia się” miejscami muszą narażać rząd i naród na coś więcej niż zakłopotanie, nawet wśród tych trzech i pół miliona członków partii. Weźmy na przykład obchody wypowiedzenia wojny Niemcom w dniu 21 sierpnia 1944, gdy Hitler był już praktycznie pokonany. Mało tego — „niezależny” i potem „neutralny” naród rumuński, ci niedoszli zdobywcy Stalingradu, postawili sobie w centrum stolicy pomnik bohaterów walki „o wolność narodu i ojczyzny i o socjalizm” — w zwycięskiej wojnie z Niemcami.

Ta sławetna *volte-face*, i te marsowe pomniki, i te święta inicjatywy wojennej przeciwko Niemcom nie przeszkadzają, że jedna z najpiękniejszych arterii Bukaresztu, nad jeziorem Floreasca nosi nazwę Bulevardul Kalinin. Na Piata Victorei stoi pomnik Żołnierzy Sowietkich, a na Piata Scintei pomnik W. I. Lenina.

Mimo to ten biedny Bukareszt jest jednak piękniejszy i bardziej łaćńsko elegancki niż dostatnio żyjąca Sofia, czy nawet kapitalistyczny Sztambuł. Wyglądem — gdyby tylko nie te twarze bez uśmiechów — siedziba rządu wciąż przypomina przedwojenną stolicę królewską, ze znanymi mi z dawnych czasów szerokimi alejami i placami, które kiedyś dawały jej podstawę do tytułu bałkańskiego Paryża.

Żałuję że już odjeżdżam do Transylwanii, choć warto ją obejrzeć, bo jest miejscami fascynująca. Wioski postawione wokoło kościołów lub cerkwi przypominających bardziej forty obronne niż świątynie. Miasteczka tułają się do romantycznych zamków z groźnymi basztami i jeszcze groźniejszymi legendami; od czasu do czasu ruiny jakiejś cytadeli: węgierskiej, tureckiej, rosyjskiej. Mieszkańcy tej prowincji — jak p. Ceausescu — starają się akcentować swoją inność lecz oni mają podstawy, bo istotnie są przede wszystkim Transylwańczykami, a dopiero potem Rumunami. Dlatego rząd od pewnego czasu prowadzi tu politykę „romanizacji”, szczególnie w większych miastach, jak Cluj czy Brasov.

Gdy jadę między lasami na zboczach gór do Sibiu i oglądam starannie zagospodarowane pola, szeregi słupów z przewodami wysokiego napięcia i inne dowody racjonalnej gospodarki przemysłowej — nie chce mi się wierzyć, że ten kraj jest na skraju ekonomicznego przesilenia poważnych rozmiarów, i że mieszkańcy tych wiosek i miasteczek poddani są rygorystycznej kontroli jednej z najbezwzględniejszych dyktatur w Europie wschodniej.

Węgry

Jeszcze przed wyjazdem słyszałem od Węgrów o madziarskim *Wirtschaftswunder*. Tuż po przekroczeniu granicy można istotnie stwierdzić zmiany: dostatnio wyglądające domy z typowo węgierskimi różnokolorowymi dachami przypominającymi nasze kilimy. Ładnie pomalowane parkany, czysto utrzymane ulice oraz przyjemne *novum* po chłodnej Bułgarii i ponure Rumunii — widać nareszcie sporo uśmiechniętych twarzy. Wzruszyłem się prawie, gdy w małej restauracji kelner życzył mi *bon appétit*. Dodam, że jest to przedsiębiorstwo prywatne na jakie partia pozwala, jeżeli nie zatrudnia się więcej niż osiem osób. I nie widziałem ogonków, choć ich szukałem. W sklepach nie brak towarów i jest ich spory wybór, aczkolwiek i tu nie widać zachodniego *display*. Obsługa sprawna i funkcjonalnie uprzejma, inna niż w Sofii czy Bukareszcie.

Umyślnie zatrzymuję się nad takimi szczegółami, aby uwydatnić, że Węgry mają podstawy do swojej pretensji do inności. Po zwiedzeniu takich dyktatur jak Chiny, Tajwan, Związek Sowiecki i dwie bałkańskie demokracje ludowe odczuwam inną atmosferę. Widzę w Budapeszcie może tyleż samo czerwonych gwiazd na kopułach i wieżach, co w centrum Moskwy, lecz czuję się tu swobodniej, bez ucisku tej komunistycznej sztywności, bez nieufnych spojrzeń, jakie mnie świdrowały np. w Leningradzie.

Skoro o czerwonych gwiazdach mowa: Węgrzy nienawidzą Rosjan i wcale się z tym nie kryją. Spotkałem takich, którzy na samo pytanie o Rosję zmieniali temat lub zaciskali wargi. Związek Sowiecki stara się, aby każdy Węgier i każdy turysta w stolicy nie zapomniał, że ten kraj przegrał wojnę, w której był do ostatniej chwili czynnie zaangażowany w krwawych walkach z komunizmem. I że dwanaście lat po zburzeniu wszystkich (już odbudowanych) mostów na Dunaju znów tysiące ludzi padło od kul sowieckich, których ślady po dziś dzień nie zostały usunięte z niektórych reprezentacyjnych gmachów, może rozmyślnie...
Z każdego punktu Budapesztu widać — w dzień i w nocy —

wielki pomnik, postawiony na najwyższym wzgórzu pod cytadelą, z jakże ironicznie brzmiącą dedykacją „wdzięcznego narodu węgierskiego dla bohaterkich oswojodźcicieli”. Typowo ogromny, przedstawia kobietę-olbrzymę na wysokim postumencie, trzymającą nad głową liść laurowy jak miecz i otoczoną trzema mężczyznami: z pepeszą, z pochodnią, z rozrywaniem smokiem. I nie jest to pomnik jedyny; oglądałem też obelisk ze złotym wieńcem i przypomnieniem roku 1956.

Mimo jednak nieskrywanej nienawiści do ojczyzny proletariatu, pomimo akcentowania imperializmu przez Moskwę ten jedenastomilionowy, śródlądowy, otoczony posłusznymi satelitami kraj jest najbardziej faworyzowany wśród wasalów sowieckich i kto wie, czy nie jest z premedytacją tolerowanym gospodarczym warształem eksperymentalnym, obserwowanym przez moskiewskie Politbiuro dla celów badawczych i analitycznych. Inaczej trudno sobie wytłumaczyć tutejszą sytuację.

Czy dlatego Węgry mają względnie dużą swobodę w polityce wewnętrznej (ale nie w zagranicznej), taką elastyczną biurokrację, takie realistyczne plany produkcji, które wolno zmieniać w zależności od koniunktury? Planowanie nie jest usztywnione przez rygorystyczną centralizację i dostosowywane do aktualnych warunków technicznych, rynkowych i finansowych. Próbował mi to wyłożyć młody inżynier, który kilkakrotnie pokreślił, że hasłem węgierskiej ekonomii jest *realizm bez triumfalizmu*; że tendencja jest ostatnio w kierunku decentralizacji: w nie przekraczających trzystu pracowników punktach produkcyjnych robotnicy są w ścisłym kontakcie z kierownictwem, uczestniczą w zarządzaniu bezpośrednio, a nie poprzez delegatów — jak w większych przedsiębiorstwach. Zgodnie z hasłem realizmu także płace są odpowiednie, szczególnie że inflacja i ceny są trzymane w ryzach. Premie są wysokie i stanowią regułę, nie wyjątek. „Jak w Japonii” — dodał mój rozmówca.

Zgodził się ze mną, że to wszystko nie byłoby możliwe bez dobrej woli pracujących. Bez niej najbardziej rygorystyczne baty (czy marchewki) nic by nie pomogły. Oficjalna prasa (innej nie ma) oczywiście przypisuje to wszystko Kadarowi i jego zespołowi, ale każdy myślący Węgier zdaje sobie sprawę ze stanu faktycznego. Oraz z alternatywy. Wygląda na to, że znakomita większość — prawdopodobnie bez entuzjazmu — wybrała względny ekonomiczny dobrobyt i na razie nie widać objawów marzenia o ponownym powstaniu zbrojnym. Zapewniano mnie, że też nikt nie przyjmuje obecnego rozejmu za stan permanentny — może dlatego, że mówili z Polakiem, nie wiem.

Jest faktem, że Kadarowi i jego doradcom — niekoniecznie

węgierskim — udało się skoncentrować produkcję eksportową na pewnych, gospodarczo ważnych, działach dostaw do Związku Sowieckiego oraz na innych rynkach — zachodnich — szczególnie jeśli idzie o eksport mebli, autobusów, maszyn biurowych i, co najważniejsze, komputerów i urządzeń dla automatyzacji produkcji rolnej i hodowlanej jak również dla przemysłu i szpitalnictwa. Było dla mnie niespodzianką twierdzenie mego informatora, że Węgry są obecnie na drugim miejscu po Danii jeśli idzie o eksport pewnych produktów rolnych.

W Budapeszcie można kupić wszystkie zachodnioeuropejskie dzienniki i periodyki. Jednak najbardziej charakterystyczny ustęp przeczytałem w niemieckim wydaniu politycznego tygodnika *Magyarország*: „Nie chcemy idealizować sytuacji w naszym kraju. I my odczuwamy skutki obecnych trudności w gospodarce światowej, które odbijają się także na naszym życiu codziennym. Jednak nikt nie zauważy u nas zgorzknienia i zwątpienia. Jesteśmy realistami i znamy swoje możliwości i proporcje — zarówno w polityce wewnętrznej jak i zagranicznej”.

Węgry są wyjątkiem wśród satelitów sowieckich. „Jak długo nim zostaniemy?”. To pytanie padło z ust eleganckiej studentki medycyny. Naturalnie nie spodziewała się odpowiedzi. Nie wiem na jakiej podstawie pomyślałem o wyrażeniu „ekonomiczny prototyp”.

Adam NASIELSKI

Pisane w sierpniu 1984

**POLSKA KSIĘGARNIA NA MANHATTANIE
POLISH BOOKS & ARTS, INC.**

**97 EAST 7th STREET, NEW YORK, NY 10009
Tel.: (212) 254-8457**

Książki polskie. — Książki w języku angielskim dotyczące spraw polskich. — Słowniki. — Podręczniki. — Płyty i kasyety. — Bogaty wybór polskich plakatów.

Przyjmujemy książki w komis.
Realizujemy zamówienia pocztowe.

Felietony

Postępowy paryżanin

Pewien facet ocknąwszy się w Lasku Vincennes postanowił dojść do siebie sposobem chińskim, to jest taktyką długiego marszu. Jak będzie trzeba — dumął rozbity — zajdę aż do Belgii. Gdzieś między Barbesem a Placem Pigalle jego uwagę bez reszty przykuła butelka piwa „Kronenbourg”; butelka stała na krawężniku i wyglądała na niezłe schłodzoną — natomiast obok niej siedział jakiś człowiek. Był czarny jak sadza, a długie czarne włosy, według najnowszej mody, opadały mu na kark cienkimi wałeczkami. Jestem Niemcem — przedstawił się Murzyn — konkretnie Bawarczykiem w piątym pokoleniu. I nie marnując czasu zaczął rozwodzić się nad przyłączeniem do macierzy Wschodnich Niemiec, gdzie, jak twierdził ze łzami w oczach, do dziś mieszka połowa jego rodziny.

Postępowy paryżanin po wysłuchaniu tej opowieści nie znalazł dla niej zrozumienia. Ta metafizyka jest mu obca; gorzej, on nie widzi w tym żadnej metafizyki. Wyraził jedynie ubolewanie z powodu pijaństwa Murzynów i Polaków. Facetem, który ocknął się w Lasku Vincennes byłem ja.

Nadwiślański obskurantyzm religijny oraz niczym nie uzasadniona historycznie, to jest obiektywnie, niechęć do wschodniego sąsiada są znane postępowemu paryżaninowi. Po drugiej lampce wina wygarnie z grubej rury do końca: winę za kryzys w Polsce od początku do końca ponosi światowy imperializm; on to właśnie zmusił podstępnie rząd PRL do zaciągnięcia w zachodnich bankach pożyczek. Komunistyczny rząd nie brał pieniędzy ani dla siebie, ani dla Rosji, ani dla kogokolwiek. Trzeba bowiem wiedzieć — objaśnia nam dalej — że pożyczki zaciąga się wyłącznie po to, by je następnie spłacać; spłacać z procentem. Tak

rozpoznana przyczyna zła budzi rozgoryczenie postępowego paryżanina. Analiza ta jest bowiem do szpiku kości analizą proletariacką, a mimo to nie natrafiła na jakiegokolwiek zrozumienie ze strony stoczniowców gdańskich, którzy w czasie strajków zamiast likwidacji imperializmu domagali się od komunistycznego rządu PRL jakichś zgoła archaicznych ustępstw. Pogarda ślusarzy dla proletariackiej wizji świata przepełnia go prawdziwym bólem. Równie szczerze niepokoją go wpływy Kościoła w Polsce. Nie ma pojęcia jak to się stało, jak to jest możliwe — ten krok wstecz polskiego proletariatu. Wszystko co może powiedzieć dobrego to to, że kapitalistom nie oddano w Polsce ich pieniędzy.

Wersja, według której 13 grudnia 1981 roku rząd PRL wystąpił w obronie społeczeństwa przed zniechęcającym narodem jest wersją wydarzeń, której odrzucić do końca się nie da. Jeśli okazemy dobrą wolę i zgodzimy się na wprowadzenie do naszego języka trochę takich określeń jak „walka klas”, „interes obiektywny klasy robotniczej”, „partia”, „zrozumienie konieczności” — wszystko stanie się jasne.

Rosja jest krajem godnym zainteresowania. Jakkolwiek Rosja jest daleko, przyda się jeszcze w ostatecznej rozgrywce. Rosja jako Rosja imperialna jest mniejszym złem w opinii postępowego paryżanina od imperialnej Ameryki. Co nie znaczy, że może ona liczyć w związku z tym na jakąkolwiek wyrozumiałość. Rosję należało wciągnąć w Polskę w konflikt zbrojny — i to od razu, przy pierwszej nadarżającej się do tego okazji. Co dwa Afganistany to nie jeden. Na pytanie co by się stało, gdyby słynne z bitności oraz nie najlepszych hamulców sowieckie dywizje pancerne zatrzymały się dopiero nad Sekwaną odpowiada z przekonaniem, że zostałyby roztopione w wyższej kulturze.

Szczerze, całym sercem i bez reszty nienawidzi za to Stanów Zjednoczonych. Bezczelny ten kraj ma bowiem za nic całe jego myślenie; Ameryki nie da się mierzyć tak samo jak mierzono dziewiętnastowieczną Europę. Braku zrozumienia dla marksizmu postępowy paryżanin nie wybaczy Ameryce nigdy. Nie ma litości że brak jej postępowych nowojorczyków oraz postępowych bostończyków; licząca parunastu facetów partia komunistyczna to za mało, nawet na otarcie łez.

Stany Zjednoczone są krajem, gdzie jego przenikliwość przydaje się psu na budę; postępowy paryżanin woli więc swoją uwagę kierować tam, gdzie wszystko mu się zgadza jak na dłoni. Trzeci Świat — głównie tam bierze odwet za niepowodzenia w innych rejonach Globu. Martwi się szczerze o wszystkich Murzynów tego świata, jakkolwiek nigdy nie przystanie na to, że jest w tym zamartwianiu mimo wszystko jakiś parszywy cień dyskryminacji. Nie wiadomo przecież w czym jest gorszy od niego Mu-

rzyn z dalekiego kraju, by nie móc się martwić za samego siebie? Nie uwierzy też kiedykolwiek, że światowa rewolucja, o której wciąż mówi, jest mu potrzebna raczej jako argument w grze prowadzonej z rodakami we własnym kraju.

Niekiedy postępowy paryżanin ma ciemne śródziemnomorskie oczy oraz oliwkową cerę, jakkolwiek tutaj się urodził i tutaj mieszka od dziecka. I, prawdę powiedziawszy, ma to Francji za złe. Od kuzyna z Algierii — obecnie studenta uniwersytetu im. Patrice Lumumby w Moskwie — otrzymał w prezencie pas parczany pochodzący z magazynów słynnej sowieckiej dywizji spadochronowej, która zawsze jako pierwsza otwiera rocznicowe defilady w Moskwie. Kiedy go wsuwa w szlufki spodni, chce przypomnieć wszystkim zamożniejszym od niego — to jest wszystkim bez wyjątku reakcjonistom, że któregoś dnia chęć odbierania może wyrazić wraz z nim jeszcze parędziesiąt milionów kolegów po pasie.

Francja pożałuje gorzko lat krzywd, lat kolonializmu. Przyszłość należy do Trzeciego Świata. Na konstatację, że nie wiadomo czy to dobrze, robi duże oczy i łapie powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba. Dla niego wszystko co będzie jutro musi być lepsze od tego, co jest dziś; tak jakby Historia nigdy nie robiła kroków wstecz.

O komunistach też nie ma najlepszego zdania. We Francji komunistyczne związki zawodowe są jak Solidarność w Polsce. Zamiast zmieniać cokolwiek — nic tylko rozmowy z rządem. Po chwili namysłu dodaje, że także komunizm ma swoje jasne strony. W komunistycznym merostwie wysłano dzieci z najbiedniejszych rodzin do Grecji. Na dwa tygodnie za darmo, na koszt miasta — to jest dobre w komunizmie. Pierwszorzędnie było również pracować w tym merostwie. Człowiek zwyczajnie nie bał się jutra u ich boku. Twierdzi, że zarcie we Francji jest podłe, dlatego trzeba przejść na wegetarianizm; dodaje, że w Polsce nikt nie umiera z głodu. I dziś wieczorem pójdzie do pirackiego radia i nada w eter wszystko, co o tym myśli.

Roman LEWANDOWSKI

KRAJ — BLOK WSCHODNI

8-12-84

Zmarł w Warszawie w wieku 65 lat Leszek Prorok, prozaik i eseista. ■ Papiież mianował arcybiskupem litewskiego biskupa Liudasa Povilonisa, administratora apostolskiego Kowna i Wilkowyszek, przewodniczącego Konferencji Episkopatu Litwy. Jednocześnie ks. Jouzas Preiskas został mianowany biskupem pomocniczym administratora apostolskiego Kowna i Wilkowyszek.

24-12-84

Zmarł w Warszawie w wieku 83 lat Kazimierz Krukowski, jeden z najbardziej popularnych polskich artystów sceny kabaretowej.

1-1-85

Prasa krajowa podaje, że za granicą jest zatrudnionych — za pośrednictwem polskich instytucji — około 90 tys. obywateli PRL. Głównie są to budowlani i remontowcy, zwłaszcza murarze, spawacze, konserwatorzy zabytków. Także wielu lekarzy i naukowców.

10-1-85

Z okazji 20-lecia ludowo-demokratycznej partii Afganistanu przybyła do Kabulu delegacja PZPR, która przekazała „posłanie gen. Jaruzelskiego”. W tym samym czasie przybyła do Kabulu, na zaproszenie Związku Pisarzy Afganistanu, delegacja Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich w składzie Krzysztof Gąsiorowski i Zbigniew Domino.

15-1-85

Komitet nagrody im. błą. Brata Alberta Adama Chmielowskiego przyznał nagrody za rok 1984 (po raz 9-ty) za wybitne osiągnięcia twórcze w dziedzinie sztuki sakralnej. Przyznano jednocześnie „specjalną nagrodę polonijną” Marianowi Bohuszowi Szyszko z Londynu.

16-1-85

Z okazji 40-lecia służby bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej wręczono nagrody ministra Spraw Wewnętrznych. Nagrody i wyróżnienia przyznano za wybitne osiągnięcia w dziedzinie doskonalenia form i zasad działania organów bezpieczeństwa. Uroczystość bardzo *à propos* w związku z procesem morderców ks. Popiełuszki.

17-1-85

Zmarł w Warszawie w wieku 70 lat prof. Ludwik Bazylow, historyk specjalizujący się w historii Rosji i ZSSR. Był doktorem *honoris causa* Uniwersytetu im. Łomonosowa w Moskwie.

18-1-85

W Studium Języka Polskiego dla cudzoziemców Uniwersytetu Łódzkiego studiuje około 500 osób, głównie z krajów Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej. Studium powstało ponad 30 lat temu. Podobne placówki powstały w Lubli-Studium powstało przy Uniwersytecie im. Marii Curie-Skłodowskiej, w Krakowie przy Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie studiuje głównie przedstawiciele Polonii z krajów Europy zachodniej i Ameryki, oraz przy Uniwersytecie Warszawskim, gdzie studiuje pracownicy naukowcy i studenci slawistyki z Europy zachodniej. Niezależnie od tych placówek istnieją 42 organizacje zagranicz-

ne, działające w Polsce — począwszy od syryjskiej partii komunistycznej przez kurdyjską partię demokratyczną Syrii, po komunistyczną partię Izraela i zrzeszenia studentów Ekwadoru, Angoli, Afganistanu, Peru i in. ■ Konferencja państw komunistycznych Europy Wschodniej, która miała odbyć się w Sofii, gdzie miał zostać podpisany nowy Pakt Warszawski, czy też jego przedłużenie, została nagle odwołana. Powodem tego były głębokie rozbieżności między Kremlem a duumwiratem Honecker—Kadar. Domagali się oni pewnej ograniczonej niezależności w polityce zagranicznej, a przede wszystkim w zakresie polityki gospodarczej, a także tego by ZSSR przy dostawach surowców nie żądał cen dużo wyższych niż średnia rynkowa (ropa naftowa, gaz), lecz przeciwnie obniżył te ceny w stosunku do poziomu światowego; produkty węgierskie i wschodniemieckie powinny być eksportowane do ZSSR po cenach odpowiednich do cen eksportowych Związku Sowieckiego. Domagali się ponadto by Moskwa zrezygnowała ze swego planu rozszerzenia Paktu Warszawskiego o grupę nowych „państw stowarzyszonych” (Afganistan, Egipt, Nikaragua). Wszystkie te żądania zostały kategorycznie odrzucone przez Moskwę.

23-1-85

W Polsce sformowano eskadrę lotniczą pomocy dla Etiopii, która zaczęła już organizowanie bazy w Etiopii, skąd lotnicy będą transportować żywność i leki do rejonów trudno dostępnych, a dotkniętych klęską głodu. ■ W ub. roku PRL wyeksportowała do Wielkiej Brytanii 7 i pół tys. samochodów osobowych, wyprodukowanych przez SFO na Żeraniu.

ZACHÓD — EMIGRACJA

2-11-84

Zmarł w Winterthur w Szwajcarii, w wieku 73 lat dr Tadeusz Sarnecki, prawnik i polonista, wieloletni lektor języka polskiego na uniwersytecie w Zurychu, gdzie stworzył nowoczesną szkołę języka polskiego. Skompletował bibliotekę literatury polskiej (ok. 12 tys. tomów), którą ofiarował seminarium slawistycznemu uniwersytetu w Zurychu.

23-11-84

Zmarł w Nowym Jorku w wieku 83 lat Stefan Kordian Gacki, pisarz i eseista.

29-11-84

Zmarł w River Forest (USA) w wieku 92 lat generał brygady Wincenty Kowalski, żołnierz I Kompanii kadrowej Legionów, ostatni dowódca I dywizji piechoty Legionów; w kampanii wrześniowej był dowódcą grupy operacyjnej „Wyszków”.

1-12-84

Walne zebranie Wspólnoty Polsko-Francuskiej wybrało ponownie prezesem red. Leszka Talko. Wspólnota zadecydowała urządzenie w początku lipca 1985 roku Uniwersytetu Letniego Polonii Francuskiej.

16-12-84

Zmarł w Paryżu Stanisław Korzybski, członek polskiego ruchu oporu we Francji w czasie ostatniej wojny, pracownik naukowy CNRS. Wydał książkę pt. „Une méthode inductive et le peuplement urbain” (Librairie Honoré Champion).

23-12-84

Zmarł w Paryżu w wieku 79 lat Edward Matuszczak, artysta malarz i rzeźbiarz. W czasie wojny służył w Brygadzie Karpackiej oraz w Drugim Korpusie. W czasie stacjonowania Drugiego Korpusu w Iraku przyczynił się do stworzenia nowoczesnej szkoły malarskiej w Bagdadzie. ■ Dziennik *Dawar* w Tel-Awiwie podaje, iż rząd PRL jest skłonny nawiązać szeroko zakrojone stosunki z Izraelem — chociaż bez nawiązania oficjalnych stosunków dyplomatycznych — w zamian za pomoc gospodarczo-finansową ze strony Żydów świata, szczególnie ze Stanów Zjednoczonych.

31-12-84

Zmarł w Londynie w wieku 73 lat Adam Treszka, prezes Koła Lwowian oraz Towarzystwa Pomocy Polakom w Londynie, członek władz Stronnictwa Narodowego.

3-1-85

Zmarł w Londynie w wieku 92 lat gen. bryg. Tadeusz Pełczyński, pseudonim „Grzegorz”, szef sztabu i zastępca dowódcy Armii Krajowej. Na emigracji był honorowym prezesem Koła A.K. oraz założycielem Studium Polski Podziemnej.

12-1-85

Staraniem organizacji Pro Polonia w Genewie odbył się wieczór poświęcony książkom Aleksandra Wata „Mój wiek” i Oli Watowej „Wszystko co najważniejsze”.

16-1-85

Zmarł nagle w Chicago w wieku 80 lat Edward Puacz, publicysta i wydawca, właściciel i kierownik księgarni „Polonia” w Chicago i wieloletni przedstawiciel *Kultury*. W jednym z najbliższych numerów *Kultury* zamieścimy o nim artykuł.

26-1-85

Zmarł w Londynie w wieku 95 lat gen. bryg. Tadeusz Alf-Tarczyński, oficer I Brygady Legionów, b. prezes Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie. W chwili wybuchu wojny w 1939 roku był zastępcą dowódcy DOK Lublin. Po przedostaniu się do Francji był przez gen. Sikorskiego internowany w obozie odosobnienia w Cerisay, a następnie w obozie Rothsay na wyspie Bute w Szkocji. W 1943 roku gen. Sosnkowski, jako Naczelnny Wódz, powołał go z powrotem do służby czynnej.

28-1-85

XXI Zjazd delegatów Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii wybrał nowe władze (prawie w całości z poprzedniej kadencji). P. Krzysztof Łańcucki został po raz czwarty prezesem.

31-1-85

Zmarł w Monachium w wieku 83 lat Józef Mackiewicz, wybitny pisarz i publicysta. Pozostawił żonę, znaną literatkę Barbarę Toporską. W najbliższych numerach *Kultura* zamieści większe studium, poświęcone jego twórczości.

3-2-85

Zmarł w Montrealu w wieku 88 lat Witold Babiński, w czasie wojny oficer do zleceń gen. K. Sosnkowskiego i jego bliski współpracownik.

12-2-85

W głośną aferę szpiegowską, która wybuchła w Indiach, był zamieszany również radca handlowy ambasady PRL w Indiach, Jan Harbeka. Afera ta zdominowała pobyt gen. Jaruzelskiego, który był w Indiach z wizytą oficjalną.

KRONIKA FRANCUSKA

Marc Blondel, sekretarz francuskiej Konfederacji *Force Ouvrière* i reprezentant francuskich związków zawodowych w Międzynarodowej Organizacji Pracy wystosował list do szefa tej organizacji — Francisca Blancharda w sprawie przetrzymywanego w areszcie od grudnia ubiegłego roku wiceprzewodniczącego „Solidarności” Andrzeja Gwiazdy. Blondel stwierdził, że fakt ten godny jest potępienia przez organizacje związkowe wszystkich państw demokratycznych i że decyzja rządu PRL o wystąpieniu z MOP nie zwalnia go z obowiązków, określonych międzynarodowymi konwencjami. ■ 7. I. policja francuska zatrzymała Stanisława Jańczaka, trzeciego sekretarza ambasady PRL w Paryżu w momencie gdy (nigdy nie ujawniony z nazwiska) polski emigrant przekazywał mu dokumenty dotyczące finansów paryskiego Komitetu Koordynacyjnego „Solidarności”. Po przesłuchaniu Jańczak został zwolniony, a francuski MSZ podjął decyzję o jego wydaleniu z terytorium Francji... Z oświadczenia Biura Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” za granicą i z francuskiej prasy dowiadujemy się, że osoba która przekazywała dokumenty Komitetu nie należy — według policji francuskiej — do grona jego członków czy współpracowników, oraz, że dokumenty stanowiły część codziennej księgowości Komitetu, ale nie zawierały żadnych poufnych informacji — ani nazwisk, ani adresów osób związanych z działalnością na rzecz Solidarności. Wszystkie ważne dokumenty są przechowywane w bezpiecznym miejscu, natomiast niewielka i bez znaczenia część codziennej rachunkowości paryskiego Komitetu znajdowała się od dwóch lat w posiadaniu osób prywatnych — grupy członków Komitetu, którzy nie chcą podporządkować się decyzjom TKK wystąpili zeń i próbowali stworzyć nową reprezentację Solidarności. (Dokumenty te mimo wielokrotnych mediacji nie zostały nigdy zwrócone prawowitemu właścicielowi). ■ Przedstawiciele 17 rządów państw zachodnich (Klub Paryski) parafowali w Paryżu tekst porozumienia z przedstawicielem PRL w sprawie długu zaciągniętego przez PRL, gwarantowanego przez zachodnie rządy. Zadłużenie w wysokości 12 mld. dolarów, tj. pożyczka, której termin płatności upływał w latach 1982-1984 ma być spłacona w przeciągu 10 lat z pięcioletnią karencją. Paryska organizacja „Solidarité avec Solidarność” w ogłoszonym z tej okazji komunikacie stawia pod znakiem zapytania warunki, w jakich doszło do porozumienia. Sygnatariusze komunikatu podają w wątpliwość wiarygodność gwarancji ożywienia gospodarczego w Polsce, zaproponowanego przez rząd PRL. ■ Z pięciodniową wizytą gościł w Polsce p. Kościusko-Morizet, kierownik działu zagranicznego francuskiej partii RPR (w latach 1970-1972 stały przedstawiciel Francji przy ONZ, 1972-1977 ambasador Francji w Waszyngtonie, członek KC RPR). Zaproszony przez Instytut Spraw Międzynarodowych, francuski gość został przyjęty przez członka Biura Politycznego KC PZPR — Czyrka, ministra spraw zagranicznych — Olszowskiego, wojewodę Warszawy — gen. Dębickiego, wiceprzewodniczącą Sejmu PRL — Skibniewską. Morizet rozmawiał także z prymasem Polski, kardynałem Józefem Glempem i z kardynałem Macharskim, spotkał się również z byłymi doradcami NSZZ „Solidarność” — B. Geremkim i A. Wielowieyskim,

odwiedził grób ks. Jerzego Popiełuszki. Według słów Bernarda Margueritte'a, korespondenta *Le Figaro*, Kościusko-Morizet był przyjmowany niezwykle przychylnie we wszystkich środowiskach poza tymi, których francuski korespondent nazywa ekstremistami, popierającymi sankcje zachodnie wobec Polski. Sam sekretarz d/s zagranicznych RPR jest przeciwko polityce sankcji i uważa, że jeśli chce się rozwijać stosunki między narodami, winno się je także utrzymywać na poziomie państwo-państwo. Kościusko-Morizet opowiada się za silnym państwem polskim, niewiele jednak i mgliście mówi na temat jego organizacji, i choć mówi o konieczności respektowania helsińskich postanowień, wydaje się zapominać, że właśnie ich łamanie było motywem wprowadzenia sankcji... Nic więc dziwnego, że jego wizyta mogła się podobać warszawskim władzom. ■ Rada Miejska w podparyskiej miejscowości Sarcelles postanowiła nadać jednej z ulic miasta imię „refuzników” — Żydów, którym władze sowieckie nie zezwalały na emigrację. Za wnioskiem głosowało również pięciu komunistycznych członków Rady. Z kolei w miejscowości Fréjus jednej z ulic nadano imię Andrieja Sacharowa. ■ W Centre du Dialogue (ojcowie Palotyni) odbyły się kolejne spotkania. W styczniu prof. Jan Błoiński wygłosił odczyt na temat: „Diabeł we współczesnej literaturze polskiej”, w pierwszych dniach lutego Krzysztof Pomian rozważał temat-pytanie: „Do czego służy filozofia”, zaś 22 lutego miał miejsce wieczór autorski Zofii Romanowiczowej. ■ Prawdziwym wydarzeniem we Francji stała się próba powrotu do kraju działacza Biura Koordynacyjnego „Solidarności” za granicą — Seweryna Blumsztajna. Motywy podjęcia decyzji powrotu po trzech latach aktywnej działalności na Zachodzie, Blumsztajn wyjaśnił szczegółowo w wydanej w końcu stycznia książce pt. „Je rentre au pays” (Ed. Calmann-Lévy). W Warszawie, zaraz po wylądowaniu samolotu, Blumsztajn został zatrzymany i pod pretekstem niedopełnienia formalności paszportowych (anulowany na lotnisku paszport Blumsztajna był ważny do 1986 roku) został wydalony z Polski tym samym powracającym do Paryża samolotem. Komentatorzy jednoznacznie ocenili to wydarzenie jako niebezpieczny precedens banieji, do uprawomocnienia której, jak wiadomo, dążył peerelowski reżim. Rzecznik francuskiego Ministerstwa Stosunków Zagranicznych stwierdził, że „wszelka banieja oraz środki jej podobne sprzeczne są z prawem międzynarodowym, szczególnie z powszechną deklaracją praw człowieka, której Francja i Polska są sygnatariuszami”. Seweryn Blumsztajn, który nie zamierza rezygnować z powrotu do kraju złożył formalne podanie w ambasadzie PRL w Paryżu o wydanie nowego paszportu. Nie zamierza jednak przyjmować żadnych politycznych warunków powrotu, w przypadku gdyby próbowano mu takie postawić. ■ Na podstawie decyzji Jerzego Milewskiego, szefa brukselskiego biura „Solidarności”, nowym kierownikiem Komitetu Koordynacyjnego we Francji został mianowany Piotr Chruszczyński. Przez kilka ostatnich miesięcy funkcję tę pełnił Jacek Krawczyk. Redaktorem Biuletynu Informacyjnego jest od numeru 97 Marek Tabin (numery poprzednie redagował Seweryn Blumsztajn). ■ Claude Cheysson — obecnie wysoki urzędnik komisji europejskiej — powiedział, że spośród wszystkich oświadczeń jakie wywołały skandal, w czasie gdy stał na czele francuskiej dyplomacji, żałuje tylko jednej, tej po 13 grudnia 1981 roku, kiedy zapytany o to, co Francja zrobi po ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce, odpowiedział: „nic nie zrobimy”. Obecnie wyjaśnił, że miał na myśli wyłącznie „nic” w dziedzinie wojskowej, bo do takiego wniosku doszedł wraz z szefami dyplomacji Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Niemiec Zachodnich, wobec braku interwencji sowieckiej w Polsce... Cheysson stwierdził: „Żałuję tego niefortunnego powiedzenia, za które normalnie powinienem być zapłacić stanowiskiem”. ■ Mszę świętą w intencji śp. kardynała Josypa Slipyja celebrowano w Kościele Polskim w Paryżu. Mszę zamówili członkowie Stowarzyszenia Polsko-Ukraińskiego (6, rue de

Pałestine, prezydentem Stowarzyszenia jest Władysław Żeleński, wiceprezydentem — Olha Witoszyńska), w uroczystości prowadzonej przez Rektora Polskiej Misji Katolickiej we Francji, księdza prałata Zbigniewa Bernackiego wziął udział chór ukraiński. ■ Zgromadzenie Księży Pallotynów obchodziło w roku 1985 150-lecie swego istnienia. Polscy Pallotyni zainaugurowali obchody 20 stycznia uroczystą mszą św. koncelebrowaną przez 7 księży w kaplicy Centre du Dialogue w intencji św. Wincentego Pallotiego, założyciela Zgromadzenia. Mszę św. prowadził ks. Superior Zenon Modzelewski, który wygłosił również okolicznościowe kazanie poświęcone postaci i pracy św. Wincentego. ■ 20 stycznia odbyła się w kościele św. Józefa w podparyskiej miejscowości Aulnay-sous-Bois uroczysta msza św. francusko-polska dla uczczenia pamięci księdza Jerzego Popiełuszki. Nabożeństwo odprawiał proboszcz, ks. Fara w asyście kilku polskich księży, licznie przybyli Polacy i Francuzi, a wśród nich mer Aulney — Jean-Claude Abrioux. ■ 10 lutego w podparyskiej miejscowości Sainte-Geneviève-des-Bois odbyła się uroczysta msza św. w intencji Polski. Mszę św. koncelebrowali superior parafii Claude Courtois i ksiądz polski Stanisław Wawro. Polska rodzina — Turrowskich — podarowała dla tutejszego kościoła kopię obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Komitet pomocy Polsce w Sainte-Geneviève-des-Bois podjął inicjatywę przemianowania Place du Marché na Plac Jerzego Popiełuszki.

Wojciech SIKORA

KRONIKA KANADYJSKA

19 grudnia 1984 zmarł w Montrealu w wieku lat 81 Artur Tarnowski z Dzikowa. Należał do grona konserwatystów biorących udział w życiu politycznym R.P., piastował mandat poselski, zasiadał w Sejmie na ławach BBWR. Na emigracji w Kanadzie pracował na polu charytatywnym. ■ Polski Instytut Naukowy w Kanadzie w ramach serii odczytowej gościł w Montrealu 28 stycznia br. adwokata Władysława Siłę-Nowickiego z Warszawy, a 1 lutego Stanisława Brejdyganta, aktora, reżysera i dramaturga. Pierwszy wygłosił przemówienie na temat obecnej sytuacji w Polsce, a drugi referat pt. „Nasz romantyczny rodowód”. ■ Flora MacDonald, minister zatrudnienia i imigracji, przybyła w dniu 25 stycznia br. do biura Kongresu Polonii Kanadyjskiej w Toronto, gdzie przeprowadziła rozmowy z kilkoma członkami Zarządu Głównego: prezesem Kaszubą, wiceprezydentem Orłowskim, I. M. Zapińskim, sekretarzem generalnym Koglerem i przewodniczącym komitetu imigracyjnego Szymańskim. Ta nieoczekiwana wizyta została spowodowana gwałtowną reakcją Kongresu i prasy polonijnej na zarządzenie Ministerstwa Imigracji, znoszące liberalizację przepisów imigracyjnych w odniesieniu do uchodźców z państw bloku sowieckiego. Ulgi wprowadzone przez rząd liberalny w 1980 roku i rozszerzone jeszcze w 1981 roku nie tylko znacznie zwiększyły kwotę, ale zmieniły kwalifikację statusu uchodźcy i wreszcie umożliwiły uzyskanie wizy kanadyjskiej ludziom, którzy uzyskali już ten status w innych państwach. Nowe przepisy przewidywały wprawdzie, że w odniesieniu do Polaków pewne postanowienia będą obowiązywały jeszcze dwa lata, ale cofnięto możliwość ubiegania się o wizy imigracyjne poza krajem stałego zamieszkania oraz obniżono jeszcze bardziej liczbę osób z państw bloku sowieckiego, mogących starać się o wizy. Ostro zareagował również nowoobраниy poseł konserwatywny pochodzenia ukraińskie-

go Andrew Witer, który zdobył mandat piastowany przez Jesse Flisa, syna polskich imigrantów. Protestując przeciwko temu zarządzeniu, domagał się wycofania go. W miesiąc po podpisaniu przez ministra Florę MacDonald poprawek do przepisów imigracyjnych ukazało się jej oświadczenie, usprawiedliwienie. Głosi ono, iż zapewniano ją, że poprawki są nieznaczne, nie zmieniają istoty obowiązujących przepisów, a ponieważ jest inaczej — wycofuje je.

W spotkaniu w Kongresie minister MacDonald wyraziła zadowolenie ze współpracy z Kongresem Polonii, zapewniła, iż w odniesieniu do uchodźców ze wschodniej Europy stosowane będą jak najdalej idące zasady humanitarne, a więc nie będzie się ściśle przestrzegać formalnych wymagań. Przedstawiciele Kongresu podnieśli pewien istotny problem, a mianowicie uprawnienia dla wykonania pracy przez lekarzy, dentystów, pewnych kategorii specjalistów itp. I tak np. brak jest lekarzy i dentystów w małych miejscowościach, ale nikt nie może tam praktykować, nie odbywszy wymaganego stażu w wielkich szpitalach, które nie przyjmują nowych stażystów z powodu braku wolnych miejsc. Sprawy te jednak nie należą do kompetencji ani Ministra Imigracji, ani Rządu Federalnego, lecz do rządów prowincjonalnych, ale pani MacDonald oświadczyła, że przedyskutuje ten problem z Ministrem Zdrowia i będzie usiłowała wpłynąć na prowincje. ■ Epilog 39-dniowego strajku głodowego przed konsulatem PRL w Toronto latem ubiegłego roku dobiegł szczęśliwie końca. Ostatniego tygodnia stycznia przyjechała do Toronto rodzina Grażyny Trzęsickiej: mąż z dwojgiem dzieci. Jej sprawa była najbardziej kłopotliwa, gdyż odmówiła powrotu do Polski po skończeniu służbowego pobytu w Stanach Zjednoczonych. Rodziny dwóch innych strajkujących przybyły we wrześniu i listopadzie ub. roku. ■ Polska Fundacja Społeczno-Kulturalna w prowincji Quebec na zebraniu odbytym z okazji 5-lecia poinformowała obecnych iż posiada na swoim koncie już \$ 100.000 i zmierza osiągnięcia \$ 250.000. Ta suma pozwoliłaby na przeznaczenie \$ 20.000 rocznie na cele kulturalne Polonii. ■ Jedna z najmniejszych grup etnicznych w Kanadzie — grupa estońska — ufundowała katedrę studiów estońskich przy University of Toronto. Estończycy zebrali na ten cel 700 tys. dolarów, a Tartu College (Finlandia) ofiarowała 100 tys. dolarów. Ponadto rząd federalny Kanady przeznaczył na ten cel 300 tys. dolarów. W ten sposób uniwersytet torontoński będzie miał trzy katedry specjalne: węgierską, ukraińską i estońską. Niestety Polonia kanadyjska nie podjęła sugestii rządu federalnego, bodajże przed 5 laty, by zebrała 300 tys. dolarów i wtedy rząd federalny dałby dotację w tej samej wysokości na katedrę polską. Zbierano wówczas pieniądze na pomnik katyński, a później na inne pomniki, i zapewne uważano, że całkowicie wystarczy polonistyka na slawistycę.

B. H.

Toronto, 4 lutego 1985 r.

Polemiki

Książki Henryka Grynberga pt. „Prawda nieartystyczna” w swoim czasie nie przyjąłem do druku z powodów, których teraz nie zamierzam przedstawiać. Gdy jednak książka ta została wydana przez Bibliotekę „Archipelagu” w Berlinie — którego współpracownikiem jest Grynberg — a inny członek redakcji zaproponował mi jej omówienie — zgodziłem się je zamieścić w *Kulturze*. Na recenzję Andrzeja Szulczyńskiego Henryk Grynberg zareagował w sposób raczej nie przyjęty w polemikach. Aby jednak uniknąć zarzutu antysemityzmu — znam przewrażliwienie jeśli nie wprost obsesję Henryka Grynberga — zamieszczam jego diatribę wraz z odpowiedzią A. Szulczyńskiego.

Na zarzuty i pretensje do *Kultury* nie odpowiadam. Mówią same za siebie. Z góry zaznaczam, że ewentualnej dalszej dyskusji drukować nie będę.

REDAKTOR

Henryk Grynberg
6251 N. Kensington St.,
McLean, Va. 22101, USA.

PONIŻEJ KRYTYKI

Mam już za sobą ćwierć wieku doświadczenia autorskiego, ale nigdy dotąd mi się nie zdarzyło, żeby recenzent przywłaszczał sobie argumenty z mojej książki, po czym atakował mnie tymi argumentami i jeszcze podkreślał, że argumentów tych „próżno szukać” w mojej książce „nawet między wierszami”! A tak właśnie sobie poczyną ktoś podpisany jako „Andrzej Szulczyński” w styczniowo-lutowym numerze *Kultury* w pseudorecenzji pt. „Strażnik nieistniejących (*sic-ort.*) grobów”. Mógłbym zlekceważyć tego rodzaju „recenzję” jako curiosum z dziedziny grafomanii, gdyby to nie było w *Kulturze* i gdyby nie chodziło o zagadnienia ważne i bolesne.

„Główny akt tragedii holocaustu dokonał się tylko dlatego na polskiej ziemi, że tutaj żyła przyniatająca większość Żydów europejskich (...). Oto prosta, ważna prawda. Mniemać wolno, że do jej głoszenia uprawniony i zobowiązany jest także Henryk Grynberg, tym bardziej jako 'strażnik nie-

istniejących grobów’. Próżno szukać będziemy jednak tej prawdy nawet między wierszami jego esejów”.

Czyżby? Oto co stoi napisane na 68 stronie „Prawdy nieartystycznej” (esej pt. „Ludzie Żydom zgotowali ten los”): „Dopiero po tym doświadczeniu, wiosną 1942 roku, program eksterminacyjny 'zinstytucjonalizowano' (...), zakładając i rozbudowując obozy zagłady w Polsce, a nie gdzie indziej, gdyż na tym stosunkowo niewielkim terytorium znajdowało się największe w Europie skupisko skazanych (...). W każdym razie nie miało to nic wspólnego z tak zwanym 'polskim antysemityzmem' (...). Gdyby intensywność antysemityzmu decydowała o zakładaniu obozów zagłady, to z pewnością nie zabrakłoby ich w Niemczech (podkr. — H.G.), Austrii, na Litwie, na Ukrainie, w Rosji, na Łotwie, na Węgrzech, w Słowacji i oświeconej Francji”. Po co szukać między wierszami, gdy są wiersze 23-34 od góry?

Pseudorecenzent kradnie omawianemu autorowi również argument, że „równie dobrze można by twierdzić, że winę ponoszą konstruktorzy maszyny parowej i wynalazcy kolei żelaznej, wszak bez tych wynalazków wymordowanie sześciu milionów nie doszłoby do skutku z powodu braku środków przewozowych”. Bo oto na stronie 143 w eseju „Obsesyjny temat” czytamy: „Dlatego Lew Tołstoj instynktownie bał się kolei żelaznej, a jej groźbę rozumiał Stanisław Vincenz ('Na wysokiej połoninie'). Gdyby nie było pociągów, nie wymordowano by sześciu milionów Żydów. Nie można by też było prowadzić ani pierwszej, ani drugiej wojny światowej”.

Zaraz, bo już w następnym zdaniu mój pseudooponent pisze: „Nie mając zatem możliwości polemiki z argumentacją autora, bo takowej w jego książce nie znajduję, przedstawię własną (podkr. — H.G.) propozycję odpowiedzi na owo pytanie w kwestii zasadniczej, acz przyznam, nie jest ona bynajmniej oryginalna”. Zaiście trudno znaleźć u kogoś w kieszeni to, co mu się przed chwilą wyjęło i przedstawia się jako „własne”, a niewielką pociechą dla okradzionego jest przyznanie się kieszonkowca, że jego „własna” argumentacja nie jest „bynajmniej oryginalna”...

Po wyjęciu mi wszystkiego, co mogło mu się przydać, „recenzent” metodą niektórych tajnych policji podrzuca mi parę kompromitujących materiałów swej naprawdę własnej produkcji, głosząc, że ja w szkicu „Altera pars” przeciwstawiam „kategorycznie judaizm chrześcijaństwu, Boga chrześcijan — Bogu Żydów”, że ja piszę „tak, jakby to nie ten sam Pan Bóg przemawiał w Starym i Nowym Testamencie”. A tymczasem ja główną część tego eseju poświęciłem podobieństwu judaizmu i chrześcijaństwa, pisząc, na stronie 29, że nie ma religii bardziej zbliżonych”, że „dysputa między judaizmem a chrześcijaństwem jest właściwie zbędna”, bo „każdy kto zna te religie przyzna, że obie są całkiem dobre (dla świata to niewielka różnica, czy Mesjasz ma przyjść po raz pierwszy, czy drugi, skoro i tak jego przyjście wydaje się niezbędne)” (str. 30), a na str. 32, że „tego starego żydowskiego Boga wcale nie potrzeba było nawracać — zawsze był chrześcijaninem, od niepamiętnych czasów”. Cytaty z Talmudu na str. 33-34 brzmią jak cytaty z Nowego Testamentu i dlatego właśnie je przytoczyłem. Lecz tu „recenzent” po raz trzeci kradnie mi całą robotę, a na to miejsce bije mnie podrzuconym mi policyjnie argumentem, insynuując, że to ja się upieram przy „rzekomo nieprzewycięzalnej kontrowersji religijno-etycznej między chrześcijaństwem z judaizmem”, choć to ja właśnie na str. 45-46 wyśmiewam pułkownika Miedzińskiego jako ignoranta, który „nie podejrzywał nawet żadnych związków 'etyczno-religijnych’ pomiędzy wyznaniem mojegożyzmowym a rzymsko-katolickim”.

„Można by mniemać, że tak naprawdę to najwinniejsi byli polscy antysemitzi” — załatwia mnie tą samą metodą mój „recenzent” i rzuca we mnie retoryką: „Czy zagłada Żydów byłaby możliwa, gdyby nie było tamtych Niemców i tamtych Niemiec? Czy antysemityzm polski doprowadziłby i tak

ludzkość do tej zbrodni?”. A zupełnie ignoruje, że to ja właśnie napisałem (na str. 47), że „Polacy w latach okupacji wypadli lepiej, niż sugerowałyby kampania ozonowo-endecka ostatnich lat przedwojennych, a w każdym razie lepiej od wielu innych narodów okupowanych”, a „ucieranie pojęcia tak zwanego 'polskiego antysemityzmu' jest sprzeczne z prawdą historyczną, podobnie jak oskarżanie Polaków o współpracę z hitlerowcami w zagładzie Żydów, i że to ja właśnie napisałem (na str. 47), że „piętnowanie w tym wypadku Polaków przypomina do złudzenia irracjonalne, antysemickie piętnowanie Żydów” i jest „podobnie sprzeczne z prawdą i tendencyjne jak oskarżanie Żydów o ukrzyżowanie Mesjasza, czy wręcz Boga”.

Oprócz wielu innych sugestii tego zadziwiającego „recenzenta”, insynuacją jest także twierdzenie, że „Grynberg wysoko ocenił pisarstwo Elizy Orzeszkowej”. Grynberg bardzo nisko ocenił jej pisarstwo (str. 57-60), natomiast wysoko ocenił jej postawę etyczną, a zwłaszcza uczciwość charakteru!

Oczywiście że obrażliwa jest pobłażliwość, z jaką w konkluzji traktuje mnie ten „recenzent” ze względu na moje trudne żydowskie dzieciństwo w czasie okupacji... i dlatego, że „rolę strażnika nieistniejących (wciąż ta ortografia! — przyp. H.G.) cmentarzy” wypełniam jego zdaniem „sumiennie”. Ale czy jest się na kogo obrazić po tym wszystkim?

Natomiast *Kultura* winna mi jest wyrównanie tej krzywdy przez zamieszczenie niniejszego zażalenia na tym samym miejscu, na którym była „recenzja” (a nie w dziale listów), w najbliższym numerze, aby szkoda wyrządzona mi była jak najmniejsza, oraz przez odżeganie się od „recenzji”. *Kultura* ma prawo mnie krytykować ale nie ma prawa fałszować i okradać moich utworów, a *Kultura* jest odpowiedzialna za to, skąd bierze „recenzentów”.

Poza tym *Kultura* wszystkie moje eseje znała, bo po kolei je odrzucała i gdyby sumiennie „recenzję” przeczytała, wiedziałaby co się dzieje! Wierzę, że to było tylko niedopatrzenie.

Henryk GRYNBERG

24 stycznia 1985

Szanowny Panie Redaktorze!

Odpowiadając na napaść Henryka Grynberga najpierw pragnę oświadczyć, że nie było moim zamiarem „zniszczenie” jego książki, jak to on insynuuje w swoim liście do Pana. Najoczywistszym tego świadectwem jest sam tekst mojej recenzji w styczniowo-lutowym numerze *Kultury*.

Przed wszystkim przyznaję, że Henryk Grynberg ma rację, „nie istniejący” pisze się oddzielnie. Za tę błąd ortograficzny najmocniej przepraszam. Moja wina.

Ale *ad rem*, czyli do konkretnych zarzutów autora „Prawdy nieartystycznej”. Do zarzutów, które tylko przy dużej dozie dobrej woli można traktować jako merytoryczne.

Najpierw zatem — problem miejsca holocaustu. Powołany przez Grynberga cytat, ze strony 68 jego książki, jak też i całość jego wywodów — nie wyjaśniają, dlaczego i skąd na ziemiach polskich znalazła się przeważająca liczba Żydów europejskich. Czytelnik nie dowiadyuje się ani o osadnictwie w Rzplitej Żydów wypieranych w dawnych wiekach z krajów zachodniej Europy, ani o osiedlaniu się licznych Żydów rosyjskich w Kongresówce i na wschodnich ziemiach dawnej Rzplitej w końcu XIX wieku po pogromach i szyskanach zgotowanych im w Rosji. O tym właśnie pisałem w swojej recenzji i brak tych, jakże istotnych, informacji zarzuciłem Grynbergowi kończąc swój wywód owym, rzekomo „ukradzionym” mu zdaniem.

Pomówieniami nie zamaże się faktu, że tej prawdy (— skąd się wzięła ta ilość Żydów na naszych ziemiach) — nie pomieścił Grynberg w swojej książce.

Teraz o problematyce, którą określimy hasłem: „maszyna parowa i kolej żelazna”. To prawda, że Grynberg napisał: „Gdyby nie było pociągów, nie wymordowano by sześciu milionów Żydów. Nie można by też było prowadzić ani pierwszej, ani drugiej wojny światowej”. Prawdą jest także, iż ja, w swojej recenzji, napisałem: „Równie dobrze można by twierdzić, że winę ponoszą konstruktorzy maszyny parowej i wynalazcy kolei żelaznej”. Skonstatowałem tam zarazem, że jednakowo fałszywe jest przyjmowanie związku przyczynowo-skutkowego między chrystianizmem a holocaustem, jak między pociągami a wymordowaniem Żydów przez hitlerowców. Napisałem tak, bo kateryczne twierdzenia Grynberga o winowajcach w postaci chrześcijan (i parowozów) są oczywiście absurdalne i drastycznie fałszują historyczną rzeczywistość. Przede wszystkim zaś zarzuciłem autorowi, że nie postawił w w ogóle problemu odpowiedzialności Niemców za tę zbrodnię. Na ten zarzut wszelako Grynberg znów nie odpowiada, konstruuje w zamian przeciwko mnie zarzut o ukradzeniu mu argumentów. Robi to po to, aby zatrzeć ślady kolejnej, istotnej luki w swej książce.

Zamiast polemiki na temat „podrzucenia” Grynbergowi „kompromitujących materiałów”, kilka cytatów z jego szkicu „Altera pars”.

„Czymże różni się ten stary Bóg od chrześcijańskiego?”

„Czy rzeczywiście miłociwszy jest ten późniejszy Bóg? Czy mniej doświadczać człowieka? Znacznie więcej. Czy więcej przebaczał? Jeśli tak, to tym gorzej. Czy łagodniejsza Jego ręka? Raczej przeciwnie. Jest stanowczo bardziej milczący. Zamilkł już chyba zupełnie. Może oniemiał?”

„Autorami głównych dogmatów chrześcijańskich byli nie tyle duchowni, co właśnie cesarze, którzy zostali potem świętymi chyba na takiej samej zasadzie, jak ich pogańscy poprzednicy na tronie zostawali 'bogami'”.

Tego rodzaju stwierdzenia Grynberga, opatrywane wciąż ponawianym zarzutem winy chrześcijaństwa w zbrodni holocaustu — upoważniają do stwierdzenia, że: „przeciwstawia katerycznie judaizm chrześcijaństwu, Boga chrześcijan — Bogu Żydów”.

Nie wiem, co tu ma do rzeczy oczywistość, że obie religie są podobne, albo wyśmiewanie pułkownika Miedzińskiego? Czy zmienia to sens zacytowanych zdań z książki Grynberga?

Skoro zaś już mowa o „religioznawczych” rozważaniach Grynberga, trzeba zwrócić uwagę, że jedynym autorytetem współczesnej nauki, którym się podpira, jest Erich von Däniken. Tymczasem historycy-naukowcy na całym świecie nawet nie zbijają absurdalnych twierdzeń tego historyka-amatora, lecz po prostu ignorują całkowicie jego pisarstwo.

Grynberga — wolno mniemać — najbardziej irytuje wyrozumiałość wobec jego wielu nazbyt jednostronnych lub ewidentnie niesłusznych stwierdzeń. Jakże jednak można bez wyrozumiałości wobec autora czytać książkę, w której co i rusz napotykam takie oto „złote myśli”:

— „O Boskiej naturze Jezusa zdecydowano dopiero w kilka wieków później (za sprawą cesarza)”.

— „Nauki chrześcijańskie były właściwie tylko wersją nauk esenejskich i faryzeizmu”.

— „Chrześcijańscy konkurenci musieli więc przedstawić swe własne pisma i świadectwa, a musieli to zrobić w pośpiechu, bez doświadczenia i odpowiedniego przygotowania, więc rzecz wyszła po amatorsku, ze sprzecznościami i błędami, które potem trzeba było w ciągu wieków naprawiać i usuwać”.

— „Zasada 'oko za oko' jest nie tylko dosyć sprawiedliwa, ale i skuteczna, podczas gdy postulowane od blisko 2 tysięcy lat chrześcijańskie wybaczenie winy, jak dotąd nie przyniosło wyników”.

— „Judaizm uznaje dyskusję na każdy temat i nie zawiera dogmatów. Sprzeciwia się dyktaturze, stawiając wszystkich na równi wobec Boga i Prawa. Ta żydowska tradycja jest do dziś podstawą demokracji (przynajmniej brytyjskiego i amerykańskiego typu)”.

— „Gdy przyrzeć się obsesji Hitlera i jego wyznawców, to można dojść do przerażającego wniosku, że nie o Gdańsk chodziło, ani nawet o całą Polskę, ale właśnie o polskich Żydów”.

Tyle co do meritum. Na pomniejsze zarzuty Grynberga pozwolę sobie nie odpowiadać.

Epitety i argumenty *ad personam*, których Grynberg obficie użył wobec mnie, kwalifikują rzecz całą raczej do rozstrzygnięcia drogą honorowej satysfakcji. Nie przypuszczam jednak, aby kodeks Boziewicza obu nam dawał zdolność pojedynkową. Nie pozostaje mi zatem nic innego jak owe obelgi i pomówienia bez polemiki pominąć.

Wypada mi również wyrazić zdziwienie, że moja ogólnie pozytywna recenzja z „Prawdy nieartystycznej” wywołała tak jednostronnie emocjonalną reakcję autora. Jeśli powyższe uwagi zmieniają nieco pozytywny wydźwięk recenzji, to dlatego, że celowo w niej pominąłem (a czego już tutaj pominąć nie mogłem) psychologicznie zrozumiałe, ale polemicznie mało owocne niektóre tezy książki. Więcej bowiem mają one wspólnego z emocjami niż z meritum.

Z poważaniem

Andrzej SZULCZYŃSKI
Eichhorster Weg 32
1000 Berlin 26

W A W E L
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Listy do Redakcji

DLACZEGO NIE JADĘ DO POLSKI?

Ubiegłej jesieni p. Collomb, dyrektor Instytutu Francuskiego w Warszawie, zaszczycił mnie zaproszeniem na cykl wykładów połączonych z dyskusją oraz przyjacielskimi spotkaniami z intelektualistami polskimi. Początkowo, z uwagi na zdrowie, przełożyłem ewentualny wyjazd na później, potem obwarowałem zgodę pewnymi warunkami. Ustaliliśmy więc, że będę przyjęty wyłącznie przez członków Instytutu Francuskiego, że władze polskie nie będą pod żadnym pozorem uczestniczyć w imprezach zorganizowanych przez Instytut z okazji mojej wizyty, a przede wszystkim że będę mógł spotkać tych, do których właściwie jechałem, aby im złożyć wyrazy hołdu i podziwu: do księży takich jak Jan Zieja, filozofów jak Józef Rybicki, prawników jak Antoni Pajdak i Ewa Milewicz, artystów jak Halina Mikołajska i Maria Wosiek, historyków Jacka Kuronia, Jana Józefa Lipskiego i Adama Michnika, naukowców Jana Lityńskiego, Edwarda Lipińskiego i Henryka Wujca, pisarzy i poetów takich jak Anka Kowalska i innych, iluż innych bohaterskich członków KOR-u, Solidarności, redaktorów *Robotnika*. Byłbym również chciał uściskać Andrzeja Wajdę oraz reżyserów i aktorów, którzy grali moje sztuki w Polsce. Miałem nadzieję, że będzie mi też dane spotkać Lecha Wałęsę.

Ledwie 20 października 1984 ogłoszono publicznie, że wybieram się do Polski, jak zaczęli mnie telefonicznie oblegać oficjalni korespondenci polscy we Francji z prośbami o wywiady — „wyłącznie na tematy kulturalne”, rzecz jasna. Wiem, co się w tych krajach rozumie pod pojęciem „tematy kulturalne”. Wiedziałem, co bym im odpowiedział, ale nie znając polskiego nie mogłem wiedzieć, jakie słowa włożyliby mi w usta, a ściślej mówiąc mogłem się domyślić. Odmawiałem więc wszelkich wywiadów.

Polskie środki masowego przekazu nadal jednak zapowiadały moją wizytę zupełnie tak, jakby zapraszała mnie i miała przyjąć Polska oficjalna. Takie podstępne fałszerstwa należą do klasycznej strategii totalitaryzmów: drętwa mowa i wynaturzenie pojęć, które przekształca czyni i gesty w ich przeciwieństwo. Moja wizyta w Polsce byłaby więc interpretowana jako przeciwieństwo tego, czym w moich zamiarach miała być. W najlepszym przypadku słowa, które wypowiedziałbym w Instytucie Francuskim nie zostałyby przeinaczone a tylko przemilczane i w prasie nie ukazałoby się ani słowo o rzeczywistych motywach mojej podróży. Radość ze spotkań z ludźmi, których kochałem i szanuję za ich odwagę, zmąciłaby mi dwuznaczność, w której bym wbrew sobie uczestniczył.

Nie, mowy nie ma o tym, abym wbrew swej woli wspierał reżym, który dzień w dzień jest widowiskiem przerażających wydarzeń: ksiądz Jerzy Popiełuszko zamordowany, inni księża torturowani, oficerowie śledczy miazdzeni przez ciężarówkę, działacze Solidarności prześladowani przez coraz bardziej perfidną dyktaturę generała Jaruzelskiego.

Nie pojedę więc do Polski. Być może Bóg da mi dość długie życie, abym mógł tam kiedyś pojechać bez przeszkód, w wolności którą Polacy wywaleczą dla siebie i dla nas.

Na razie muszę niestety tylko z daleka być sercem z nimi, ale chciałbym, aby się w ten czy inny sposób o tym dowiedzieli.

Przyjaciele, bracia, sercem jestem z Wami, ściskam Was.

Eugène IONESCO

Drogi Panie Redaktorze,

Warszawa, 17 stycznia 1985.

Z podobnym jak p. Władysław Żeleński zdziwieniem przeczytałem w nr. 10/445 Pańskiego pisma, iż *Kultura* „nie krytykuje komunizmu jako takiego, ale jedynie komunizm w wydaniu sowieckim”. Jeszcze większe jednak moje zdumienie wywołało wyjaśnienie, jakie przeczytałem w nr. 12/447. Brzmi ono: „Rzeczywiście zwalczamy tylko komunizm w wydaniu sowieckim — bo tylko taki istnieje, czego nie trzeba chyba naszym Czytelnikom tłumaczyć. Natomiast nie zwalczamy samej idei komunizmu, bo trudno jest zwalczać utopię”.

Słowa to zadziwiające! Wynika z nich, że nie istnieje komunizm albański, jugosłowiański, chiński, wietnamski, jemeński, etiopski, kubański i że jedna trzecia ludności świata nie żyje pod władzą różnych (czasem bardzo różnych, choć z daleka tego nie widać) gatunków tej „utopii”. Twierdzenie takie wywodzi się z przeświadczenia starych Polaków, iż ustroj komunizyczny może być wprowadzony i utrzymać się tylko na „rosyjskich bagnietach”. Niestety współczesna historia poucza nas, że komunizm zagnieździł się potężnie również w krajach, które bagnietów rosyjskich nigdy nie widziały, a także w takich, które zostały przez te bagnety opuszczone (Albania, Jugosławia, Rumunia). Co gorsza, współczesna historia nie zna wypadku, aby zainstalowany w jakimś kraju komunizm z kraju tego „wybył”, albo został zeń przez kogoś wypędzony — nie było dotąd przykładu takiego wyzwolenia. Jeśli zaś ustroj komunizyczny ulega gdzieś, jak np. w dzisiejszych Chinach, przemianom, dzieje się to na skutek ewolucji wewnętrznych („organicznych”), nie zaś wskutek interwencji świata zewnętrznego, nie komunizycznego. Coś, co może się zmieniać, ewoluować, na pewno realnie istnieje, choćby nawet było „utopią”. O realnym istnieniu tego „czegoś” przekonuje się zresztą codziennie na swej własnej skórze około miliarda ludzi na kuli ziemskiej. Utopia stosowana w praktyce pokoleń — to już życie!

Skąd pochodzi beztroskie ignorowanie tego groźnego a gigantycznego faktu przez *Kulturę*? Wynika to być może z łagodnego klimatu, panującego w podparyskim miasteczku czy w ciepłym Neapolu, gdzie miast dziejowych wichrów wieją pieszczotliwe zefirki. Radziłbym odczytać sobie na nowo „Pożegnanie jesieni” Witkiewicza, „Rok 1984” Orwella czy „Zniewolony umysł” Miłosza, co przypomni wszystkim, iż żyjemy w epoce, gdy podział globu na Oceanię, Euroazję i Wschodnioazję staje się już realnym faktem. Pozwoli to także *Kulturze* spojrzeć realniejszym okiem na nas starszych, od długich dziesięcioleci żyjących WEWNĄTRZ orwellowskiej utopii i nie podzielających nadziei na zmianę tej sytuacji, za swojego przynajmniej życia.

Przesyłając serdeczne życzenia z Innego Świata, łączę również wyrazy należnego szacunku

Stefan KISIELEWSKI

Fakt mieszkania nie w „łagodnym klimacie podparyskiego miasteczka” a w „innym świecie” nie usprawiedliwia pisania rzeczy niemiłych.

Wyliczone przez Stefana Kisielewskiego przykłady różnych rodzajów komunizmu są przecież przykładem jednego i tego samego komunizmu sowieckiego, wywodzącego się od Marksa, Lenina i Stalina. „Bagnety kubańskie” doskonale zastępują „bagnety sowieckie”, tym bardziej, że pochodzą z tego samego źródła. Można by tu jeszcze wspomnieć działania przez osoby poddawione, jak np. Khadafi, itp. Gdzie tego nie ma, następują jednak — jak to ładnie określa Kisielewski — przemiany organiczne. Nie jest ważne, że następuje to bez „interwencji świata zewnętrznego”, ważne, że jest to wyzwa-

lanie się spod dyktatu sowieckiego. W chwili, kiedy przyszedł list Kisielewskiego, odbywa się w Turynie symposium na tematy polskie pod patronatem komunistycznego zarządu miejskiego i przez ten zarząd finansowane. Nie jest to jedyny przykład ewolucji włoskiego komunizmu. Nie widzę potrzeby uważania go — przynajmniej w tej chwili — za śmiertelnego wroga.

Życzę powodzenia „realiście” Kisielewskiemu w próbach bezpośredniego dialogu z Moskwą, ponad głową PZPR — jest to również realistyczne, jak nadzieje jego przyjaciół na dialog z generałem Jaruzelskim.

REDAKTOR

London 30 stycznia 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

Uprzejmie proszę o sprostowanie informacji, która znalazła się w artykule pt. „Czytam (2)” w numerze 1-2/1985 *Kultury. Wiadomości* nie „zakńczyły żywota w przededniu sierpnia 1980”, jak pisze p. Maria Danilewicz Zielińska, tylko rok później. Ostatni numer ukazał się z początkiem czerwca 1981, antydatowany (ze względów administracyjnych — marzec/kwiecień 1981).

Z poważaniem

Stefania KOSSOWSKA

Double Bay, Australia, 25 grudnia 1984.

Drogi Panie Redaktorze,

Rozważania P. Znawcy zawierają szereg wnikliwych sformułowań, nie wszystkie jednak trzymają się razem. Nie zamierzam wdawać się w szczegóły, pragnę jedynie podkreślić poważny błąd w dość ważnym punkcie.

P. Znawca pisze: „Obrona przed atakiem raketowym w rodzaju *Star Wars* jest kosztownym absurdem. Obrona tego rodzaju jest doskonałym puklerzem...”

Wydaje mi się, iż dzisiaj już wiemy niemal na pewno, iż koncepcja ta nie jest absurdem. Zostało to poparte oświadczeniami nie tylko Prezydenta Reagana i Sekretarza Obrony Weinbergera, ale zostało oczywiście zaakceptowane przez Panią Thatcher i dr. Kissingera. Co zaś jest najważniejsze, to to, jak zareagowali Rosjanie. Nie ma chyba wątpliwości, iż niedopuszczenie do dalszych prac nad rozwojem tego „puklerza” jest najważniejszym dzisiaj zadaniem światowej akcji sowieckiej — poprzez gabinety dyplomatyczne, akcje Ruchu „Pokoju”, a nawet za pośrednictwem „zaniepokojonych” (*concerned*) uczonych amerykańskich. Machinacje i pomyłki w naukowych kalkulacjach mających udowodnić „absurd” tej koncepcji obronnej wydołył na jaw dr Robert Jastrow w znanym miesięczniku amerykańskim *Commentary* (grudzień 1984). Nie należy zapominać, iż podobna kontrowersja rozwinęła się w związku z planami skonstruowania bomby wodorowej przez Stany Zjednoczone. Dr Oppenheimer i jego zwolennicy sprzeciwiali się kategorycznie konstrukcji bomby (mimo, iż Sowiety do tegoż celu zdążyły). Za skonstruowaniem bomby wystąpił dr Edward Teller. Obecnie głównym protagonistą nowej koncepcji obrony Stanów i jej aliantów jest również dr Edward Teller.

Łączę wyrazy poważania i miłe ukłony

Ryszard KRYGIER

Calonne-Ricouart, 25 stycznia 1985.

Szanowny Panie Wrzeszcz,

Zadzroszczę Panu pewności siebie i swoich twierdzeń. Boję się Pańskiej wizji, jak w ogóle ludzi zapatrzonych w jeden punkt widzenia. Oczywiście tylko swój i dlatego myślą, że prawdziwy.

Radzę Panu przeczytać książkę Andrzeja Micewskiego pt. „Kardynał Wyszyński, Prymas i Mąż Stanu” (Editions du Dialogue, Paris 1982), śledzić proces w Toruniu o uprowadzenie i zamordowanie ks. Jerzego Popiełuszki. Radzę także po upływie czasu przeczytać jeszcze raz swój artykuł pt. „Józef semper fidelis” (*Kultura* nr 12/447, 1984 r.) i przeanalizować zawarte w nim twierdzenia.

Przekona się Pan, że grubo przesadza i popełnia uproszczenia myślowe.

Ks. Józef KUROCZYCKI

Guadalupe, 7 stycznia 1985.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Czytam w ostatniej *Kulturze* na stronie 111, że prezydent Reagan wydał uroczysty lunch, na który zaproszono około 25 akowców i 100 wybitnych przedstawicieli Polonii z kardynałem Królem i prezesem Mazewskim na czele.

Domyślam się, że byli to ludzie obeznani w historii Polski i w ogóle ludzie, co nie jedno w życiu przeszli. Ci akowcy na pewno myśleli o wielu kolegach, co zginęli w walce o wolność kraju, wolność, której kraj się nie doczekał. Dziś dostają order od rządu kraju, który był uczestnikiem zdradzieckich układów w Jalcie. Nie wiem, czy pamięta się, że omal nie doszło do buntu wśród korpusu polskiego we Włoszech na wiadomość o zdradzeniu Polski?

To musiało być nielada przeżycie. Zastanawiam się, czy uczestnicy lunch'u pomyśleli o tym, kiedy zgodzili się przyjąć zaproszenie administracji Reagana? Zwłaszcza, że ludzie którzy przyjeżdżają z Polski opowiadają, jak Amerykanie utrudniają im otrzymanie wiz i w ogóle biorąc pod uwagę fakt, że obecna administracja jest niezbyt przychylna Polakom.

Jako przykład podam odmowę wizy mojej teściowej, samotnej wdowie lat 75, która chciała odwiedzić na Gwiazdkę swoje jedyne dziecko w dalekim Teksasie.

W końcu dali jej tę wizę, ale na święta już nie zdążyła.

Inny przykład: inżynier z Texas Instruments w Houston, Polak z pochodzenia, obywatel amerykański, dostał pisemne uzasadnienie odmowy z amerykańskiej ambasady, że jego rodzice są raczej biedni i jest podejrzenie, że zostaną na stałe. Więc i ten człowiek musiał pisać, żebrać, aby wreszcie jego rodzice dostali wizę. Przyjechali i nie zostali.

Z drugiej strony dwie moje kuzynki z Niemiec, które odwiedziły nas tego lata w Teksasie, dostały wizy w Bonn bez żadnego zaproszenia, zaś w Warszawie w ambasadzie od Polaków wymagają Bóg wie czego plus kolejki, depozyty i wielu odmawiają.

Słyszałem w TV wypowiedź niejakiego p. Elia Abrams, wysokiego dygnitarza Departamentu Stanu, który chełpił się tym, że odrzucił 92 % podań Polaków o azyl politycznych.

Z poważaniem

Jerzy RACZKOWSKI

Paryż, 9 lutego 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

W końcu 1985 roku redakcja niezależnego krakowskiego pisma *Arka*, przyznając po raz pierwszy honorowe nagrody za rok 1984, wyróżniła dwóch pisarzy — Józefa Mackiewicza i Jarosława Marka Rymkiewicza. Jeśli chodzi o pierwszego laureata, redakcja *Arki* uzasadnia swój wybór następująco: „za twórczość prozatorską ze szczególnym uwzględnieniem powieści wydanych ostatnio w kraju: 'Droga do nikąd', 'Nie trzeba głośno mówić', 'Fakty, przyroda i ludzie'”. Dwoch następnie wydanych w kraju książek — „Lewej wolnej” i „Zwycięstwa prowokacji” autor niestety nie mógł zobaczyć, dotarły na Zachód tuż przed ostatnim dniem stycznia, ostatnim dniem życia Józefa Mackiewicza.

Nakładem niezależnych oficyn wydawniczych w kraju ukazało się dotychczas sześć książek Mackiewicza, obok pięciu wymienionych (wszystkie wyszły w 1984 roku), w roku 1981 ukazała się jedna z jego najsłynniejszych powieści — „Kontra”. W ten sposób twórczość Józefa Mackiewicza, pisarza skazanego w PRL na całkowite milczenie, wchodzi na stałe w obieg niezależnego życia intelektualnego w kraju.

Łączę pozdrowienia

Wojciech SIKORA

Pfullingen, 18 stycznia 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

W grudniowym numerze 12/447 *Kultury*, w kronice niemieckiej p. Andrzej J. Chilecki podał błędnie za zachodnioblińskim *Poglądem*, że jednym z nieprzybyłych z PRL referentów jest biskup ewangelicki dr Witold Benedyktowicz.

Otóż ks. prof. dr Witold Benedyktowicz nie jest i nigdy nie był biskupem ewangelickim. Przez długie lata (od roku 1969) sprawował on funkcję superintendenta naczelnego Kościoła Metodystycznego w PRL. Konferencja Doroczna (rodzaj synodu w metodyzmie) w roku 1983 wybrała na to stanowisko ks. mgr. Adama Kuczmę. Konferencja przyznała ks. prof. dr. Witoldowi Benedyktowiczowi godność superintendenta honorowego Kościoła.

Warto dodać, że w Polsce nigdy nie urzędował biskup metodystyczny. Zgodnie ze strukturą organizacyjną Kościoła Metodystycznego urzędują w Europie czterej biskupi metodystyczni (NRD, RFN, Szwajcaria, Szwecja). Polska Konferencja podlega formalnie biskupowi szwajcarskiemu, rezydującemu w Zurychu, którego jurysdykcja kościelna rozciąga się na kraje Europy Wschodniej.

Miałem przyjemność być słuchaczem Wydziału Teologii Ewangelickiej w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie, gdzie prof. dr Witold Benedyktowicz prowadził wykłady z etyki i dogmatyki.

Moje sprowadzenie ma charakter informacyjny i nie wnika w celowość owej imprezy berlińskiej. Swoją drogą warto zająć się interesującą a mało znaną problematyką mniejszości religijnych w Polsce.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Piotr TAZBIR

Lubumbashi, Afryka

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze *Kultury* Nr 1/412-2/413 z roku 1982 na str. 126, (ustęp 4-ty) w rozdziale „Kronika Litewska” przeczytałem: „Korespondent przypomina, że po deportacjach polskich księży w czasie wojny i repatriacji wielu, z arcybiskupem Jafbrzykowskim na czele, obecnie w Wilnie zamieszkuje dwóch starych polskich księży. Opisany przez Miłosza w 'Rodzinnej Europie' ks. Chomicki (raczej Chomiński?), b. kapelan w gimnazjum im. Zygmunta Augusta, liczy sobie już 93 lata”.

W związku z powyższym pragnę podać właściwe nazwisko tego zasłużonego księdza. Brzmi ono: ksiądz Leopold Chomski. W czasie repatriacji pozostał na miejscu, nie chcąc opuszczać swoich obowiązków kapłańskich. Był w tym czasie proboszczem w parafii NMP na Sołtaniszkach w Wilnie, a następnie w Białej Wace k. Wilna, gdzie miałem okazję odwiedzić Go parokrotnie w latach 1966-1971.

Niedawno nadesłano mi z kraju nekrolog, który tu załączam.

Łączę wyrazy poważania

Jan **WOJCIECHOWSKI**

b. uczeń księdza Leopolda Chomskiego
w Gimnazjum im. Zygmunta Augusta
w Wilnie



Stevens Point, 7 stycznia 1985.

Szanowny Panie Redaktorze!

W nr. 11/446 *Kultury* na str. 146 w „Nadesłanych nowościach wydawniczych” zmieniono mi nazwisko na „Zieleński”. Winno być **ZIELIŃSKI** (Leszek). Prosiłbym łaskawie o sprostowanie niniejszej pomyłki, za co wdzięczny będę niezmiernie.

Z poważaniem

Leszek **ZIELIŃSKI**

OŚWIADCZENIA

OŚWIADCZENIE

Zgodnie z wolą zmarłego Józefa Mackiewicza upoważnia się wszelkie nielegalne wydawnictwa w PRL do przedrukowywania jego książek, pod zasadniczym warunkiem nie dokonywania żadnych skrótów, adiustacji, ani też opatrzania ich wstępami, komentarzami itp. Właściwym miejscem dla krytyki literackiej i politycznej są łamy czasopism.

Zgodnie z wolą zmarłego Józefa Mackiewicza zabrania się natomiast jakichkolwiek przedruków, nawet bez skrótów i zmian, wydawnictwom legalnym, jednoznacznie reżymowym, czy tylko koncesjonowanym, ale zależnym od bieżącej polityki wydawniczej komunistycznych władz. Mogłoby się bowiem zdarzyć, że w ramach taktycznej „liberalizacji”, ale także uprawianej za wzorem Kremla polityki likwidowania politycznych — niech po-

śmiertnie! — emigrantów przez drukowanie ich „wybranych” utworów (w Sowietach np. rozpoczęto już druk Bunina), ktoś w najlepszej intencji i w przekonaniu, że coś tam dla kultury polskiej ocala, postarałby się o wydanie w jakimś „kameralnym” wydawnictwie niepolitycznego „Kariowicza”, czy kilku nie politycznych nowel. A nawet, być to może, politycznej „Kontry”.

Józef Mackiewicz był człowiekiem skromnym. Józef Mackiewicz był w poglądach bezkompromisowy. Uważał, że jedyne godne miejsce dla emigranta politycznego w kraju rządzonym przez wroga jest więzienie. Co go, na szczęście, ominęło.

Z prośbą o przedrukowanie we wszystkich pismach emigracyjnych i nielegalnych w PRL

Barbara **TOPORSKA MACKIEWICZ**

OŚWIADCZENIE

W ślad za audycją, która — według rzecznika rządu PRL Jerzego Urbana — stawia znak równania między generałem Jaruzelskim i Hitlerem — Polska Sekcja Radia Wolna Europa nadała swój komentarz do tej audycji jak i afery, której owa audycja stała się powodem, a mianowicie incydentu dyplomatycznego między rządami PRL i USA. W audycji zatytułowanej „Fakty, wydarzenia, opinie” nadanej dnia 16 stycznia 1985 podkreślono fikcyjny, satyryczny charakter tekstu, który spowodował interwencję dyplomatyczną rządu PRL, oraz przypomniano, że nie jest to tekst oryginalny — to znaczy taki, który powstał w redakcji Radia Wolna Europa — ale zaczerpnięty dosłownie z efemerycznego pisemka satyrycznego, które ukazało się na emigracji. Publikację tę określono następująco:

„... Grono polskich satyryków i dziennikarzy przebywających na Zachodzie ze Sławomirem Mroźkiem na czele wydało na pierwszego stycznia bieżącego roku parodię warszawskiego tygodnika *Szpilki*”.

Oświadczam, że nie jestem na czele tego „grona, które wydało”, ponieważ go nie znam, nigdy go nie widziałem i w ogóle nie mam pojęcia, o kogo chodzi.

Również do tej pory, to znaczy do dnia 17 stycznia 1985, daty niniejszego oświadczenia — nie widziałem owej publikacji i nie wiem, co zawiera. Jeżeli zawiera przedruk jakiegoś mojego tekstu opublikowanego już wcześniej i gdzie indziej, co powinno być wyraźnie zaznaczone, a źródło przedruku podane, według obowiązującego prawa autorskiego i wydawniczego — to na pewno nie może to być ten właśnie tekst „Jaruzelski-Hitler”, ponieważ ja tego tekstu nigdy nie napisałem.

Odpowiadam tylko za siebie samego. Moje opinie polityczne są szeroko znane, ponieważ jasno wyrażone w moich własnych utworach. Dlatego protestuję przeciwko używaniu mojego nazwiska jako firmy dla kogokolwiek i czegokolwiek.

Sławomir **MROZEK**

Paryż, dnia 17 stycznia 1985

POST SCRIPTUM

Po napisaniu powyższego oświadczenia udało mi się zapoznać z egzem-

plazem „Parodii SZPILEK”. Znalazłem w nim między innymi:

1) Dwie strony przedruków z mojej książki pt. DONOSY wydanej przez PULS w Londynie — bez noty, że są to przedruki i tym samym bez podania źródła przedruków.

2) Moją fotografię skopiowaną z fotografii zamieszczonej na okładce mojej książki.

3) Moje nazwisko w spisie osób pod nagłówkiem: „Przy życzliwej współpracy”, tyleż radosnym, co dowolnie wieloznacznym.

4) Nazwiska czterech osób odpowiedzialnych za wydanie „Parodii SZPILEK”. Żadna z tych osób nie jest mi osobiście znana.

Tak więc poczęstowano się mną obficie i szeroko mną rozporządzono.

Dotąd nie sprzeciwiałem się przedrukowi moich utworów. Jednak nieprzestrzeganie podstawowych norm i obyczajów wydawniczych nie zachęci mnie do tego w przyszłości.

Stawomir MROŻEK

Paryż, 5 lutego 1985

Z OSTATNIEJ CHWILI

DYREKTYWY DLA KIEROWNIKÓW URZĘDÓW PROWINCJONALNYCH

Celem ograniczenia wpływu Kościoła została jakoby wydana przez dyrektora Urzędu d/s Wyznań w Warszawie, Wołowicza, seria dyrektyw dla kierowników urzędów prowincjonalnych. Ujawnia to tygodnik katolicki *Il Sabato*. Według tego tygodnika dyrektyw tych jest pięć:

- 1) przeciwstawić linię Prymasa linii Papieża;
- 2) przeciwstawić dobrych księży złym księżom;
- 3) zablokować zezwolenia na budowę nowych kościołów i zahamować budowy już rozpoczęte;
- 4) przeszkodzić rozwojowi prasy katolickiej, zmniejszając jej nakłady i nie dając zezwoleń na nowe publikacje;
- 5) zlikwidować stopniowo periodyki katolickie: *Znak*, *Więź* i *Powściągliwość i praca*.

Przegląd katolicki, wydawnictwo Archidiecezji warszawskiej i organ Prymasa Glempa, w nr. 7 z 17 lutego 1985 zamieścił następujący komunikat: „Szósty numer *Przeglądu katolickiego* ukazał się w zmniejszonym nakładzie, ponieważ pismo otrzymało bardzo ograniczony przydział papieru na I kwartał bież. roku. Z tego samego powodu numer bieżący (siódmy) oraz następny (ósmi) ukazały się również w zmniejszonej liczbie egzemplarzy, a jeśli sytuacja nie ulegnie zmianie, redakcja będzie zmuszona zawiesić wydawanie *Przeglądu katolickiego* do końca kwartału”.

Czyżby miało to oznaczać, że władze zaczynają wprowadzać w życie wspomniane „dyrektywy”.

18-2-85

Kazimierz Koźniewski, redaktor naczelny tygodnika *Tu i teraz* został przeniesiony na emeryturę. Jego następcą został Klemens Krzyżagórski, przewodniczący Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL, który po ogłoszeniu stanu wojennego spacyfikował i zreorganizował Stowarzyszenie.

Teresa Romer, St. Eustache, Que. (Kanada), po raz 12-ty — \$ c. 53,00	F. 387,00
Marian P. Sierant, Norwich, CT (USA), po raz 4-ty — \$ 8,00	F. 79,50
E. i Cz. Skibińscy, Oberrohrdorf (Szwajcaria) — zamiast kwiatów na grób śp. Józefa Mackiewicza — Fr.szw. 50,00	F. 185,00
Stowarzyszenie Polaków w Nowej Zelandii — \$ 20,00	F. 199,00
Zb. Tazbir, New Britain, CT (USA) — \$ 8,00	F. 79,50
Wanda Trzos, Etobicoke, Ont. (Kanada), po raz 7-my — \$ c. 25,00	F. 187,50
Władysław Wieczorek, Rueil Malmaison (Francja)	F. 100,00
Janusz S. Wiland, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 21-szy	F. 215,00
W. Wilczyński, Brooklyn, N.Y. (USA) — \$ 8,00	F. 79,00
Zamiast kwiatów na grób Henryka Rosego — Przyjaciele ze Szwecji — Krs 260,00	F. 278,00
Janusz Zembruski, Anglet (Francja), po raz 42-gi	F. 515,00
Norbert Żaba, Sztokholm — zamiast podziękowań za liczne pozdrowienia na Święta i za życzenia złożone na moje ręce dla Redakcji i Administracji Kultury — Krs 100,00	F. 107,00
Bezimiennie z Baden (Szwajcaria), po raz 8-my — Fr.szw. 100,00	F. 370,00
Bezimiennie z Caracas (Wenezuela) — \$ 3,00	F. 29,85
Bezimiennie z Frankfurtu (RFN) — DM 60,00	F. 183,00
Bezimiennie z Mediolanu, po raz 22-gi	F. 116,00
Bezimiennie z Milwaukee, WI (USA), po raz 20-ty — \$ 18,00	F. 179,00
Bezimiennie z Wormerveer (Holandia)	F. 140,00
Bezimiennie z Paryża	F. 100,00

DZIĘKUJEMY!

WPŁATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Bob Borowicz, Santiago de Chile — na pomoc dla Lecha Wałęsy	F. 415,00
B. i E. Decowie, Toronto, Ont. (Kanada) — \$ c. 110,00	F. 803,00
Na Apel „Konfederacji 76”, Oddział Boston — na „Solidarność” podziemną wpłacili: Grupa Polaków z kościoła — \$ 90,00, W Ostrowski i W. Szypszak — trzy razy po \$ 10,00 = \$ 60,00; P. Janik, Z. Wallek, A. Biedak, W.C., A. Kruczyński i Bezimiennie — dwa razy po \$ 5,00 każdy = \$ 60,00; M. Stankiewicz, R. Górski, J. Kocjan, T. Daniszewski, M. Butkiewicz, A. Butkiewicz, T. Wojdakowski, W. Wierzbowski, C. Rybak, W. Micherda — trzy razy po \$ 5,00 każdy = \$ 150,00; J. Kozikowska, K. Firlejczyk, S. Borucki, Kangur i Ciocia Ela — po \$ 5,00 = \$ 25,00; Z. Padzik — dwa razy po \$ 10,00 = \$ 20,00 — wszyscy łącznie: \$ 405,00	F. 4.029,75
W Redakcji <i>Listów do Polaków</i> na Solidarność podziemną złożyli: Zygmunt Czerwiński — \$ 600,00; H. W. z Polski — \$ 300,00 T. Wieniawa-Dziekanowski — \$ 50,00; B. Pilecki — \$ 25,00; A. i M. Obuchowicz — zamiast kwiatów na trumnę ks. Popiełuszki — \$ 25,00; G. Kliszewska z Los Angeles, CA — zamiast kwiatów na trumnę ks. Popiełuszki dla Jego rodziców — \$ 25,00; M. Orłowski — \$ 20,00; D. Kądziała — \$ 10,00; I. Tarłowska — \$ 5,00 oraz J. Harasiuk, A. Nowicki, M. Orłowski — po \$ 10,00 = \$ 30,00 — ogółem: \$ 1.090,00	F. 10.845,50

Zbigniew Nowotny (USA) — zamiast kwiatów na grób Józefa Dubickiego — \$ 50,00	F. 497,50
Dr Danuta Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — \$ 200,00	F.1.990,00
Redakcja <i>Politiken</i> , Kopenhaga — honorarium za artykuł Lecha Wałęsy — \$ 490,00	F.4.900,00
Leon Schubert, Picarras, St. Catarina (Brazylia) — \$ 32,00 ..	F. 418,50
J. Suchocki, Mayerthorpe, Alta (Kanada) — \$ c. 13,00	F. 94,90
J. Szatarski, Listowel, Ont. (Kanada) — \$ c. 45,00	F. 328,50
„Szczupak z Genewy”	F. 100,00
Cezary i Stanisława Szulczewscy, Merano (Włochy)	F. 200,00
Julian Twaróg, wiceprezes Okręgu B.C. Kongresu Polonii Kanadyjskiej, Vancouver, B.C.	F.1.356,00
C. Waluk, Kitchener, Ont. (Kanada)	F. 280,00
Zarząd Kongresu Polonii Kanadyjskiej, Okręg B.C., Vancouver	F.3.565,00
Z Latowicza	F. 500,00

Marian Kurowski (Chicago, IL) z synem Wojciechem i z córką Marią — dla uczczenia pamięci śp. Wincentego Kowalskiego generała Sił Zbrojnych II Rzeczypospolitej, zmarłego 29. 11. 1984 r. w River Forest, IL:	
na Fundusz Kultury — \$ 25,00	F. 248,75
na Fundusz drukarski — \$ 50,00	F. 497,50
Aleksander Moskala, Farsta (Szwecja):	
na Fundusz Kultury	F. 500,00
na Fundusz „Żeby Polska była Polska”	F. 500,00
na Fundusz drukarski	F. 500,00
Edmund Stamberg, San Jose, CA (USA):	
dla NOW-ej — \$ 20,00	F. 199,00
dla <i>Kregu</i> — \$ 20,00	F. 199,00
dla Wydawnictwa Konstytucja 3-go Maja — \$ 20,00	F. 199,00
na pomoc dla najbardziej potrzebujących b. więźniów politycznych i ich rodzin w Kraju — \$ 40,00	F. 398,00

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKA”

Bezimiennie z Paryża	F. 100,00
Bezimiennie z Winnipeg, Man. (Kanada) — zamiast kwiatów na grób śp. Ks. Jerzego Popiełuszki, zakatowanego przez reżym PRL — \$ c. 10,00	F. 73,00
Anna M. Cienciała, Lawrence, KS (USA) — na niezależne wydawnictwa — \$ 25,00	F. 248,75
E.M., Paryż — na przesładowanych w PRL	F. 200,00
Karciarze z Krakowa, obecnie w USA, wygraną w „1000” — na opozycję w PRL — \$ 10,00	F. 99,50
Maciej Kozłowski, Ottawa — na fundusz pomocy niezależnym wydawnictwom	F. 180,00
Andrzej Lewandowski, Bentley (Australia) — zamiast kwiatów na grób śp. Władysława Jackowicz z Perth, W.A. — na pomoc dla walczących w Kraju	F. 40,00
Józef Lewandowski, Uppsala (Szwecja) — dla uczczenia pamięci prof. dr. Borysa Lewickiego — na pomoc przesładowanym	F. 106,84
K. Styś, Nepean, Ont. (Kanada)	F. 95,00

Stowarzyszenie „Solidarność” w Seattle, WA (USA) — na prasę i publikacje podziemne, dla tych którzy w Polsce zmagają się z „czerwonym” (przekazał skarbnik Zb. Pietrzyk) — \$ 200,00	F.1.998,90
W Redakcji <i>Listów do Polaków</i> złożyli: P. Hyjek, M. Orłowski — po \$ 10,00; F. Kwasięborska z Los Angeles — dla Rodziców ks. Popiełuszki — \$ 25,00 — razem: \$ 45,00	F. 447,75
Sumę zebraną wśród nielicznej Polonii z trzech miasteczek na pograniczu So. i No. Caroliny (USA): Spartanburg, Asheville, Greenville — na pomoc walczącym w podziemiu i ich prasę, zamiast kwiatów na groby pomordowanych w PRL 1970-1984 (E. T. Grushinski i L. Nowiński po \$ 10,00, G. Douglas — \$ 20,00 i W. K. Brodowski w imieniu osób niewymienionych — \$ 35,00) — razem: \$ 75,00	F. 746,25
Wojciech Szczygielski, Zurych (Szwajcaria) — na pomoc dla komitetów obrony praw człowieka w Polsce — Fr.szw. 30,00	F. 111,00
Zamiast kwiatów na grób zmarłego 30 listopada 1984 roku w Hamiltonie, Ont., Przyjaciela, Henryka Czajkowskiego (Kanada), zgodnie z jego życzeniem: rodzina Bechamps, O. Bertas, J. D. Blondowski, A. W. Bujalscy, T. Chrobak, S. A. Domzal, T. Kasprzyk, I. Legun, L. Łuczak, M. W. Nowac, J. S. Rudniccy, E. R. Sokołowski, E. Zieliński — \$ c. 160,00	F.1.168,00

WPŁATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

Anonimowo z Brisbane (Australia)	F. 816,46
Marian T. Chyliński, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 395,00
Czesław Lewończuk, Strasbourg (Francja)	F. 100,00
Wojciech Szczygielski, Zurych (Szwajcaria) — Fr.szw. 30,00 ..	F. 111,00
Irena Thiel, Ann Arbor, MI (USA) — \$ 6,00	F. 59,70
Zamiast kwiatów na grób Olka Boreckiego, w ósmą rocznicę Jego śmierci, Nelka i Bronka z Włoch	F. 250,00

CENNIK OGŁOSZEŃ W „KULTURZE”

Cała strona	F. 2.000,00 lub równowartość
1/2 strony	F. 1.100,00 lub równowartość
1/4 strony	F. 600,00 lub równowartość

Do ceny ogłoszeń z terenu Francji dochodzi T.V.A.: wysokości 18,6 %.

POLEMIKI

Henryk Grynberg:	<i>Poniżej krytyki</i>	160
Andrzej Szulczyński:	<i>List do redaktora „Kultury”</i>	162

E. Ionesco, St. Kisielewski, St. Kossowska, R. Krygier, Ks. J. Kuroczycki, J. Raczkowski, W. Sikora, P. Tazbir, J. Wojciechowski, L. Zieliński:	<i>Listy do Redakcji</i>	165
--	--------------------------------	-----

Barbara Toporska Mackiewicz:	<i>Oświadczenie</i>	170
Sławomir Mrozek:	<i>Oświadczenie</i>	171

	<i>Z ostatniej chwili</i>	172
--	---------------------------------	-----

KOMPLET „KULTURY” (1947-1983) NA MIKROFISZACH

Niewiele księgozbiorów na świecie posiada pełne komplety *Kultury*, która ukazuje się w Paryżu regularnie od 1947 roku. Pragnąc wypełnić istniejące zapotrzebowanie w kraju i na Zachodzie zleciliśmy INDEPENDENT POLISH AGENCY przygotowanie kompletu dotychczasowych roczników *Kultury* na mikrofiszach.

Mikrofiszowa edycja roczników *Kultury* (1947-1983) zawarta jest na 804 fiszach formatu 10,5×14,8 cm. Każdy rocznik jest w oddzielnej kopercie. Całość przesyłana jest w dwóch plastikowych pudełkach, stanowiących podręczną kartotekę.

Cena kompletu roczników *Kultury* wynosi 750 dolarów amerykańskich lub równowartość w innych walutach. Cena pojedynczego rocznika wynosi 25 dolarów amerykańskich (wraz z kosztami przesyłki).

Zamówienia należy zgłaszać do:

IPA, Box 2113, 220 02 LUND, SWEDEN.

Tel. international: 46/46 14-34-16.

Należności należy przekazywać na IPA: Międzynarodowemu przekaz pocztowym — POSTGIRO SWEDEN 469050-9 albo przelewem bankowym na SE BANKEN SWEDEN, LUND 5624-0044911 względnie International MO na IPA, Box 2113, 22002 Lund 2, Sweden.

Edycja roczników *Kultury* na mikrofiszach będzie systematycznie kompletowana. Rocznik 1984 ukaze się w styczniu 1985.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1985.

Imprimé en France
N° d'imprimeur 6916.



PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.	Prenumerata	
	1/2-roczna	roczna

Ceny na rok 1985

AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel. 29 1248	\$ A. 5,50	\$ A. 30,00	\$ A. 56,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, 1011 Wien, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14. Tel. 52-60-175	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
BELGIA: Maria Rodomanska, 132, Avenue Coghen, 1180 Bruxelles. Tel. (2) 345 08 25. Konto 310. 0334324.51 w Banque de Bruxelles	F.B. 300,00	F.B. 1500,00	F.B. 2750,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do administracji « Kultury »	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vliissingen. Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176. ..	Fl h 15,00	Fl h 85,00	Fl h 155,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel. 621311	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z3. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2: « Polish Voice Publishing » Co., 66 Roncesvalles Ave., Toronto Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiakowiec »), 1638 Bloor St., W., Toronto, Ont. M6P 1A7	\$ Can. 6,00 DM 13,00 F. 38,00	\$ Can. 35,00 DM 75,00 F. 220,00	\$ Can. 60,00 DM 140,00 F. 400,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss. ...	F.S. 11,00	F.S. 65,00	F.S. 115,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	K.S. 36,00	K.S. 200,00	K.S. 380,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel. (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34-6.			
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel. 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104. Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725 - 17th St., N.W. Washington D.C. 20009; H. Kosciuch, 41963 Utica Rd., Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel. (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, 48211; Szwede Slavic Books, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel. (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika » Tel. 21, West 38-th Street, New York, N.Y., 10018. Tel. (212) 354-0492; Polish Books & Arts, Inc., 97 East 7th St., New York, N.Y. 10009, tel. (212) 254-8457	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel. 75-67-241	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 400; półroczna — F. 220.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 5,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 402 — ZOFIA ROMANOWICZOWA

NA WYSPIE

Nowa powieść znanej autorki to dzieje młodej Polki, ocalałej z niemieckiego obozu śmierci, którą dziwne koleje losu wyrzuciły na wyspę świętego Ludwika w Paryżu.

Str. 168.

Cena F. 65,00.



TOM 403 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Zawiera m.in. opracowania: J. Krajowca: *Czterdziestolatek*; J. M. Olity: *Polacy, Litwini, Rosjanie*; (j.a.): *Październik 1984*; *Akt oskarżenia przeciwko ks. J. Popiełuszcze wraz z aneksem do Aktu*; *Rozmowa z J. E. Metropolita Szeptyckim*; *Sprawa ukraińska*; J. Szendery: *W poszukiwaniu porozumienia*; J. Nowaka: *Zapiski więzienne Prymasa i raport policjanta*; T. Wyrwy: *Pierwsze lata PRL w raportach dyplomatów francuskich i in. oraz obszerny dział RECENZJI*.

Str. 240.

Cena F. 60,00.



TOM 404 — ADAM MICHNIK

Z DZIEJÓW HONORU W POLSCE

Wypisy więzienne

Próba analizy problemu honoru we współczesnej literaturze polskiej ilustrowana fragmentami utworów Zbigniewa Herberta, Hanny Malewskiej, Czesława Miłosza, Jana Józefa Szczepańskiego oraz Henryka Elzenberga i Witolda Kuli.

Str. 288.

Cena F. 95,00.

WZNOWIENIA FOTOOFFSETOWE

Kazimierz BRANDYS — *Miesiące 1980-1981*
(Tom II) F. 55,00.

Witold GOMBROWICZ — *Transatlantyk*
F. 40,00.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI — *Inny świat*
F. 60,00.